

ISAAC BASHEVIS SINGER

OPOWIEŚĆ O KRÓLU PÓL

Część pierwsza

Król Rudy¹

1

Opowieść rozpoczyna się... kiedy? Na ziemiach zwanych Polską nie był jeszcze znany kalendarz Rzymian. Kraj podzielony był na wiele królestw. W licznych małych osadach poganie czcili rozmaitych bogów. Uprawiali wprawdzie ziemię, lecz chętniej polowali i łowili ryby, a kobiety wykopywały korzonki i zbierały jagody i owoce, w które letnią porą obfitowała przyroda. Mówiono, że ludzi przybywa, a zwierza w lesie i ryb w rzekach i jeziorach jest coraz mniej. Chodziły słuchy, że gdzieś daleko nad Wisłą wielu ludzi uprawia rolę, orze, sieje, kosi i młóci. Od tej pracy w polu tamci ludzie zwani byli Polakami.

To nie był jeden naród. Ludźmi tymi rządzą królowie, którzy często ze sobą wojowali. Bywali Polacy, co kuli żelazne miecze i włócznie, napadali na plemiona myśliwych, podbijali ich i przymuszali do pracy w polu. Tak się to właśnie przydarzyło małemu plemieniu Leśników, którzy zamieszkiwali lasy pod Tatrami. Przyjechał król z drużyną wojaków, wybił prawie wszystkich młodych Leśników, a tyra, co przeżyli, kazał trzebić las pod pole uprawne, zaorać je, a potem obsiać pszenicą, żytem, jęczmieniem, owsem – nasiona przywieźli ze sobą. Tam właśnie osiadł król ze swymi ludźmi i czekał, aż zboże wejdzie. Ci, co przeżyli, przeważnie kobiety i starcy, mruclili między sobą: „Kto ma cierpliwość tak długo czekać?”. Lecz i tak musieli orać i siać. Najmniejsza oznaka buntu była surowo karana. Król, jego panowie i knezie rozumieli, co gadają Leśnicy, bo mowa ich niewiele się różniła.

Król był słusznego wzrostu, miał modre oczy, gęstą rudą grzywę i brodę barwy ognia. Jego ludzie zwali go Król Rudy. Król Rudy mógł przebierać między wieloma młodymi i pięknymi dziewczętami schwytanymi przez jego wojaków, lecz poprzysiągł, że nie weźmie sobie żony, póki na polach nie wejdą zielone pędy. Król Rudy wdziewał krótki futrzany kaftan, spodnie ze skór zwierząt i skórzane buty. On i jego knezie przyjechali do obozu na koniach, lecz wojacy przybyli pieszo, bez butów. Król Rudy sam pokazał Leśnikom, jak orać drewnianymi radłami.

Starcy i kobiety Leśników przepowiadali, że nasiona zasiane przez Króla Rudego pogniją, zjedzą je ptaki albo przemarzną w zimie. Ostrzegali, że kto orze glebę, ten bezczęści Matkę Ziemię, i że bogini Baba Jaga, co lata na miotle długiej jak świerk, omroczy w gniewie świat i ześle zarazę na człeka i zwierza. Lecz młode kobiety wielbiły Króla Rudego, bo choć darł się na nie, to czasem też się uśmiechał. Jeździł po obozie na białym koniu z paradną uzdą i wodzami. Leśnicy mieszkali w namiotach, lecz Król Rudy i jego knezie kazali sobie pobudować chaty z dachami, co zatrzymywały deszcz, i kominami, co wypuszczały dym. Król Rudy doglądał budowy i pilnował, aby robotnicy dobrze spasowali bale, bez dziur i szpar.

Młode kobiety, jak to one, szybko przywykły do nowych władców. Kładły się z nimi i wkrótce zrodziły im potomstwo. Lecz starzy ludzie narzekali, że Polacy to zgraja dzikoludów i zbójców, co nie czczą bogów jak należy, znoszą stare, uświęcone obyczaje i sieją zamęt w życiu obozu. Dla starych ludzi była jedna pocięcha – śmierć. Wielu z nich zmarło tej zimy, nie tylko od chorób, ale i od strapienia dziwnymi nowymi obyczajami. Mroźnej i wrogiej zimie nie widać było końca. Nawet zdobywcy Polacy chodzili głodni i musieli zarznąć trochę koni na mięso. Kilka ko-

biet poroniło, wiele niemowląt zmarło. Wojacy wzięli się do łowów w lasach, ale nie byli jak Leśnicy i nie znali zwyczajów i kryjówek zwierząt. Prawie wszyscy wojacy chowali się u rodziców, co orali ziemię, toteż niewiele wiedzieli o chwytności zwierza we wnyki i łowieniu ryb. Niektórzy z nich uknuli znowę, żeby ujść od Króla Rudego i powrócić do swych domów, lecz Król Rudy miał donosicieli i kazał przywódców spisku skrócić o głowę. Zresztą tam, skąd przyszli wojacy, rządzili już inni królowie. Gdy wojacy raz opuścili domy i weszli na drogę grabieży i zabijania, nie było dla nich powrotu.

Zanim przyszedł mróz, Polacy wysłali dziewczęta i kobiety z koszami po jeżyny, borówki, agrest, porzeczki, czereśnie, jabłka, śliwki i inne owoce, jakie hojna Matka Ziemia zrodziła w ciepłe miesiące. Kobiety brały część owoców dla swych rodzin, a resztę zostawiały władcom jako daninę. Król Rudy zagroził, że tym, co zabiorą za dużo dla siebie i zostawią za mało dla jego ludzi, utnie się ręce. Lecz wojacy nie jedli owoców i jagód, tylko pędzili z nich mącący w głowie trunek zwany wódką. Kiedy wypili, zataczali się półnaczy, wyli sprośne piosenki, miotali przekleństwa. Potem wracali do swych chat i bili swe nowe żony. Dziewczyny, co służyły kneziom, też czasem próbowały ćmiącego rozum napoju i zaraz chichotały, czały, wrzeszczały i padały sobie w ramiona. Starzy ludzie utyskiwali, że król i jego ludzie są na pewno opętani przez czarty. W górach mieszkał zły duch zwany przez ludzi Smokiem. W Smoku było trochę z człowieka, trochę z węża, trochę z diabła. Płatał ludziom różne psoty, ślepił oczy, mieszał zmysły. Na jego rozkazy stała zgraja złych duszków, wiedźm, krwiopojów, co wykonywali dla niego najszkaradniejsze zadania. Niektóre kobiety mruzczały, że to Król Rudy jest Smokiem w przebraniu i czarownikiem.

W mroźne dni i noce zmarło tak wielu wojaków, że zdawało się, iż nikt nie dożyje wiosny. Lecz znienacka przedarło się przez chmury słońce i zrobiło się ciepło i jasno. Obsiane przez Leśników pola całe porosły zbożem – później miał być z niego upieczony chleb. Zakwitły drzewa. Szpaki, jaskółki, bociany wróciły z dalekich krajów i pospieszyły budować nowe gniazda lub naprawiać stare. Król Rudy wysłał bębniarza, aby zawezwał ludzi na jego przemowę. Nazwał Leśników braćmi. Powiedział im, że wrogowie czyhają, aby spustoszyć ich obóz i podpalić uprawy. Lecz on, Król Rudy, ochroni ich przed nieprzyjaciółmi i zniweczy te zamysły. Oświadczył także, że obrał sobie spośród nich dziewczycę i zaślubi ją przy pierwszym księżycu. Będzie to znak przymierza między nim a Leśnikami. Powiedział, że wybranka zwie się Łaska. Tłum wydał okrzyk radości. Leśnicy śpiewali, tańczyli, klaskali w dłonie. Potężny król obrał sobie dziewczynę z ich krwi za żonę.

Łaskę wszyscy w obozie znali. W czas kaźni jej matka, dwie siostry i bracia zostali zabici, a Łaska zgwałcona. Jej babka, Mała, która w czasie napaści skryła się w krzewinie, lękała się, że Łaska nosi w sobie dziecko gwałciciela, lecz szczęściem krwawienie przyszło na czas. Wraz z innymi dziewczętami Łaska zbierała tego lata owoce i jagody dla wojaków i właśnie wtedy ujrzał ją Król Rudy. Spytał, jak się zwie, i posłał jej podarek. Gdy teraz obwieścił, że Łaska zostanie królową, kobiety spojrzały wokół siebie i stwierdziły, że dziewczyny i jej babki nie ma wśród nich.

Szybko się zwiędziano, że Łaska jest chora. Leżała na stercie skór w namiocie babki, a ciało miała gorące. Mała przyrzadziła wywar z ziół, lecz dziewczyna nie wypiała. Gdy przyszły kobiety z dobrą nowiną, Mała rzekła:

– Łaska umrze. Nie chce jeść.

Po chwili nadszedł Król Rudy w otoczeniu kilku ze swych ludzi. Oczy dziewczyny były przymknięte, jasne włosy w nieładzie, twarz blada. Król Rudy potrząsnął głową. Spytał Małą, czy Łaska ma innych krewnych, a staruszka odrzekła:

– Jej ojciec schował się w górach. Wszystkich innych zabili twoi wojacy.

– Jak się zwie jej ojciec?

– Cybula.

– Chcę, aby wrócił. Przyrzekam go nie ukrzywdzić.

– Nie dał o sobie znać. Może umarł – powiedziała staruszka. – Niby do czego ma wracać?

Nasze życie jest wykorzenione jak drzewa po zawiei.

– Kiedy wyrwać drzewo z ziemi, na jego miejsce wyrasta inne – odparł Król Rudy. – Jeżeli Łaska nie umrze, będzie moją żoną i matką moich dzieci. Kiedy na polach dojrzeje pszenica, chleba starczy dla wszystkich.

- Ona rychło umrze.
- Daj jej dużo wody do picia.
- Jutro będzie ze swą matką i innymi duchami w czeluściach ziemi. Wnet i ja pójdę za nią.

Król Rudy ostatni raz spojrzął na chorą dziewczynę i wyszedł. Do boku przypasany miał miecz w skórzanej pochwie. Tam, skąd przychodził, blisko Wisły, kowale kuli żelazne miecze, włócznie, podkowy. Przyływały statki z krain, gdzie żyli Niemcy – zwali ich tak, bo gadali w mowie, której nikt nie rozumiał. Większość ludzi w plemieniu Króla Rudego trudniła się uprawą roli. Niemcy przywozili im kosy i łopaty, a także piły, młoty, gwoździe, siekiery. Polacy dawali w zamian miód, len, jęczmień, owoce, skóry i drewno na budowę. Dogadywali się w tym kupczeniu na migi. Na nieszczęście Polacy wojowali między sobą. Co kilka lat jakiś nowy król lub inny wódz wiódł swych ludzi na grabieże. Zabijali, łupili, gwałcili, podpalali domy i uprawy, wprowadzali trzody. Sam Król Rudy ledwie kiedyś uszedł z życiem od takiej napaści. Później zebrał drużynę wojaków i razem ruszyli szukać krain, gdzie ludzie żyją z myślistwa i zbieractwa. Takich ludzi łatwo było poskromić. Za całą broń mieli łuki i strzały. Świat stał otworem dla zbrojnych w miecze i włócznie, którzy nie bali się rozlewu krwi lub śmierci w bitwie.

Król Rudy i jego knezie wyszli z namiotu i wrócili do swych chat. Łaska zdała się mu prawie bez życia. Smuciło Króla Rudego, że nikt mu nie powiedział o jej chorobie, lecz była to jego własna wina. Rzadko wyjawiał swym ludziom, co zamierza uczynić. Często byli pijani, toteż nie ufał im, że będą trzymać język za zębami. Każdy z nich szukał tylko swego, podczas gdy on, Król Rudy, troskał się o nich wszystkich. A prawda była taka, że miał już dość tułactwa, grabieży, wojowania. Pragnął osiąść w jednym miejscu, mieć żony, dzieci i rządzić ludem, który ma w bród jadła. Miał nadzieję na dobre zbiory. Ci, co żyją z roli, muszą być przezorni i cierpliwi, nie mogą zjeść całego zboża do ostatniego ziarenka, lecz muszą odłożyć trochę na siew.

Lecz do żniw było jeszcze daleko. Król Rudy pożałował, iż dozwolił swym wojakom zabić tylu mężczyzn. Nie zostało nikogo, kto by polował. Kilku z jego zwiadowców powiadomiło go również, że Leśnicy, co uciekli w góry, sposobią się do niespodzianej napaści. Czekają, aż głód wyzaje obóz z sił i wtedy, w ciemnościach nocy, podpalą pola i zakradną się do chat śpiących wojaków.

Kto będzie mą królową, jak Łaska umrze, rozmyślał Król Rudy. Prócz Łaski żadna dziewczyna w obozie mu się nie podobała. Wszystkie młódki były brzemiennie, a Król Rudy ani myślał siał w glebie, gdzie zostawili już swe nasiona inni. Gdy tak przechadzał się i nad tym wszystkim zastanawiał, ścieżką nadeszła młoda dziewczyna – bosa, w spódnicy ze zwierzęcej skóry. Nie mogła mieć więcej niż dwanaście lat. Niosła kosz rzepy. Było zimno, chociaż świeciło słońce. Od górną wiatr i rozrzucał jej włosy. Król Rudy zatrzymał ją.

– Jak się zwiesz?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Coraz to zerknęła za siebie, gotowa do ucieczki.

– Nie bój się, nie zjem cię. Jak się zwiesz?

– Jagoda.

– Jagoda, he? Chodź ze mną.

Knezie wybuchnęli śmiechem. Dziewczyna zaczęła się jękać.

– Muszę zanieść rzepę matce do namiotu.

– Matka może zaczekać. – Król Rudy złapał ją za szyję. – Nie próbuj uciekać, bo ci łeb ukręcę.

– Matka głodna.

– Twoja matka zje później. Dam ci trochę chleba dla niej.

Dziewczyna nadal się opierała, lecz Król Rudy ścisnął ją za gardło dwoma palcami. Lewą ręką wyrwał jej koszyk i dał jednemu ze swych towarzyszy. Przywiódł dziewczynę do swej chaty – dużej izby z klepiskiem i ścianami z sękatych kłód. Czwórrożny otwór w jednej ścianie służył za okno i zakryty był zwierzęcym pęcherzem, który przepuszczał światło. Na stole leżały miecze, włócznie, na ziemi worki z suszonym mięsem – z cielęciami, owcy, zającami. W izbie pachniało pleśnią, zjełczalym tłuszczem i zgniłymi owocami. Kneź położył na ziemi koszyk dziewczyny i zniknął. Król Rudy rzekł:

– Nie bój się, Jagoda. To izba mężczyzny, nie jaskinia niedźwiedzia.

– Matka...

Ale to było wszystko, co zdążyła powiedzieć. Król Rudy cisnął ją na stos skór i zgwałcił. Darła się, lecz zatkał jej usta dłonią. Potem wstał na skrwawione nogi i zawołał jednego z wojaków. Ten otworzył drzwi.

– Zabierz dziewczkę. Daj jej precla – przykazał.

2

Gdy Leśnicy uchodzili w góry, zabrali ze sobą łuki i strzały. W górach było mniej zwierzyny niż w dolinie, lecz dało się złowić tyle, żeby nie umrzeć z głodu. Góry obfitowały w jaskinie, które dawały im schronienie. Przywódcą był ojciec Łaski, Cybula. Niski, sama skóra i kości, i prawie łysy – miał tylko kilka krzaczystych kępek włosów. Został wodzem, bo był zręczny i sprytny. Miał celne oko. Jego strzały wchodziły głęboko w ciało zwierza. Miał smykałkę do splatania koszyków, zarzucania sieci na ryby i zakładania wnyków. Pokpiwał sobie z gnuśników, tchórzów i głupców w obozie. Śmiał nawet żartować z Baby Jagi, smoków i innych czartów, i bogów. Umiał utrzymać hart ducha w obozie. Był mały i zwinny, wspinał się na najwyższe drzewa, wywijając fikołki, udawał wycie wilków, chrząkanie dzików, głosy ptaków. Czasem zabawiał obóz, udając gadanie starych bab, ich utyskiwania i swary, przekleństwa, jakimi się wzajem obrzucały, ich pomstowania i żale na mężczyzn. Nie zmożła go nawet śmierć żony i dzieci w ostatniej kaźni.

Lecz jeśli kto gadał o zaprzęgnięciu ludzi do pługów i nakłonieniu ziemi, by zrodziła pszenicę, jęczmień i inne zboża, Cybula poważniał. Mówił, że dopóki mężczyźni polują i łowią ryby, dopóty mogą ruszać się z miejsca w miejsce, żyć, jak chcą i zostawić kobietom dmuchanie w ognisko domowe i chowanie dzieci. Ludzie, którzy orzą ziemię, zatkwienci są w niej jak drzewa. Zostają w namiotach jak kobiety i błagają ziemię, aby wydała te przeklęte zboża. Słyszał nawet, że gdzieś niedługo knezie i panowie podzielili ziemię między siebie i uczynili niewolników z tych, co pracowali na roli. Czemu nie możemy żyć jak nasi ojcowie i dziadowie? – pytał Cybula. Nie trzeba łachotać i drapać Matki Ziemi, aby dawała plód. To, co ma, daje co lato z własnej woli.

Leśnicy roztrząsali zalety i wady uprawiania ziemi na długo, zanim Król Rudy napadł na obóz. Prawda, przez ostatnie kilka lat jadła było coraz mniej. Starzy ludzie pamiętali czasy dużo większej obfitości zwierzyny i ryb. Ale czy rzeczywiście? Starzy ludzie często zmyślają różne rzeczy, no i często zawodzi ich pamięć. Każdej zimy przysięgali się, że jeszcze nigdy mróz nie był taki ostry, a każdego lata powtarzali to samo o skwarze. Prawda, więcej ludzi dziś głoduje, lecz czy jęczmień i pszenica usuną głód? Śmierć zabiera, kogo zechce. Gdyby nie śmierć, świat byłby nabit ludzi aż po samo niebo.

Większość Leśników zgadzała się z Cybulą i razem knuli, jak tu zgładzić Króla Rudego i jego ludzi. Uradzili posłać człowieka, aby szpiegował w dolinie, a reszta sposobila się do wojny. Tymczasem przyszła wiosna i Leśnicy powitali ją modłami i śpiewami. W dawnych latach wiosnę witali podarkami dla duchów i bogów. Wybierali młodą dziewczkę na ofiarę na ołtarzu, a później mężczyźni moczyli palce w jej krwi. Kobietom nie wolno było patrzeć na obrządek. Lecz jako że wśród tych, co uciekli w góry, nie było żadnej dziewczki, ofiarowali w zamian pieśni i zaklęcia.

To wtedy Cybula dowiedział się, że jego córka Łaska uszła z życiem i teraz leży chora w namiocie swej babki. Zaraz chciał iść sam w dolinę jako zwiadowca, lecz Leśnicy nie usłuchali. Kto zajmie jego miejsce, jeżeli go odkryją i zabiją? Wysłano kogo innego. Wrócił z wieściami, że Łaska wydobrzała i ma poślubić Króla Rudego na nowiu.

Pewnej ciemnej, bezksiężycowej nocy Łaska spała w namiocie babki i zdawało się jej, że ktoś lekko dotyka jej twarzy. Zbudziła się raptownie, gotowa krzyknąć, lecz usłyszała ściszony głos:

– Nie bój się, córko, to twój ojciec.

Obudzili także staruszkę Małą, a gdy dowiedziała się, kogo mają za gościa, powiedziała:

– Zostaw ją w spokoju, Cybula. Jak cię tu zdybią wojacy, to nas rozszarpiają na kawałki. Łaska ma poślubić Króla Rudego. Wiesz, że wszystko straciła, tylko ona mi pozostała.

– Kogóż to masz poślubić, córko? Łotra, co zabił twe siostry, twych braci, twą matkę?

– Czego chcesz? – odrzekła Łaska. – Byłam chora. Przygotowali już dla mnie grób. Nie mogę pójść z tobą w góry, jestem za słaba. Poza tym nie mogę zostawić babki samej, bo król na niej się zemści.

– Pójdźcie ze mną obie. Mroźne dni się skończyły, w górach jest ciepło. Pójdźcie i zamieszkajcie w mojej jaskini. Moi bracia myśliwi sposobią się, by przyjść tutaj i zgładzić Króla Rudego i jego ludzi.

– Kiedy nadejdą? – spytała Mała.

– Każdej chwili. Może nawet jutro.

– Co powinnam uczynić, babko? – spytała Łaska.

Mała westchnęła.

– Jesteś za słaba, aby wspinać się w góry. Potkniesz się po drodze i upadniesz, kruki ci oczy wydziobią. Łaska, poślub Króla Rudego i pozwól mu utuczyć cię jego obwarzankami i wędzonym mięsem. Gdy odzyskasz siły, będziesz znowu sobą. Ja sama wnet umrę i nie będziecie mieli na głowie starej kobiety, co ją trzeba wlec przez góry.

– Może słusznie mówisz, babko – powiedział Cybula – lecz tymczasem król położy się z nią i uczyni brzuchatą.

– Inni się z nią już kładli – powiedziała Mała. – Zgwałcili w noc napaści. Aż dziw bierze, że nie nosi czyjegoś dziecka.

Łaska przez długi czas milczała.

– Czy Król Rudy o tym wie?

– Nie, nie wie – odrzekła Mała.

– Kiedy się dowie, że nie jestem dziewicą, to mnie zaraz zabije. Lepsza śmierć niż to nasze marne życie – powiedziała Łaska.

Cybula odczekał chwilę, po czym powiedział:

– Wrócę tu. Wszyscy wrócimy.

I wyszedł tak cicho, jak wszedł. Skradał się przy ziemi, wypatrywał i nasłuchiwał. Jego uwagi nie uszedł najlżejszy szmer. Przekłubał mrok wzrokiem jak wilk. Zaraz dojrzał wyłaniającą się z namiotu dziewczynę. Wyszła za potrzebą.

Cybula czekał. Kiedy wstała, rzucił się na nią, szybko zatkał jej usta dłonią i powłókł ją za sobą. Dziewczyna wierzgała i charczała. Na poły niósł ją, na poły ciągnął za sobą i wnet byli poza obozem. W worku miał trochę sznura, skórę zwierzęcia oraz łuk, strzały i upieczonego ptaka. Zdjął rękę z ust dziewczyny i powiedział:

– Nie próbuj krzyczeć, bo cię na miejscu uduszę.

– Matka...

– Kim jest twoja matka? Kto ty jesteś?

– Moja matka to Kora, a ja jestem Jagoda.

– Kora żyje? Ja jestem Cybula.

– Puść mnie. Moja matka...

– Musisz pójść ze mną. Jeśli nie pójdziesz po dobroci, to cię zwiążę i siłą zaciągnę. Nie jestem twoim wrogiem. Moi bracia myśliwi i ja wnet przyjdziemy zabić wszystkich Polaków. Nasadzimy Króla Rudego na pal i przedziurawimy aż po głowę. Twój ojciec Kostek i ja byliśmy jak bracia. Razem chodziliśmy na łowy. W dniu twoich narodzin zasadziliśmy koło jego namiotu gałązkę czereśni. To ja go namówiłem, aby dał ci na imię Jagoda.

– Moja matka nie będzie wiedziała, co się ze mną stało. Będzie płakała, skuczała i rwała włosy.

– Dowie się. Mamy zwiadowców, co jej powiedzą.

– Puść mnie.

– Nie.

Cybula wyjął z worka sznur i obwiązał Jagodę w pasie. Gdy zaczynała skowyczeć, bił ją w twarz, póki nie przestała. Kiedy byli już daleko od obozu, kazał jej usiąść, urwał trochę mięsa ptaka i dał jej. Kiedy skończyła jeść, cisnął ją na ziemię i zgwałcił. Potem zapytał:

– Kto ci to wprzód zrobił, wojacy?

– Nie – odrzekła. – Król Rudy.

3

U Leśników, Polaków i innych plemion, co mówiły mniej więcej tą samą mową, różny był obyczaj względem brania sobie żon. U jednych plemion mężczyźni kupowali żony, u innych porywali. Jeżeli kobieta była z innego plemienia, oblubieniec mieszkał u rodziców oblubienicy i dopiero po latach wracał wraz z żoną do siebie. Czasem małżeństwo układali rodzice, a młodzi pierwszy raz widzieli się na ślubie. Babie Jadze albo innej bogini składano w ofierze jakieś zwierzę, a potem oblubieniec czynił popisy przed ojcem oblubienicy, jaki z niego zręczny łowca i strzelec. Młode dziewczęta musiały dniem i nocą strzec oblubienicy przed złymi duchami. W dawnych czasach narzeczona mogła być spalona na stosie, jeżeli utraciła wianek przed ślubem. Gdy przyszła praca na roli i władza kneziów i panów, oblubienica często musiała oddać się panu, zanim posiadał ją mąż. Czasem gody związane były z obrządkami wywoływania deszczu i przepędzania czartów, które się chowały po polach i w snopach pszenicy. Jedno plemię robiło nawet pogrzeb na niby – kładli młodych do grobu przy wtórze pieśni i lamentów – aby oszkapić wiedźmy i czarowników, co odbierali narzeczonemu chuć, a narzeczonej zdłużali krwawienie. Dzień przed ślubem narzeczona wplatała kwiaty we włosy, a potem chodziła po całym obozie od namiotu do namiotu i spraszała ludzi na gody. W każdym namiocie klękała przed zaproszonymi gośćmi i całowała ich stopy. W tym czasie przyjaciele żartowali z narzeczonym, dawali mu uciészne porady i wyzywali na pojedynek. U niektórych plemion myśliwskich był obyczaj, że młodzi kładli się w łóżka, lecz się nie tykali, póki wypatrywacz gwiazd nie dał znać, że nadeszła właściwa pora.

Ponieważ Król Rudy, jego knezie i panowie pochodzili z różnych stron i ponieważ tylu młodych Leśników poległo lub pochowało się, a kobiety były brzemienne potomstwem ich wrogów, Król Rudy postanowił zaślubić Łaskę bez wielkiego dzwonu i uroczystości. Po prostu przyszedł do namiotu Małej w towarzystwie swych panów i tam Mała oddała Łaskę pod pieczę jej męża. Staruszka babka wymruczała pod nosem kilka słów, lecz nikt nie wiedział, czy pobłogosławiła temu związkowi, czy go przeklęła. Polacy byli już całkiem pijani. Potrząsali w stronę Króla Rudego mieczami i przez chwilę się zdawało, że chcą zapobiec temu małżeństwu. Lecz gdy Król Rudy spojrział na nich surowo, rozstąpili się i dali mu przejść.

Dom Króla Rudego nie był jeszcze ukończony. Latem smród stał się jeszcze bardziej nieznośny, a przez czwórrożną dziurę w ścianie wlatywały do środka różne muchy, motyle, ćmy i pszczoły. W kątach izby wisiało pełno pajęczyn. Ponieważ król trzymał w domu żywność, po klepisku grasowały polne myszy. Wojacy ciągle pili i robili coraz większą wrzawę. Zdechł im ostatni koń i obdzierali go ze skóry, aby go później zjeść. Król Rudy okiełznał chęć wybatożenia wojaków, lecz nie mógł poskromić gorzkich uczuć. Ludzie z gór zdołali wkraść się do obozu i uprowadzić Jagodę, co znaczyło, że wojacy naznaczeni do pilnowania obozu posnęli.

Leśnicy z gór mogli bez trudności zdeptać albo podpalić uprawy, czy też narobić innych szkód. Wielu z panów powiedziało królowi, że nie ma co ociągać się i czekać na żniwa. Wojacy umieli strzaskać komuś głowę, podpalić dom i zgwałcić kobiety, ale gdy przyszło do roboty, wylażyły z nich lenie. Zwyczajne im było zbójectwo i grabież, a nie osiadłe życie i znój. Znaleźli się już wojacy, co postawili się kneziom, a nawet Królowi Rudemu.

Wojaków było wielu, a kneziów ledwie garstka. Wielu z najpotężniejszych kneziów króla zmarło w czas zimy. Kilku wojakom trochę lub całkiem odebrało rozum. Przestali gadać ludzką

mową, chrząkali i ryczeli jak bydłeta, rechotali, płakali, napadali staruszki, niezdadni byli do myślenia czy orki. Kilku z nich należałoby zachłostać na śmierć lub powiesić, lecz knezie wiedzieli, że taka kara mogłaby wzniecić bunt wśród głodnych wojaków.

Król Rudy pokładał wszelkie nadzieje w żniwach. Jednak wiosną mało padało. Głupotą było brać sobie żonę i myśleć o dzieciach, kiedy musiał stawić czoło tylu niebezpieczeństwom. Mimo to Król Rudy nie chciał się poddać. Czy powinien powędrować dalej? Napaść na jeszcze mniejsze obozy i zniszczyć je? On, Król Rudy, pragnął kiedyś przynieść chleb tym ludziom, co mówili podobną do jego własnej mową. Pragnął uczynić z nich jeden lud – lud Polaków. Często budził się w nocy, leżał w swym łóżu i nie mógł usnąć. Jego własna straż mogła wejść i zakatrupić go. Taki koniec spotkał wielu wodzów i królów. Słyszał kiedyś o krainie, gdzie królów koronowano na jeden rok, po czym ich uśmiercano. Słyszał też o ludziach, których król brał sobie żonę tylko na parę lat. Kiedy królowa rodziła dziecko, obwoływali ją boginią, a sam król ścinał jej głowę i gdy jej ciało umierało, duch albo ulatywał w górę do bogów, aby modlić się za swój lud, albo spadał w czeluście, gdzie rządzą zmarli, aby stać się włodarzem podziemnego świata.

Kiedy teraz Król Rudy przyprowadził Łaskę do swej chaty – w zgodzie z obyczajem przeniósł ją przez próg – smród w izbie był tak wielki, że skrzywiła się i poprosiła o wodę do picia. Po chorobie Łaska była osłabiona i blada. Król Rudy wyjął trochę mięsa i obwarzanek, lecz ona nie mogła jeść. Co rusz jakiś kneź lub wojak wkładał głowę przez dziurę w ścianie, aby zobaczyć, czy król leży ze swą żoną. Król Rudy przesłonił dziurę skórą, zaniósł Łaskę na swe łóżo i opuścił się na nią. Poczul wszakże, iż wchodzi przez otwarte drzwi. Uderzył ją w twarz, a ona wyznała, że w noc napaści zgwałcili ją dwaj wojacy.

– Kto oni są? Jak się zwa? – zapytał Król Rudy.

– Skąd mam wiedzieć? Było ciemno, a koło mnie leżała moja matka w kałuży krwi.

Skrzywdzili mnie i odeszli.

– I nie wrócili już?

– Nie.

– Dlaczego mi o tym wprzód nie powiedziałaś?

– Bo mnie nie pytałeś.

Król Rudy zepchnął ją z łóża. Powiedział:

– Może ty nie wiesz, którzy cię zgwałcili, ale oni wiedzą. I dziś wieczór śmieją się ze mnie.

Wszyscy już wiedzą o moim pohańbieniu, lecz ja nie wiem, kogo ukarać.

– Skąd mieli wiedzieć, że weźmiesz mnie za żonę? Zarzynali i gwałcili w nocy, po ciemku.

– Wyszukujesz dla nich usprawiedliwienia?

– Nie.

Król Rudy miał chęć wstać i udusić Łaskę lub zanurzyć miecz w jej piersi, ale się pohamował. Nie była to jej wina, a w obozie zrobiłby się szum. Powinien był wybrać Jagodę, nie Łaskę. Jagoda była dziewczicą. Lecz Cybula uprowadził ją w góry. Król Rudy spytał:

– Jesteś brzemienna?

– Nie, krwawienie przyszło na czas.

Pomógł jej wstać na nogi i zaprowadził z powrotem w łóżo. Nie przerażała go myśl, że może wejść wojak i go zabić. Jak można bać się śmierci i mogiły, kiedy ziemia tak kwitnie życiem? W jego głowie poczęła się tworzyć dziwna myśl: kiedy umrze, chce, aby go zakopali do ziemi i zasiali na jego kościach pole zboża. Może by wtedy człowiek zaprzestał rozlewu krwi zwierząt i żywił się dobrodziejstwami ziemi, słońca, deszczu.

miec. Lecz Cybula nie mógł dojść, co to za zwierz. Nadto ślady wiodły daleko w dół. Cybulę ogarnął niepokój, jako że zwierzęta górskie nie schodzą tak nisko w dolinę. To musi być zwierz, jakiego jeszcze nigdy nie widział. Tym razem nie zabrał ze sobą Jagody, bo miała krwawienie. Szedł po śladach z włócznią i łukiem w dłoniach, gotów wymierzyć w zad zwierza, kiedy go tylko ujrzy. Lecz oto stała się rzecz dziwna: ślady z nagłą znikły, tak jakby zwierzęciu urosły skrzydła i odfrunął lub jakby połknęła go ziemia. Cybula był zmęczony i usiadł, po czym wyjął polec wędzonego mięsa. Po jedzeniu zmorzył go sen. Zbudził go blask księżyca w pełni. Wiatr przyniósł mu w nozdrza nieznany zapach zwierza. Wstał i poszedł za zapachem, nie po to, aby schwytać zwierza, lecz aby ujrzeć, co to za stwór. Myśliwi często opowiadali historie o zwierzętach, co umiały przechwytrzyć człowieka czarami lub podstępem.

Nagle Cybula stanął w miejscu, jak rażony piorunem. Przed nim ciągnął się wielki łąn wysokiej już pszenicy, kłos przy kłosie. Pole osrebrzone było światłem księżyca. Ludzie, którzy uciekli z obozu, powiedzieli mu, że Królowi Rudemu nie obrodziło, że gleba jest zbyt kamienista, więc pszenica urosła rzadka i krótka, kłosa są puste. Lecz zdawało się, że mu nałgali, lub też to, co widziały jego oczy, było snem. Koniuszkami palców Cybula rozgniół łuskę pszenicy i skosztował ziaren. Miały niezwykajny smak. Ogarnęła go chęć, by cisnąć się w pole, zanurzyć w urodzajnym zbożu. Starsi myśliwi często mu gadali, że ci, którzy orzą ziemię, kaleczą ją, tak że rodzi zatrute ziarna. Lecz nad tym polem unosiło się coś bożego i błogosławionego. Od księżyca bił blask, jakby dzień i noc zeszyły się w jedno. Cybuli zdawało się, że niebo jeszcze nigdy nie było tak rojne od gwiazd jak tej nocy, jakby też było polem, obsianym błyszczącym zbożem.

Nie leżało w naturze Cybuli chylić głowę i oddawać cześć ludziom czy bogom. Padł wszakże na kolana i złożył polu hołd, jak składa się hołd bogu. Oddychał głęboko, wchłaniając w siebie zapach. Modlił się pod nosem do skrytej mocy, co dobywała takie cudowności z łona ziemi.

Cybula wstał i począł wchodzić głębiej w dolinę. Pragnął ujrzeć szałas (a może już dużą chatę), gdzie mieszkała Łaska z Królem Rudym, lecz pomyślał, że na pewno postawili koło niej straż. Bolał nad tym, że jego jedyna córka leży z zabójcą swej matki, całuje go i obłapia. Zrobiło mu się gorzko w ustach. Mężczyzna płodzi łono dla swego wroga. Podobnie rzecz się ma z synami. Człowiek oddaje obcym najlepsze, co ma. Cybula szedł dalej. Pochłodziło, księżyc skrył się za podługowatą chmurą z łuskami jak u ryby albo węża. Nagle Cybula stanął przed nadpalonym szałasem Kostka. Była tam Kora, matka Jagody. Cybula pojął, po co ten dziwny, znikliwy zwierz – pewnie duch nocy – powiódł go do jego dawnego domu: aby mógł przyprowadzić Jagodzie Korę. Nie było czasu do stracenia. Trzeba się było spieszyć. Cisnął się na drzwi i wywalił je siłą. Księżyc oświetlił izbę i Cybula ujrział na pół odziane ciało śpiącej Kory. Leżała na stercie skór. Powietrze pachniało psującym się mięsem, czosnkiem, moczem. Jedną ręką złapał Korę za gardło, drugą za tknął jej usta.

– Jestem Cybula – syknął. – Chodź ze mną.

Próbował powlec ją za sobą, lecz opierała się, krztusiła i drżała. Zdjął ją taki strach, że nie wiedziała, kim on jest i czego chce. Z jej gardła dobył się straszny wrzask. Szarpnęła go za nogę i obaliła na ziemię. Wrzepiła mu się pazurami w twarz. Wyswobodził się i począł walić ją pięścią w czoło, nos, głowę. Lękał się, że mogą przyjść wojacy i rozszarpać go na kawałki. Uprzytomnił sobie, że zgubił włócznię i łuk. Puścił Korę i wybiegł na dwór. Przykucnął i szukał swej broni. Pot ślepił mu oczy. W uszach mu dzwoniło, usta zalewała słodko-kwaśna ciecz. Muszę być mocny! – nakazał sobie. W tej chwili jakby błyskawica przeszła mu skroś głowę i upadł.

Kiedy przyszedł do siebie, ktoś chylił się nad nim, próbując przywrócić do życia. Była to Kora. Pomogła mu wstać. Złapała go mocno za rękę i próbowała pociągnąć za sobą. Pamiętał o zgubionej broni, lecz wrócić po nią byłoby szaleństwem. Ogarnął go wielki wstyd za swą słabość. Wraz z Korą przeszedł jeszcze raz koło pola i spojrział na nie. Księżyc zniknął.

Pole zdało się spoczywać pogrążone w głębokim śnie. Dopiero teraz Cybula zauważył, że Kora jest nagusieńka. Z sakwy na ramieniu wyjął skórę i zarzucił Korze na ramiona. Stali i patrzyli na siebie w chłodzie nocy. Był taki podniecony, że ledwie mówił.

– To ja, Cybula – powiedział. – Jestem twoim przyjacielem, nie wrogiem. Przybyłem zabrać cię do Jagody.

– Cybula! Mój Cybula!

Kora drżała z podniecenia, jakby dopiero teraz poznała, że to on. Zarzuciła mu ramiona na szyję, prawie zwalając go z nóg. Ucałowała go, przytuliła, zwilżyła mu twarz swymi łzami. Od jej ciała szła kobieca gorącość. Przycisnęła się do niego z taką siłą, że słyszał, jak mu żebra trzeszczą. Łkała.

– Wszystkich zabili, Kostka, naszych braci, nasze siostry. Po ziemi toczyły się głowy dzieci! Spadł na nas gniew bogów! Baba Jaga... – Tu Kora poczęła rwać włosy z głowy i kolebać się na boki. Cybula warknął:

– Cicho bądź! Usłyszą cię i...

– Dlaczego nam się to stało? To za karę, za karę! Ziemia była czerwona od naszej krwi. Biała nam i hańba! A nasi mężczyźni, gdzie byli? Rozpierzchli się jak myszy i zostawili nas same.

– Kora, nikt się ich nie spodziewał. Przyszli nocą jak wilki. Otwarłem oczy i cały obóz gorzał...

– Bracie mój, ojczu, przyjacielu! Każdej nocy leżałam w łóżu i mówiłam do ciebie – do ciebie i do Jagody. Zbudziła się zawczasu i wyszła na dwór. Czekałam, a ona nie wracała. Patrzyłam wszędzie, lecz nie mogłam jej znaleźć. Byłam pewna, że zabili ją wojacy i wyrzucili trupa. Dopiero później jeden z twoich ludzi przyszedł z nowiną, że ona jest z wami. Mój zbawco, mój bogu!

– Dalej, Kora, chodźmy!

– Zasnęłam i śniłam o tobie. Każdej nocy przychodziłeś do mnie w moich snach. Ty i Kostek, Kostek i ty. Wtedy odmykałam oczy, a ktoś targał mnie za ręce, za nogi, za włosy. Wszystkie nas zbezczęścili, radowali się naszym cierpieniem. Tłustej Jondzie rozpruli brzuch i wsadzili do środka szczura. Skręcała się w bóleściach, a oni pluli jej w twarz...

– Dość, Kora...

– Gdzie mnie zabierasz? Mój panie, mój zięciu. Zawsze cię miłowałam – odkąd byliśmy dziećmi. Miałeś być moim mężem, należałeś do mnie. Lecz przyszła twoja Jasna i odebrała mi ciebie. Przyszła jak wilczyca, wrzepiła się w ciebie pazurami i zawlokła do swego legowiska. A mnie została boleść i puste serce. Ale ty pamiętałeś, ty nie zapomniałeś. A teraz Jagoda będzie nosić twoje nasienie. Twoje dziecko będzie ssać jej pierś. To cud, to znak od bogów, że nasza miłość nie umarła.

– To prawda, Kora, było mi ciebie brak.

Cybula zadrżał. Zęby mu szczękały. Z chłodu czy z chuci? W brzuchu mu się skurczyło. Opuścił nisko głowę. Pośród jego niedoli i bóleści rozniecały się w nim stare żądze. Nieraz przedstawiał sobie Kostka martwym, Korę wdową, Jagodę sierotą. Lecz były to tylko mrzonki. Bogowie lub skrzaty słyszą najgłupsze błahostki, wszystkie zachcianki człowieka i czasem spełniają to, czego pragnie. Kora ujęła jego dłoń i położyła sobie na piersi. Ucałowała go, a jej włosy połechtaly go w twarz. Zapytała:

– Czy nie ma gdzieś opodal jaskini?

– Jest, trochę dalej.

– Chyba dnieje.

– Tak.

Cybula wznosił oczy do nieba. Gwiazdy gasły jedna za drugą. Budziły się ptaki i każdy mówił swoim głosem. Na wschodzie poczerwieniała chmura, jak bąbel, co zaraz pęknie. Na zachodzie skraj chmury począł się świecić. O niebiosa troszczyli się bogowie wielcy i mocni, lecz tu na ziemi każdą kroplę rosy, każdy kamyczek miały na pieczy mniejsze bożki. On, Cybula, stracił włócznie i łuk, lecz nadarzyła mu się kobieta. Teraz, kiedy wszystko legło w ruinie, kobiety nie żądały już uroczystych weselisk, mężczyźni nie musieli już słać wybrankom podarków – upadły stare obyczaje. Nic im nie było trzeba prócz jaskini. Chciał jej, kiedy byli jeszcze dziećmi i bawili się w męża i żonę. Udawał, że idzie na łowy i przynosi jej lisa, kunę, królika. Ona udawała, że piecze dla niego ptaka. Razem leżeli w krzaki, łechtali się, mamrotali słowa, które nie wiedzieli, co znaczą. Teraz córka Kory była jego żoną, Kostek nie żył, a Kora, jego teściowa, po tych wszystkich latach skrywanej namiętności szukała jaskini.

Niebo w jedno mgnienie oblało się pąsem. Wyszło słońce, błyszczące i mokre, prosto

z morskiej kąpiel. Stado ptaków pofrunęło mu na spotkanie, świergoląc ptasie dzień dobry. Cybula spojrział na Korę – była tylko trochę mniejsza od niego, syplkie brązowe włosy miała spryskane słonecznym pąsem, twarz wychudzoną, lica zapadłe, długą szyję pobrużdżoną i żylastą. Patrzył na jej brzuch, biodra, łydki. Skóra okrywała tylko jej ramiona. Dużymi ciemnymi oczyma patrzyła na niego ulegle, chciała mu się oddać z miłością, której ogień nigdy nie zagał.

5

Kiedy poprzedniego rana Cybula wychodził ze swym łukiem i włócznią, Jagoda zapytała, jak długo mu zejdzie, a on wzruszył ramionami. Teraz, gdy dzień zmierzchał, a Cybula nie wracał, Jagoda coraz bardziej się martwiła i trapiła. Była córką myśliwych i wiedziała, że nikt nie poluje na zwierza nocą. Roznieciła w jaskini ogień i upiekła kawałek mięsa, lecz nie miała chęci jeść. Po skalnych ścianach tańcowały cienie. Na dworze był chłodek, lecz w jaskini zimnica. Czy napadł go dziki zwierz, czy wojak? W górach mówili, że wojacy chcą tu przyjść i wszystkich wyrznać. Siedząc przy ogniu owinięta w skórę, Jagoda postanowiła, że jak Cybula nie wróci do rana, to ona skończy ze sobą. Prawda, może iść i powiedzieć innym Leśnikom, że Cybula nie wrócił, lecz ich jaskinie były zbyt daleko i na pewno by zabłądziła w górach. Zdawało się jej też, że mężczyźni patrzą na nią łakomym okiem. Każdy powtarzał w swej głupocie ten sam niesmaczny żart:

– Jagoda, zjadłoby się ciebie.

Większość Leśników miała jasne włosy i niebieskie oczy, lecz u Jagody skóra była ciemna, a oczy piwne. Plemienni uciesznicy mawiali, że przypomina jeżozwierza, mysz polną, wiewióra. Nieliczne kobiety, którym udało się uciec od Polaków, miały długie i ostre języki. Urządzały sobie kpinki z siebie nawzajem, szeptały sobie do uszu, plotkowały, że ta jest niechlujka, ta znów nie umie gotować czy piec, inna jest niewierna mężowi, jeszcze inna za chuda, za gruba, za głupia, zbyt podstępna. Jak kopały korzonki albo zbierały owoce, prześcigały się, która zbierze więcej, zręczniejsza, która skradnie ziemi lub drzewu lepszy plód. Lecz Jagoda nie chciała między nie wchodzić. Czuły zawiść, bo Cybula obrał ją sobie za żonę.

– Co on w tobie widział? – pytały. – Co ty tam masz między nogami? – Mrugały przy tym do siebie, patrzyły znacząco, trącały się łokciami.

Ona, Jagoda, tak bardzo się od nich różniła. Była zarazem dziecinna i zbyt poważna. Miała prawie trzynaście lat, lecz bawiła się, jakby miała pięć albo sześć: zbierała szyszki, nie na opał, a do zabawy. Bez żadnej przyczyny zbierała osty, trujące jagody, grzyby, barwne kamyki, malutkie jajeczka nieznanich ptaków, motyle, pióra i inne takie dziecinne rzeczy. Udawała, że drzewo jest jej zmarłym ojcem, Kostkiem, i gadała do niego, a nawet całowała pień. Podobnym mrzonkom oddawała się o swej matce, Korze, która została w obozie. Czasem Jagoda udawała, że jej dawno zmarli bracia i siostry jeszcze żyją i rozmawiała z nimi, tańcowała, bawiła się w chowanego.

Po napaści wojaków i po tym, co jej uczynił Król Rudy, życie Jagody było jak jeden długi sen. Jej matka, Kora, wierzyła w ducha zwanego domowikiem. Często mawiała, że mieszka z nią domowik, chowa się w drzewach, w zaroślach, w skórach. Przynosił jej chrust z lasu, znajdował pożywienie, nosił wodę ze źródła. Matka Kora odziedziczyła go pono po swym ojcu Chmielniku i swej matce Trawce. Kora przysięgała, że jednego razu, kiedy chorowała na oczy i nic nie widziała, domowik wlał jej do łóża i lizał jej oczy całą noc. Rano, kiedy je otworzyła, znówu dobrze widziała. Jagoda często szukała tego domowika, chciała, aby był także jej duchem, lecz się wymykał. Dawał o sobie znać tylko od czasu do czasu, kiedy szemrał w bierwionach, które ciął jej ojciec, albo rozchlapywał wodę w beczce. Czasami, kiedy Jagoda szła za szafas za potrzebą, łechtał ją w pośladki. Czasem szeptał jej coś do ucha, ale nie rozumiała co. Kiedy Jagoda poskarżyła się matce, że domowik trzyma się od niej z dala, Kora obiecała, że po jej śmierci albo też w razie jakiegoś niebezpieczeństwa on pokaże się Jagodzie.

Tej nocy, kiedy Cybula nie powrócił, Jagoda przemówiła do domowika. Opowiedziała mu o wszystkim, co ją spotkało, i błagała, aby pomógł znaleźć Cybulę. Zapytała w głos:

– Jest on pośród żywych? Czy też jest już w podziemnej jaskini, gdzie zawsze panuje mrok? Czy jest razem z mym ojcem Kostkiem i z mymi dziadami i babkami? Brak mi go, domowiku. Bez Cybuli nie chcę żyć – powiedziała.

– Zrób mnie, czym byłam, zanim się urodziłam – niczym. Nie chcę pamiętać, że Król Rudy mnie zgwałcił. Nie chcę, aby Cybula wiedział, że to się naprawdę zdarzyło. Chcę stać się niczym, chcę przestać być...

Taka się zrobiła senna, że spadła z kłody, na której siedziała. Leżała na gołej kamiennej podłodze. Przyszedł na nią sen i zaprawdę przestała być. Lecz coś zostało żywe – bańka na wodzie, włos, pajęczyna, której trzymała się jak pająk. Była za ciężka na pajęczą sieć, lecz nie śmiała puścić, bo pod nią ziała czeluść bez dna: jeśli puści, to spadnie i polecą w dół.

Kiedy Jagoda odemknęła oczy, przez otwór w jaskini wlewało się światło dnia. Ogień zgasł i został tylko popiół. Stopy jej zgrabiały i nie mogła wstać. Nie pamiętała, gdzie jest. Zrazu nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa. Nagle sobie przypomniała – Jagoda. Cybula ostatniej nocy nie wrócił, nie żyje. Nie mogła nawet płakać. Nigdy już nie wyjdę z tej jaskini, pomyślała sobie, tutaj umrę. Zazwyczaj wstawiała głodna, lecz tym razem język miała obłożony, a gardło ściśnięte i nie mogła nawet przełknąć śliny. Znowu zamknęła oczy i zaraz zaczęła śnić. Nie była już w górach, lecz w innym obozie, gdzie chyba zdarzyła się rzeź. Ludzie leżeli pokodem, gardła mężczyzn poderżnięte, brzuchy kobiet rozprute. Co za dziwo: jedna chyba rodziła i spomiędzy jej ud sterczała głowa cielęcia...

Jagoda spała bardzo długo. Jak tylko zaczynała się budzić, przypominała sobie, że Cybula nie wrócił, i znowu zasypiała. Wciśnięta w ramiona głowa ciążyła jej jak kamień. Co się obudziła, to zaraz zasypiała. Znowu zaczęło się wędrowanie: cudze obozy, nieznanne twarze. Jagoda szukała swej jaskini i ludzie pokazywali jej ścieżki, szlaki, szczeliny w ziemi, które ją tam zaprowadzą, lecz wiedziała, że miast się zbliżać, coraz bardziej się oddala...

Otworzyła oczy i po czerwonej poświacie na dworze poznała, że jest już zmierzch. Usiadła i przesunęła się ku wejściu do jaskini. Słońce zaszło za górę. Na gałęziach drzew siedziały ptaki. Naga poszła się wykąpać w potoku. Choć woda była zimna jak lód, Jagoda zanurzyła się w rwącej strudze. Cybula powiedział jej, że potok wpada do większej rzeki, a rzeka do morza. Mieszkają tam wielkoludy o dwóch głowach, z długimi ogonami i czterema łapami. Co tylko Jagoda dawała nurka w wodę, otwierała oczy i patrzyła za Topielem, duchem, który miał mieszkać na dnie rzeki ze swymi żonami. Kiedy piąty raz wychyliła głowę z wody, usłyszała, że ktoś na nią woła. Głos zdawał się znajomy, lecz nie miała pewności, do kogo należy. Do pierwszego głosu wnet dołączył drugi. Do potoku wskoczyło dwoje na pół nagich ludzi. Cybula złapał Jagodę w ramiona, a ktoś inny – Kora, jej matka – przytulił ją z dzikim okrzykiem.

6

Tego wieczoru między Leśników w górach poszły słuchy, że Cybula wrócił z Korą, matką Jagody i wdową po Kostku. Spiesznie zebrali się przed jaskinią Cybuli, przynosząc ze sobą jadło i sok z owoców. Noc była ciepła, siedzieli na dworze na ziemi. Cybula opowiedział im o tym, jak tropy znikliwego zwierza zawiadły go w dolinę i jak oswobodził Korę. Mówił o polu, o dobrodziejstwach, jakie bogowie zesłali na ziemię. Przyniósł ze sobą kilka kłosów zboża i pokazał je Leśnikom w świetle księżyca. Każdy z Leśników wziął i obejrzał jeden kłos. Niektórzy wydlubali ziarno i spróbowali, jak smakuje. Kilku z ich zwiadowców wróciło z wieściami, że pszenica rośnie marnie i że po zbiorach nie zostanie nic prócz pustych łusek i plew, które rozwieje wiatr. Lecz pszenica, którą przyniósł Cybula, była dobra w smaku. Cybula powiedział, że tak, Polacy są zbójcy, lecz zbo-

że, które przynieśli ze sobą, jest dobre; Ma w sobie nasiona, które wzrosną i będą się pomnażać w przyszłości. W polu pracują nie wojacy, powiedział Cybula, lecz starcy i młode kobiety, które ostały się żywe w obozie. Nadmienił coś jeszcze: większość młodych kobiet w obozie jest brzemenna potomstwem tych wojaków i byłoby niesprawiedliwością wobec nienarodzonych dzieci osierocić je, nim przyjdą na świat.

Leśnicy słuchali w milczeniu. Jeden z nich wykrzyknął:

– Bronisz zbójców, bo zrobili z twojej córki królową!

– Nie, nieprawda – odrzekł Cybula. – Jak dla mnie, to możecie iść i zabić Króla Rudego, lecz nie zapominajcie, że wojacy mają żelazne miecze i włócznie, a my nie. Nie będą siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż ich zabijecie. Rozpocznie się nowa rzeź i pierwszymi ofiarami będą wasze córki i żony.

– Jaka jest twoja rada? – spytał inny z Leśników.

Cybula nie od razu odpowiedział.

– Moja rada jest ugodzić się z nimi.

Gadali jeszcze długo. Kilku Leśników szeptało sobie wzajem do ucha. Cybula posłyszał słowo „zdrajca”.

Cybula i Nosek

1

W dolinie było piękne lato. Dni były jasne, tylko czasem się chmurzyło i padał deszcz. Potem chmury się rozwiewały i znów świeciło słońce. Nad polami latały stada ptaków, chcąc skosztować zboża, lecz Król Rudy, wychowany przez rodziców, którzy uprawiali ziemię, kazał wykopać kilka trupów, zedrzeć z nich mięso do kości i osadzić szkielety na słupach. Wystrachane ptaki zaskrzeczały i odfrunęły. Staruszki pomstowały, że Król Rudy jest występny, bo co ziemia zakryła, człowiek niech nie odkrywa. Groziły, że będzie głód i zaraza. Lecz Król Rudy nie chciał patrzeć, jak ptaki żreją ziarna, które on i jego wojacy przynieśli w workach na plecach.

Tej nocy Król Rudy jak zawsze poszedł spać pijany. Nie mógł pohamować ani swej ciągoty do mocnego trunku, ani swego smutku. Nie darzyło się tak, jak sobie uwiłdzał. Dom, który mu budowali, nie był jeszcze gotów, bo kobiety ciągiem pracowały w polu, a wojacy nie mogli albo nie chcieli zebrać się w kupę i pomóc w budowie. Leniwi byli, niezdatni ani do łowów, ani do roboty w polu. Kilku z nich na pół odebrało rozum. Nocą latali, wyli, okropnie charkotali. Chcieli powybić starych i kalekich Leśników, podpalić pola i iść dalej. Dokąd? Sami nie wiedzieli. Może za góry. Wojaków było niedużo – chyba nie więcej niż czterdziestu, a ludzi, co uciekli w góry, przynajmniej setka. Sprowadzić na powrót tych uchodźców i pozwolić im żyć – toż to obrócić zwycięstwo w przegraną.

Król Rudy spojrział na łożo, gdzie spała Łaska. Była w jeszcze czarniejszym nastroju niż on. Dalej opłakiwała matkę. Tęskniła za ojcem. Te kilka razy, gdy Król Rudy zbliżył się do niej, pozostawała zimna. Nocami leżała tak nieruchomo, że nie wiedział, czy śpi czy nie. Teraz wyciągnął dłoń i dotknął jej.

– Spisz, co?

Łaska zaraz się zbudziła.

– Tak. Nie. Co jest?

– Co ty robisz całą noc? Myślisz?

– Tak, jak czasem.

– O czym myślisz? Powiedz mi!

Łaska nie odpowiedziała. Król Rudy był gotów ją objąć, lecz w tej chwili usłyszał, jak mówi:

– A, o różnych rzeczach. Nie powinieneś być zabić tylu mężczyzn w obozie.

– Nie powinienem być, co? Jak wroga nie zabijesz, to on zabije ciebie.

– Nie każdy. Może inni by się poddali i ugodzili.

– Bzdura! – powiedział Król Rudy do Łaski i do siebie. – Może tak bywa z kobietami, lecz nie z mężczyznami. Mężczyzna, jak mu zabrać byle jaką rzecz, która jest jego, zaraz myśli o pomocy. Tam w górach coś knują, szykują się z nami wojować. Przewodzi im twój własny ojciec. Wiem wszystko. Mam zwiadowców.

– Mój ojciec nie chce nikogo ukrzywdzić – powiedziała Łaska, zdziwiona, że waży się tak odzywać do swego męża i pana. Król Rudy skarcił ją:

– Jesteś jego córką, dlatego bierzesz jego stronę. Jest naszym wrogiem jak wszyscy inni. Porwał Jagodę do swojej jaskini jak wilk. Wykradł też jej matkę. Chcą nas napaść ze swymi łukami, strzałami i włóczniami, lecz my utniemy im wszystkim głowy. Jeżeli kobiety przejdą na ich stronę, rozszarpiemy je na kawałki.

– Kobiety chcą tylko ugody.

– Kto się będzie z nimi ugadywał, ty?

Król Rudy cały się trząsał. Przez chwilę chciał wstać i udusić Łaskę, lecz się pohamował. Która by mu ją zastąpiła? Zamknął oczy i wnet zaczął chrapać. Chwilę później zbudził się.

– Jeśli chcesz, wyślę cię do ojca, by zawrzeć pokój. Ale prawdziwy pokój, bez kłamstw.

Mnie nikt nie oszuka.

Łaska usiadła.

– Nie gadasz od rzeczy?

– Ja nie taki, co żartuje.

– Nie będę wiedziała, co powiedzieć.

– Poślę z tobą Noska. Jeżeli go pokrzywdzą albo będą tobie grozić, przyjdziemy do nich i w górach poleje się morze krwi. Przysięgnij mi, że wrócisz. Wezmę twą babkę Małą w zakład.

– Wrócę.

– Powiedz im, żeby przyszli do doliny jako bracia, nie jako wrogowie – bez oręża.

– Dobrze.

– Potrzeba mi ich do żniw. Jeżeli będzie chleb, wszyscy go dostaną.

Oboje zamilkli. Łaska nie mogła już powstrzymać łez.

– Czego beczysz? Nikt jeszcze nie umarł.

2

Leśnicy cały dzień się krzątali. Nawet tak wysoko w górach było gorąco. Od wschodu do zachodu słońca Kora i Jagoda zbierały agrest, czereśnie, porzeczki, jeszcze zielone, lecz potem dojrzewające na słońcu. Kilka kobiet przyniosło z doliny kamienne garnce, w których gotowały niedojrzałe owoce, a także korzonki zbyt twarde, aby je jeść na surowo. Mięsa także była obfitość. W lasach nie brak było zwierza i ptactwa, które mężczyźni chwyтали we wnyki albo ustrzeliwali z łuków. Cybula z pomocą paru innych łowców ubił kilka jeleni i saren i jak było we zwyczaju, wszyscy w obozie zjedli je razem. Niektórzy starsi łowcy wciąż mówili, że nie wolno rozorywać ciała Matki Ziemi i sypać nasion w jej łono. Ze to się źle skończy, że duchy ziemi wściekną się na jej krzywdzieli, będą chciały pomsty. Ludzie jedzący tylko rośliny robią się jak głupie cielaki, które jedzą trawę, muczą i dają się pożreć dzikim zwierzom. Knezie, panowie, czy jak tam Polacy na siebie mówią, prędzej czy później zabiorą pola dla siebie, a ci, co orzą, sieją i zbierają, zostaną ich niewolnikami – jak już się zdarzyło w wielu odległych stronach. Cybula próbował się spierać z Leśnikami, lecz zakrzyczeli go. Nie będzie ugody między myśliwymi a rolnikami. Leśnicy powinni uzbroić się najlepiej, jak mogą, zejść do doliny, powybić resztę wojaków i wrócić do starych obyczajów.

Cóż jednak, skoro powrócić do dawnego życia się nie dało. W dawnych czasach Leśnicy nie zostawali nigdzie dłużej, lecz przenosili się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu zwierzyny i ryb. Mieszkali zwykle w namiotach i nie znali się na gotowaniu, garnkach czy zwierzętach domowych. W niektórych sąsiednich osadach hodowano owce i kozy, lecz dla Leśników był to występki i hańba. Słyszeli nawet o obozach, gdzie trzymano krowy, które mogliby wymienić za owoce, miód i futra, lecz Leśnicy nie potrzebowali ani nie umieli tego robić. Nigdy nie nauczyli się nawet trzymać psów. Na co? Psy są nieczyste. Leśnicy nigdy nie zakosztowali mleka, chyba że od matki w niemowlęctwie. Lecz ostatnie kilka pokoleń Leśników osiedliło się. Przestali chodzić boso zimą i nosili futrzane buty podbite korą z drzew. Nastąpiły bardziej mroźne zimy. Aby trzymać się ciepło, po-

trzeba było więcej futer. Cybula często przypominał Leśnikom, jak ciężka była ostatnia zima w górach, jak wielu z nich zachorowało i pomarło. Może starzy ludzie mają rację: ludzie robią się coraz wężsi, zimy mroźniejsze, lasy rzadsze. Nie tylko kobiety, lecz i mężczyźni zapragnęli większych wygod, co roznieciło gniew bogów.

Póki lata, w górach było ciepło i jedzenia w bród. Wszyscy do syta jedli mięso, owoce, korzonki. Wieczorem rozpalali ogniska i gadali, gawędzili, żartowali. Kobiet było mało – jedna na czterech mężczyzn. Wierzyli wszakże, że kobiety w dolinie wykradną się z obozu i dołączą do nich. Polacy zniszczyli dawne życie rodzinne Leśników. Kobiety o gorącej krwi robią, co im się podoba. Starzy ludzie ostrzegali, że czekają je srogie kary, lecz wiara w bogów podupadła. Gdzie jest Baba Jaga ze swą niebiańską miotłą? Gdzie jest Światowid, bóg o czterech twarzach, co widzi cały świat od końca do końca? Gdzie się chowa bóg o trzech twarzach? Gdzie jest Piorun, bóg grzmotu, błyskawicy i burzy? Gdzie były Jędza, Nocnica i wszystkie inne duchy, gdy napadli na obóz Polacy i rozlali tyle niewinnej krwi? Jeśli bogowie nie są sprawiedliwi, czemu ludzie mają słuchać ich przykazań? Cybula przemówił bez ogródek: wszystkie wierzenia to łgarstwa. Dopóki człowiek nie umrze, dopóty powinien żyć na całego. Nieżywy człowiek jest nie lepszy niż nieżywa żaba. Nikt nigdy nie powrócił z ziemskich czeluści i nie opowiedział, jak tam jest.

Gdy Cybula przywiódł Jagodę i jej matkę Korę, wzbudził zawiść mężczyzn i niechęć kobiet. Jasne było, że żyje z obiema. Mimo to był i pozostał przywódcą Leśników. Miał wielki zasób wiedzy, jasny umysł i smykałkę do wielu rzemiosł. Gdy Cybula mówił, ludzie go słuchali, nawet jeżeli się z nim nie zgadzali. Kilku młodych tłumaczyło, że kto wie, może nie trzeba się spieszyć z podpalamieniem pól. Jeśli bogowie nie chcą, by czerpać z soków ziemi, to czemu ze zbójców Polaków zrobili mocarzy i dali im żelazne miecze i włócznie?

Starzy i chorzy jak zwykle poszli tego wieczora wcześniej spać, a młodzi i zdrowi bawili się do późna. Śpiewali, tańcowali, żartowali i pytali jedni drugich o różne rzeczy. Podnosili oczy ku nocnemu niebu – tyle na nim gwiazd i tyle różnych barw. Czy gwiazdy to bogowie? Ognie rozniecone przez bogów, aby rozświetlić noc? W górach widać było te same gwiazdy, co w dolinie. Gdziekolwiek poszli, gwiazdy szły za nimi. Gdy biegli, one też biegły. Czasem się zdawało, że się śmieją niebiańskim śmiechem. Spoglądały na ziemię nieodgadnioną, choćby nie wiedzieć ile mrugały do ludzi. Starzy przysięgali, że te same gwiazdy świeciły, gdy oni byli dziećmi. Może gwiazdy są stare jak świat, lecz jak daleko sięga łańcuch ludzi? Wszyscy z nich dokonają swego żywota i znikną z pamięci – tak jak zwierzęta, które zabili i zjedli. Straszno myśleć o tych rzeczach. Młode kobiety błagały mężczyzn, aby dali pokój z tymi zagadkami, od których przechodzą człowieka ciarki i chce mu się całować, tulić, zbliżyć, stać jednym z kimś drugim.

Tego wieczora Cybula, Kora i Jagoda poszli wcześniej spać. Cybula wyciągnął się na skórze pomiędzy dwiema kobietami i posiadał najpierw jedną, potem drugą. Matka i córka wyzbyły się wszelkiego wstydu, bo tego chciał Cybula. Dla obu Cybula był bogiem, a każde jego słowo świętym rozkazem. Pouczył Jagodę, aby nie była zazdrosna. Wziął do siebie nie jakąś obcą, lecz jej umiłowaną matkę. Szczęście Kory jest też szczęściem Jagody. Uczyl je obie, jak go rozochocić, lecz Korze nie trzeba było żadnych nauk, wszystko wiedziała. Mówiła takie rzeczy, że w nim wzniecała się żądza, a w Jagodzie budziła zazdrość, zbierało się jej wraz na śmiech i wymioty. Kora znała słowa na różne członki, jakich Jagoda nigdy wcześniej nie słyszała. Uczyla swą córkę, jak matka niedźwiedzica uczy młode. Wyznała, że przychodzili do niej nocą wojacy i oddawała się im, choć w swym sercu ich przeklinała. Zdarzało się, że Jagoda nienawidziła swej matki i miała chęć krzyknąć: „Precz z jaskini! Nie jestem już twoją córką, a ty nie jesteś moją matką!”. Lecz Kora zaraz przeproszała, obrzucała się szkaradnymi wyzwiskami i żalowała tego, co zrobiła. Czasem mawiała do Cybuli:

– Taka jest prawda. Jeżeli chcesz, zabij mnie. Wolę, żebyś ty mnie zglądził, niż inni pieścili. Tak, zabij mnie i pożyj. Spij moją krew!

Czasem, gdy jej matka i Cybula gadali i bawili się ze sobą, Jagoda udawała, że śpi. Niekiedy nawet chrapała. Matka nadal miała ją za dziecko, lecz ona wszystko rozumiała. Jej matka nie była wierna jej ojcu, Kostkowi. Kiedy ją brał, ona myślała o Cybuli. Kostek nie zaspokajał jej, wzmagił tylko jej ochotę. Kora przyznała, że grzeszy wobec bogów swą żądzą do mężczyzn.

W snach przychodziły do niej czarty i groziły, że obróci się w wilkołaka. Wciągnie ją bagnisko, będą ją kąsać węże, dusić smoki.

Lecz jej ciało żarła chuć. Nienawidziła wojaków i modliła się do bogów o ich śmierć, ale gdy do niej przychodzili, padała im w ramiona.

Tego wieczora Jagoda usłyszała, jak Cybula mówi:

– Bogowie już nie są bogami, a ludzie ludźmi.

– Jak nie są ludźmi, to kim są? – spytała Kora. A Cybula odrzekł:

– Szczurami, pajakami, wszami.

– Ty, Cybula, jesteś bogiem – powiedziała Kora.

– Jeżeli ja jestem bogiem, to bogowie są niczym.

3

Dzień był skwarny. Kora i Jagoda wyruszyły o świcie kopać korzonki i zbierać owoce. Cybula wyciął sobie nowy łuk i dziesięć strzał i poszedł na polowanie, lecz chyba stracił chęć do ugania się za zwierzyną. Czym zasłużył sobie jeleni, a nawet zając, by go zabić? Nieraz zdarzało się, że strzała weszła w zwierza, lecz ten zamiast zginąć odbiegał i włókł za sobą długi pas krwi. Niejedno ranione przez niego zwierzę weszło do rzeki albo jeziora i utopiło się. Czy robią tak naumyślnie, bo chcą umrzeć? Czy też wierzą, że woda je uzdrowi? Te złapane w sidła cierpiały jeszcze większe katusze niż ustrzelone. Nieraz nabijały się na ostre pale i umierały dopiero po wielu dniach. Co się ze mną dzieje? Czy robię się miękki na sercu, jak jakaś starowina? – zapytywał siebie Cybula. Jego myśli ciągiem wracały ku polu. Ci, co orzą i sieją, nikogo nie krzywdzą. Przeciwnie, dają jeść ptakom, którym uda się skraść kilka ziaren pszenicy.

Kiedy już trochę popolował, wiedział, że przyjdzie mu wrócić do domu z próżnymi rękami. W jaskini było dość mięsa na kilka dni. Inni łowcy często mówili Cybuli i jego kobietom, żeby jedli z tego, co oni ułowią. Słońce już zachodziło, błękit nieba podchodził rumieńcem i widać było, że nazajutrz znowu będzie dobra pogoda. Cybula szedł pomału i gwizdał starą piosenkę Leśników. Gdy dochodził do jaskini, na spotkanie wyszła mu Kora. Coś się wydarzyło. Nie uśmiechała się jak zazwyczaj, lecz patrzyła wskroś niego, jak wysłaniec ze złą nowiną. Może Jagoda spadła z drzewa i umarła, pomyślał Cybula. Szybko postanowił, że jeżeli to prawda, to odbierze sobie życie. Miał dosyć zabijania i śmierci, czy to zwierząt, czy ludzi. Wierzył w jednego tylko boga – boga śmierci, co uśmierzy wszelką boleść, odejmie wszelkie niedole. Cybula skinął głową do Kory, lecz ta milczała. Powiedział:

– Wiem, wiem.

– Co wiesz?

– Nic. Powiedz mi, co się zdarzyło!

– Jest tutaj twoja córka – odparła Kora zniżonym głosem.

– Moja córka, Łaska? Uciekła od Króla Rudego?

– Nie, Król Rudy sam ją przysłał. Chce się ugodzić. Przybyła potajemnie. Wygląda, że jest w ciąży.

Cybula nie wierzył własnym uszom.

– Jakże to być może? – spytał.

– To prawda. Przysłał z nią Noska, jednego z kneziów. Czeka na ciebie pod czterema lipami nad potokiem. Nie może się wydać, że przyszli.

– To pewno pułapka, żeby mnie zgładzić.

– Twoja córka nie przyłożyłaby ręki do takiej zbrodni – powiedziała Kora. – Niewielu Polaków przeżyło zimę. Może być trudno ze żniwami. Tamci są leniwi i opoje. Łaska powiedziała mi, że to nie oszukaństwo – oni nas potrzebują.

– Gdzie jest Łaska? – spytał Cybula.

– Z Jagodą w jaskini.

– Jeżeli usłyszą o tym nasi ludzie, mogą nas wszystkich zabić – powiedział Cybula. – Już zważ mnie zdrajcą.

– Zaczekaj, aż się ściemni. Pójdę z tobą. Weź włócznię, a ja wezmę nóż. Nosek nie jest zbójcą, to Polak, który nie zabijał i nie gwałcił. Wszyscy w obozie to wiedzą. Przybył tu bez broni.

– Zobaczymy.

– Pewnieś głodny. Twoja sakwa pusta – powiedziała Kora.

– Nie mogłem dziś łowić.

– Przyrzędyliśmy ci posiłek.

Cybula zręcznie wśliznął się do jaskini. Zdawało się cudem, że Król Rudy prosi o ugodę i przysłała Łaskę ze swym kneziem.

– Może jeszcze nie pora mi umierać – mruknął Cybula.

W jaskini pachniało pieczystym, dymem z gałęzi sosny, sokiem z czereśni i truskawek. Jak zawsze, minęło trochę czasu, zanim oczy przywykły do ciemności. Jagoda podbiegła, objęła go w pasie i przywarła do niego. Łaska, która siedziała przy ogniu, powstała. Cybula prawie jej nie poznał. Postarzała się o wiele lat. Brzuch miała wydęty. Ucałowała go w czoło. Nie była już małą dziewczynką, którą podrzucał na kolanach, kiedy ona okrywała jego twarz pocałunkami. Była dorosłą kobietą, brzemienną, żoną króla. Jak wszystkie zamężne kobiety, nosiła na głowie coś na kształt czepca. Cybuli zdawało się, że nawet dech się jej odmienił. Czy może to być, że pije wódkę? – spytał sam siebie.

Kora i Jagoda przyniosły Cybuli mięso, owoce, warzywa, a Łaska usiadła i przemówiła do niego. Choć wszyscy tak sądzą, jej mąż Król Rudy nie jest zbójcą. Prawda, napadł na Leśników. Jest wojownikiem, nie jagnięciem. Lecz dosyć się już napatrzył na rozlew krwi. Teraz chce ugody między Leśnikami a Polakami. Czy z tego wojowania przyszło coś dobrego? Bogowie osypali pola dobrodziejstwami i potrzeba ludzi do żniw i młócki.

Cybula słuchał z rozdziawionymi ustami. Łaska mówiła, jakby była starsza i mądrzejsza od niego. W niektórych rzeczach przypominała mu jego matkę, jego babkę. Chciał zapytać swą córkę, jak jej się żyje z Królem Rudym, jak może znieść człowieka, który kazał zabić jej matkę, ale nie mógł o to pytać przy Korze i Jagodzie. Gdzie ona się nauczyła tak poważnie mówić, dziwił się Cybula.

– Co tam w obozie? Jak wam się żyje? – zapytał Cybula.

– Sam wiesz, ojcze. Każdy postradał kogoś drogiego. Źle jest, żeśmy oddzieleni od siebie. Brak mi ciebie. Nie ma dnia, żebyśmy się nie modliła do bogów o twoje zdrowie.

Kto ją nauczył tak mówić? – zastanawiał się Cybula. Nie jej matka i nie ja. Milczał, a i Łaska nic już więcej nie mówiła. Powoli zapadł zmrok. Łaska powiedziała:

– Możemy już iść, ojcze.

– Pójdę z wami – powiedziała Kora. – Zaczekam opodal. Nigdy nie wiadomo, co temu Polakowi strzeli do łba. Wezmę siekiere. Jagoda, ty zostaniesz w jaskini i przypilnujesz ognia.

– Tak, matko.

– Wyjdziemy po jednym – powiedział Cybula. – Łaska, ty idź pierwsza.

Łaska ucałowała Jagodę i przepełzła przez otwór jaskini. Cybula wziął swą włócznię i wyszedł za nią.

– Cokolwiek się zdarzy – powiedział – nie wezmą mnie żywego.

Słońce schowało się za góry, lecz na niebie została jasność. Jedna za drugą zapalały się gwiazdy. Cykały świerszcze, kumkały żaby. Ptaki osiadły na gałęziach, prócz dwóch, które latały i skrzeczały na siebie – pewnie nie mogły znaleźć sobie dobrej gałęzi do spania. Ale dlaczego? Jest tyle drzew i tyle gałęzi! Cybula nie lepiej rozumiał sprawowanie tych ptaków niż sprawowanie ludzi. Niektóre ptaki śpiewające umilkły, inne ciągnęły swój świergot i trele. Spały parami blisko siebie, całowały się dziobkami, iskały pierze i wydziobywały robactwo. Lecz widział też sameczyki, które napadały samiczki, a nawet zadziobywały je na śmierć.

Cybula wnet dogonił Łaskę i szli wzdłuż potoku, który szumiał i pluskał pośród nocy. W dół

woda zawsze szybko płynie, pomyślał Cybula. Im bardziej stroma góra, tym szybszy prąd. Ale dlaczego? Za młodu miał tylko jedno pytanie: dlaczego? Na co jego rodzice mieli jedną odpowiedź: bo tak jest, tak chcą bogowie. Później on tak samo odpowiadał swoim dzieciom, nawet tym zgłodzonym w rzezi. Łaska pytała swego ojca:

– Tato, dlaczego w lecie jest gorąco? Dlaczego w zimie jest zimno? Dlaczego krowa muczy, a koza beczy? Dlaczego kaczka pływa, a kura wody się boi? Dlaczego drzewo się pali, a kamień nie?

A Cybula odpowiadał:

– Bo tak wszystko zostało stworzone. A teraz zostaw mnie w spokoju!

Lecz później te pytania dręczyły jego samego.

4

Ojciec i córka zbliżali się do drzew lipowych i w świetle gwiazd Cybula dojrzał kształt człowieka. Był on wąły, o bladej twarzy, nie miał włosów ani brody. Skłonili się sobie i ten drugi powiedział:

– Zwę się Nosek. Mój król wysłał mnie, bym was pozdrowił i nakłonił Leśników do powrotu w dolinę. Mój król nikogo nie ukarze. Gotów jest zapomnieć krzywdy, któreśmy sobie wzajem wyrządzili. Wygraliśmy wojnę, lecz nie możemy wiecznie walczyć i rozlewać naszej i waszej krwi. Mój król chce, byście wy, Leśnicy, byli naszymi braćmi, a obóz był polskim obozem. Bogowie obdarzyli nasze pola obfitym plonem i trzeba nam waszej pomocy. Nie chcemy i nie możemy zjeść całego chleba, jaki zrodzą pola. Chcemy brać wasze córki za żony, co niektórzy już zrobili, i aby nowe polskie ziemie pomnażały się. Takie jest życzenie naszego króla, jego kneziów i jego wojaków. Zejdźcie wszyscy do nas, a przyjmiemy was jak braci. Król przysłał wam też, panie Cybula, ten podarek – Mówiąc to, Nosek wręczył Cybuli obwarzanek z mąki pszennej.

Cybula wziął obwarzanek, podziękował Noskowi i zaczął mówić słowa, które sobie wcześniej przygotował.

– Szlachetny kneziu, pozdrawiam was i waszego króla w imieniu swoim i w imieniu Leśników, którzy uciekli, gdy napadli na nas wojacy. My, Leśnicy, nigdy nie chcieliśmy wojny. Przez długi czas żyliśmy w pokoju, lecz wy napadliście na nas i zabiliście naszych ludzi i kobiety, nie oszczędziliście nawet dzieci. Ci z nas, którzy uciekli w góry, wiele ucierpieli w czas srogiej zimy; wielu pomarło z zimna albo z głodu. My, którzy przeżyliśmy, chcemy powrócić do doliny, gdzie dalej żyją nasze matki, siostry, żony i dzieci. Lecz jakie mamy zapewnienie, że pokój, który nam dajecie, to nie pułapka, by nas wszystkich zgłodzić? Bez takiej poręki żaden z nas nie powróci, choć tęsknimy za domami, choć gotowi jesteśmy dopomóc wam w pracy i dzielić się łaskami, jakie zesłali nam bogowie.

Mężczyźni przez długi czas rozmawiali, a Łaska stała w milczeniu. Nosek wyjaśnił Cybuli, że Królowi Rudemu i jego wojakom nic by nie przyszło z zabicia Leśników. Nadto Polaków jest niewielu i jeśli Cybula obawia się walki, to prędzej wygryliby ją Leśnicy. Pokój między dawnymi wrogami musi się opierać na ufności. Po jakimś czasie uzgodnili, że nazajutrz Cybula zgromadzi swych ludzi i przekaże im, z czym zaofiarował się Król Rudy. Tymczasem Cybula powiedział Noskowi, że może spędzić noc w jemu tylko znajomej kryjówce, a Łaska wróci do jaskini ojca. Łaska posłużyła za dowód, że Król Rudy prawdziwie chce pokoju, bo żaden król nie pošle swej królowej jako przynęty, aby zwabić wroga w sidła.

Cybula spostrzegł, że Nosek jest grzeczniejszy niż inni knezie i panowie. Jego mowa była prosta i szczerą. Mówił o rzekach, miastach, królach i wodzach, o których Cybula nigdy wcześniej nie słyszał. Jak to się stało, że taki człowiek przystał do polskich rabusiów i zbójców? Powiedział Noskowi, jaką miał na myśli kryjówkę: była to chata, gdzie Cybula robił wnyki na zwierza i trzy-

mał potrzebne ku temu narzędzia. Jest tam stos skór i Nosek może się nimi okryć. Lecz chata była dość daleko i Cybula zaofiarował się Noska odprowadzić. Ten wszakże odparł, że jeśli nie znajdzie chaty, spędzi noc pod gwiazdami. I oto po raz pierwszy przemówiła Łaska:

– Nocując pod gwiazdami, możesz się zaziębić, szlachetny panie. Noce w górach są chłodne.

– Dziękuję wam, lecz tacy jak ja niełatwo się przezię– białą. Lubię chodzić nocą i rozmyślać.

O czym? – chciał zapytać Cybula, lecz czuł, że nie są to właściwe słowa. Innych jednak nie znalazł, więc zamiast tego spytał:

– Czy to wyście umyślili zaprowadzić pokój między Leśnikami a Polakami?

– Tak, ja, lecz nie tylko. Król Rudy pierwszy o tym pomyślał. Mówił o tym nawet z waszą czcigodną córką, królową.

Cybula poczuł się zakłopotany. Ten uczony człowiek nazwał jego córkę czcigodną i królową. Cybula nigdy wcześniej nie słyszał, żeby ktoś nazwał jego dziecko czcigodnym. Szkoda, że Łaska jest żoną Króla Rudego, a nie Noska. Zaczął tłumaczyć Noskowi, jak dojść do chaty. Wnet wszędzie księżyc i noc pojaśnieje. Gdy się żegnali, Cybula powiedział:

– Wierzę wam i ufam, szlachetny panie.

– A ja wam. Pod waszym przewodem będziemy mieli pokój, szlachetny panie.

Potem Nosek pożegnał się z Łaską. Znów wyrzekł słowa, których Cybula nie znał, lecz mógł się domyślić, co znaczą. Cybula zawsze miał skłonność ku płci przeciwnej, lecz teraz przyszło mu do głowy, że po raz pierwszy tak bardzo spodobał mu się mężczyzna.

Jak tylko Nosek poszedł, z zarośli wyskoczyła Kora i zawołała:

– Wszystko słyszałam, co do słowa!

– Tak, byłby z ciebie dobry zwiadowca.

– Wszystko, co powiedziałeś, to prawda. Mogłabym ucałować każde twoje słowo.

– Słowa Noska też chciałabyś ucałować?

– On jest fałszywy – odparła Kora. – Jak oni wszyscy. Tyle pięknych gadek i pochlebstw, a wszystko, co im w głowie, to uczynić z nas swe służebnice i niewolników. Taki mają gładki język, że nasze córki się im oddają, a jak pannom zaczną puchnąć brzuchy, szczwane lisy udają, że o niczym nie wiedzą. Nosek od nich nie lepszy. A do tego nie jest nawet mężczyzną.

– No to co on niby jest? – zapytał Cybula.

– Mówią, że lubi mężczyzn.

– Czy widziałas to na własne oczy, Kora? – zapytała Łaska.

– Ja tam swoje wiem. Przede mną nic się nie ukryje. Wszystko widzę i wszystko wiem.

– Kora, nie możemy tu zostać jeszcze jednej zimy – powiedział Cybula. – Bo wszyscy pomrzemy.

– Tak, wiem. Gdziekolwiek pójdziesz, my, Jagoda i ja, pójdziemy z tobą. Będziemy pić wodę z umycia twoich stóp!

Całą trójką powrócili do jaskini. Dla Cybuli było teraz jasne, że Kora i Łaska się nie lubią. Ale dlaczego? Jagoda spała przy ogniu. Jarzyło się jeszcze tylko kilka drzew. Tej nocy Cybula nie spoczął między Korą i Jagodą, lecz przygotował sobie osobne legowisko. Łaska bez słowa udała się na swe własne łoże.

Cybula był zmęczony, lecz nie mógł zasnąć. Nosek nalegał, aby Leśnicy zeszli w dolinę bez broni. Mogą zabrać same łuki, bez strzał. Ale skąd on ma wiedzieć, czy wojacy ich nie napadną i nie pozabijają? Nawet jeśli Nosek jest godzien zaufania – a tak mu się zdawało – jak można wierzyć takiemu łotrowi, jak Król Rudy? Cybula wiedział, że kiedy zgromadzi Leśników i przekaże im słowa Noska, oskarżą go o zdradę. Może nawet będą chcieli zabić jego i Łaskę. Może lepiej by było, gdyby uciekł. Cybula wiele razy słyszał o ludziach, którzy opuścili swój obóz i poszli głęboko w las, aby samotnie dokonać żywota, bez żon, bez dzieci, bez szałasów i namiotów. Wszystko, co mieli, to łuki i strzały. Już dawniej Cybuli chodziły po głowie myśli, by zrobić to samo. Nie ma potrzeby dzielić łoża z kobietą. Nikt jeszcze nie umarł od życia samemu. Cybula nigdy nie lubił ludzkiego głupiego gadania, mielenia ozorem o bogatych, rozsiewania pomówień, plotkowania. Nie po-

dobalo mu się być przywódcą, ale na pewno nie zamierzał być poddanym. Tak, tak właśnie muszę zrobić, powiedział sobie. Będę żył sam i sam umrę. Odwróć się od całego ludzkiego rodzaju. Może powinienem zaraz wyruszyć? Ani Kora, ani Łaska mnie nie potrzebują. Łaska ma męża, króla. A Korze podobają się wszyscy mężczyźni. Gdyby mogła, oddałaby się ogierowi. Tylko Jagody było Cybuli żal. Może powinien zabrać ją ze sobą? Pójdzie za nim wszędzie. W końcu zasnęł.

Gdy się przebudził, na dworze świeciło słońce. Między kamieniami paleniska płonął ogień i Kora piekła mięso. Obwarzanek, który przyniósł im Nosek, połamała na cztery kawałki – po jednym dla każdego. Jedli w milczeniu. Rodzący się dzień postanowi o ich losie. Obwarzanek był czerstwy, lecz Cybula przeżuwał go powoli i czuł w ustach smak pól, kłosów zboża. Obwarzanek łatwiej strawić niż mięso, pomyślał. Nie potrzeba zabijać żadnego zwierza, żeby móc się najeść ze smakiem. Po posiłku Cybula wyszedł z jaskini, aby zwołać naradę Leśników. Kora i Jagoda poszły zbierać korzonki i owoce. Łaska została sama w jaskini. Nie byłoby dla niej bezpiecznie, gdyby ludzie ją zobaczyli, zanim Cybula im wyjaśni, że przysłała zawrzeć pokój.

Łaska nie spała dobrze tej nocy, toteż gdy inni wyszli z jaskini, wróciła na łoże. Nie mogła jednak zasnąć. W jej marzeniach Król Rudy umarł, Nosek został nowym królem, ona królową, jej ojciec kneziem. Między Leśnikami a Polakami panował pokój. Ona i Król Nosek mieszkali w wielkim domu. Wszędzie ją ze sobą zabierał i omawiał wszystkie zdarzenia w obozie, radził się, kogo nagrodzić, kogo ukarać. Zrodziła mu dziesięcioro dzieci, pięciu chłopców i pięć dziewczynek. Jej ojciec pojął za żonę Jagodę, a Korę odtrącił. Kora popełniła przeciw niemu występki i kazał ją uśmiercić. Łaska wyobraziła sobie, że Kora stoi przysnurowana do drzewa, a obok stoi wojak i macha jej nad głową ostrym mieczem. Łaska przez chwilę rozkoszowała się tym marzeniem, lecz potem zadała sobie pytanie: czemu jestem jej przeciwna? Prawda, zajęła miejsce mojej matki. Lecz to samo zrobiła Jagoda. Nie, to nie to. Chodzi o to, że nie mogę znieść jej fałszu, plotkarstwa, przychlebiania się, rozwiązłości. Oddaje się mężowi swojej córki. Mieli ją wszyscy wojacy. Jak mój ojciec może brać taką dziwkę? Łaska usnęła, lecz zbudziły ją głosy. Cybula zgromadził Leśników przed jaskinią. Przyszedł zaprowadzić do nich Łaskę, aby pomówiła z nimi o ugodzie, z którą wyszedł Król Rudy, i o odpowiedzi Cybuli.

Powrót Leśników w dolinę

1

Wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Pierwszego dnia Leśnicy rozprawiali między sobą, przekrzykiwali się w podejrzaniach i urazach, jakie żywili do Króla Rudego, Noska, Kory, Łaski; zwali Cybulę zdrajcą, szpiegiem, grozili, że go powieszą, utną mu głowę. Na drugi dzień przyszedł do nich Nosek bez broni i powtórzył wszystko, co powiedział Cybuli poprzedniego dnia. Na trzeci dzień prawie wszyscy Leśnicy byli gotowi zejść w dolinę. Odmówili życzeniu Noska, by nie zabierać broni, lecz przysięgali się na bogów, że jeżeli wojacy ich nie napadną, to i oni nie napadną na nich.

Mężczyźni szli przodem, nieśli broń. Kobiety niosły kosze i tobołki z całym dobytkiem. Kilka kobiet prowadziło kozy. Trochę Leśników zostało w górach. Jedni z nich sądzili, że ci, którzy schodzą w dolinę, zejda jeszcze niżej – śmierć zabierze ich w czeluście ziemi. Drudzy woleli pocze-kać i zobaczyć, jak się powiedzie tym, którzy schodzą.

Dzień był ciepły. Im niżej w dolinę, tym było cieplej. Ponieważ uchodząc w góry, nie zabrali dzieci, schodzili teraz sami dorośli, prócz jednego dziecka zrodzonego w górach, które młoda matka niosła w koszyku na plecach.

Zanim wyruszyli, Cybula kazał Wysokiemu, śmigłemu młodzieńcowi o długich nogach, aby pobiegł przodem i powiedział tym w dolinie, że nadchodzą ich bracia i siostry. Matka Wysokiego, wdowa, załamała ręce i biadolila, że jej syn został posłany na pewną śmierć. Nosek zapewnił ją jednak, że nie stanie mu się żadna krzywda. Wszyscy wojacy wiedzą, że Król Rudy chce pokoju z Leśnikami. Prócz tego na wszystkich polskich ziemiach rządził zwyczaj, wedle którego posłańców nie wolno ukrzywdzić. Wysoki niósł przed sobą chorągiew – kij z trzema karbami i kawałek skóry pobielony kredą.

Mężczyźni szli w milczeniu. Jeden zaczął śpiewać, lecz ucichł, gdy nikt nie podjął pieśni. Kilka kobiet płakało. Cybula powiedział im w górach, że wracają do domu jako zwycięzcy, nie pokonani. Ich serca były wszakże ciężkie. Mogli pokonać całą drogę w jeden dzień, lecz szli pomału. Ponadto Cybula i Nosek sądzili, że lepiej będzie przybyć za dnia, a nie nocą. Uzgodnili zatem, że przenocują po drodze i dobiją do obozu rano. Zatrzymają się nad leśnym potokiem, gdzie wypoczną, obmyją stopy z kurzu, posilą się i napiją ku orzeźwieniu.

Noc minęła. Rano Leśnicy wykąпали się w potoku, każdy zjadł, co wziął ze sobą, i razem wyruszyli w drogę. Nie mogli uwierzyć własnym oczom, gdy ujrzeli, że Król Rudy, jego knezie, jego wojacy, cały obóz, wszyscy wyszli im naprzeciw. Wojacy śpiewali pieśń powitalną. Leśnicy z obozu śmiali się i płakali, ściskali i całowali swych powracających braci i siostry. Przyniesiono trunki, obwarzanki, pieczone owoce. Król Rudy nakazał bębniarzom bębnić, a heroldom zadać w rogi. Dzieci przysły z koszami kwiatów.

Król Rudy wdział swój płaszcz i przypasał miecz, a na głowie miał dynię z zatkniętymi woskowymi świecami. Choć był już pijany, przemówił do tłumów. Przyrzekł darzyć Leśników z gór miłością, przyjąć ich jak braci i siostry, jak Polaków. Oświadczył też, że ich przywódca, Cybula, będzie wyniesiony do godności knezia. Wtedy Król Rudy, kneziowie i wojacy wyjęli miecze z po-

chew i zaprzysięgli wierność ludziom pól, narodowi polskiemu. Król Rudy przypomniał wszystkim, że wkrótce rozpoczną się żniwa i przyda się każda para rąk. Powiedział też, że trzeba pobudować chaty, bo zimy są mroźne, więc namioty nadadzą się tylko na ciepłe miesiące letnie. Zakończył przemowę modlitwą do bogów i przyrzeczeniem, że po żniwach złoży się ofiarę Chlebobdawcy, bogu deszczu, rosy, słońca i obfitych plonów.

Leśnicy nigdy o nim nie słyszeli, lecz Nosek powiedział wcześniej Cybuli, że to bóg, co mieszka i w rzekach, i w ziemi. Gdy się rozzłości, zsyła powódź, oberwanie chmury, lub nawet sywie z nieba gradem wielkości gęsi jaj. Może także zesłać szarańczę, co pożre każde ziarno pszenicy w polach. Widują go czasami ci, co mieszkają nad wielkimi rzekami, jak Wisła, Warta, Bug i Wieprz – wielkolud z niego, włosy i brodę ma kędzierzawe, koloru słomy. Gdy się śmieje, grzmi mu z gardzieli, a z oczu strzelają błyskawice. Chmury to jego konie. Fruwa jak ptak i pływa jak ryba. Nieraz można go ujrzeć rano, jak się kąpie nagi w rzece, a z nim wszystkie młode dziewczęta składane mu w ofierze – nagusienkie, z włosami do bioder, ich piersi i brzuchy są tak piękne, że aż oślepiają. Nosek wyznał Cybuli:

– Ja sam nigdy go nie widziałem. – Mrugnął przy tym okiem i wzruszył ramionami.

Król Rudy i wojacy zaprosili wszystkich Leśników – tych, co zostali w dolinie i tych, co powrócili z gór – na wielką ucztę. Na dworze szybko poustawiano stoły z pni drzew i wyciosane z drewna ławy. Kobiety przyniosły z chat i namiotów mięso, warzywa i owoce. Król Rudy nakazał dzielić się jadem, bo wszyscy Polacy są jak dzieci jednego ojca i jednej matki. Obwieścił, że dzień ten będzie świętem, i nakazał, by na każdym stole stały dzbany z gorzałką i miodem. Trunki te były zwyczajne Leśnikom, którzy zostali w dolinie, lecz nie tym, co przyszli z gór. Gorzałka dodała im ducha, pomogła zapomnieć o troskach, zaczęli śpiewać, tańczyć, całować się, śmiać. Mężczyźni opowiadali zabawne historie, kobiety chichotały i brały się w ramiona, gołe dzieci stawały w krąg, trzymając się za ręce, podskakiwały, tańczyły i przytupywały swymi małymi nóżkami. Po uczcie chór wojaków zaśpiewał pieśń do bogów, do pól, do sadów. Potem puścili się w tany.

Cybuła jeszcze nigdy nie widział takiego tańcowania. Wojacy najpierw przykucali, potem skakali jak żaby, wywijali fikoły, stawali na głowie, chodzili na rękach. Słońce opromieniło brodę Króla Rudego, która zdawała się płonąć. Wrzasnął:

– Niech żyje Polska!

Wszyscy odkrzyknęli:

– Niech żyje!

– Niech żyje Król Rudy! Niech żyje Królowa Łaska!

– Niech żyje kneź Cybuła!

Łaskę posadzili między mężem, Królem Rudym, a ojcem, kneziem Cybulą. Na głowę, podobnie jak królowi, włożyli jej dynię ze świecami. Koło Cybuli siedział Nosek, a Korze i Jagodzie dali miejsca na końcu stołu. Król Rudy ponownie zwrócił się do tłumu. Twarz miał dziwnie czerwona i zamiast mówić, krzyczał:

– Kneziu Cybulo, tyś ojciec Łaski, więc i mój ojciec. To ona mnie namówiła, by zawrzeć pokój. Leżała ze mną w łożu, szarpnęła za brodę i powiedziała: „Królu mój, chcę pokoju”. A ja na to: „Jeżeli ty, moja królowo, chcesz pokoju, to idź w góry i zawrzyj pokój”. Myślała, że sobie żartuję, lecz słowo Króla Rudego jest jak słowo bogów. Nasi nieprzyjaciele zarzucają nam, że obnażamy i otwieramy skórę ziemi, kiedy orzemy. Lecz my, Polacy, mówimy: „Ziemia jest jak dziewczyna: by zapłodnić ją nasieniem, trzeba ją otworzyć. Ziemia, jak kobieta, chce, by ją otworzyć, bo chce rodzić owoce”. Prawdę mówię, kneziu Nosku, mój wielki i uczony przyjacielu?

– Tak, prawdę mówicie – wymamrotał Nosek.

– A ty, kneziu Cybulo, zgadzasz się ze mną? Mów prawdę, nie lękaj się.

– Tu się z wami zgadzam – powiedział Cybuła.

– Od dziś dnia jesteś Polakiem, polskim kneziem. A ja jestem polski król. Nasze królestwo jest małe, lecz powiększy się i rozprzestrzeni, będzie wielkie. Nadejdzie dzień, kiedy będziemy jedynym narodem, największym i najsilniejszym na świecie. Wszystkie inne narody będą nam służyć i czcić naszych bogów, a nasze pola pokryją ziemię. Prawdę mówię?

– Prawdę! Prawdę!

– I jeszcze jedna rzecz...

Po tych słowach Król Rudy nagle umilkł. Zatrzęsło nim i padł twarzą na stół. Cybula przełakł się. Myślał, że jego dobrodziej legł martwy. Lecz inni knezie wybuchnęli śmiechem. Wiedzieli, że mu się to zdarza, jak się upije.

– Połóżcie go na trawie – nakazał Nosek kilku wojakom, co stali opodal. – I zlejcie mu twarz zimną wodą.

2

Kiedy Cybula pierwszy raz zobaczył pole, zdało mu się olbrzymie, nieobjęte wzrokiem. Lecz teraz, za dnia, ujrzał, że pole nie wykarmi całego obozu. W najlepszym razie można będzie zagryźć mięso kawałkiem chleba. Wiedzieli to i inni Leśnicy i nawet kpili sobie z Cybuli, że się dał nabrać na bajdurzenie Polaków. Jeden z nich zapytał:

– No i warto było przelewać za to tyle krwi?

Inny powiedział, że aby wykarmić cały obóz, trzeba by wytrzebić resztę lasu. Na zawsze stracone byłyby leśne dary – borówki, poziomki, grzyby, drzewo na domy i polana do ogrzewania i warzenia stawy. Nadto jeśli wytnie się las, uciekną wszystkie ptactwo i zwierzyna. Nie będzie więcej mięsa i skór. Lecz było to próżne gadanie, Król Rudy i tak kazał wszystkim mężczyznom, kobietom i dzieciom żąć pszenicę, wiązać w snopki, młócić, mleć. Nie pracowały tylko małe dzieci, chorzy i kobiety, co miały rodzić. Nawet knezie i sam Król Rudy pracowali w żniwa w polu.

Król Rudy nakazał usunąć szkielety, który robiły za strachy na wróble, aby ich nie ujrzały kobiety brzemiennie i nie zrodziły potworów albo martwych dzieci. Leśnicy, którzy zostali w dolinie, już dawno pracowali przy zbożu: orali, siali, pielili chwasty. A teraz trzeba było uczynić wszystko, aby plon był obfity. Zanoszono modły do bogów, wezwano króla słońca, by świecił, a chmury, by nie zsyłały deszczu. W czasie napaści wojaków wielu bogów stłukło się lub spaliło. Lecz Leśnicy, którzy umieli to robić, ulepili nowych bogów z gliny albo wycięli z drzewa: bogów męskich i niewieścich, na kształt ptaków, wołów, saren, a nawet dzików. Z początku wojacy chcieli narzucić Leśnikom polskich bogów, lecz Nosek przekonał Króla Rudego, by przyzwolił Leśnikom czcić ich własnych. Ponadto sami wojacy nie byli jednej myśli, pochodzili bowiem z różnych krain i czcili swych własnych bogów.

Poza bogami miejscowymi Leśnicy mieli też bogów wspólnych dla wszystkich. Jednym z nich był wielki, sędziwy dąb. Pień miał taki gruby, że pięciu ludzi z ledwością obejmowało go rękami. Korzenie rozchodziły się na wszystkie strony, a gałęzie były wielgachne. Piorun wypalił w dębie głęboką dziuplę. Było zwyczajem młodych dziewcząt gromadzić się pod dębem w ciepłe letnie wieczory, łać świętą wodę na korzenie i śpiewać pieśni. Starzy im opowiadali, jak to dawno temu spadł z nieba ogoniasty wielkolud o trzech głowach. Jak tylko zoczył dąb, zaraz chciał go wyrwać z korzeniami. Lecz dąb ani drgnął. Przez trzy dni i trzy noce zmagił się olbrzym z drzewem, lecz go nie pokonał. Trzeciej nocy dał z siebie okropny charkot i padł trupem. Zewsząd zleciały się ptaki, co jedzą padlinę, zeszło im od nowiu do nowiu, aż pożarły zezwłok wielkoluda. Od tej chwili dąb stał się bogiem. Jego żołądź kładziono dzieciom w kołyski, aby rosły krzepkie i zdrowe. Niektóre stare kobiety wierzyły, że otwór w pniu wiedzie tam, gdzie bytują zmarli. Opodal obozu była też kępa drzew lipowych. Na kamiennym ołtarzu pośród nich każdej jesieni składano dziecko w ofierze Babie Jadze.

Tak, Leśnicy nie zapomnieli swych bogów. Było kilka starych kobiet, co mówiły mową bogów i ludzie szli się ich radzić względem swatania, uzdrawiania chorych, walki z wrogiem. Jedna zaszuszonej starej wiedźmy umiała przywoływać duchy zmarłych, by przepowiadały, co będzie.

W wieczór przed żniwami młode dziewczęta zebrały się pod świętym dębem, wyśpiewały długą modlitwę, zlały korzenie świętą wodą, natarły sobie ręce i twarze korą.

Inni pomodlili się też krótko przy kępie drzew lipowych. Nazajutrz wszystkich zbudziło bicie w bębny i dęcie w rogi. Miały to być pierwsze żniwa w obozie.

Król Rudy i knezie rozdzielili robotę: mężczyźni będą kosić kosami, kobiety żąć sierpami. Wojacy ostrzegli kosiarzy, by równo ciąli, nie niszczyli słomy, która potem pójdzie na strzechy domów. Tego dnia bogowie sprzyjali Polakom. Niebo było czyste, ani krzty chmur. Za kosę złapał nawet sam Król Rudy. Przyśpiewywał sobie mocnym głosem, inni wtórowali mu i pracowali razem z nim. Cybuli dali sierp, nie kosę, bo był mały i już niemłody. Nosek pouczył Cybulę, by pracował powoli, bo się zaraz zmęczy. Kosiarze kosili, a snopkarze wiązali pszenicę w wielkie snopy. Ptaki całymi stadami wlatywały, po czym przysiadły z powrotem na polu lub wokół niego. Skrzeczały i darły się głosami, które brzmiały prawie jak ludzkie.

Cybula pracował żwawo, bo chciał pokazać, że taki z niego zręczny kosiarz jak niegdyś łowca, lecz wnet bardzo się utrudził. Zaczynał dostrzegać, że co innego łąwy na zwierza w lasach, pod osłoną cieniodajnych drzew, a co innego praca w polu pod gołym niebem. Nie wziął nic na głowę, a włosów nie miał. Im bliżej południa, tym goręcej prażyło słońce. Bolało go w ramionach, ledwie się trzymał na nogach. Co jest? Starzeję się? – zapytywał się Cybula. Niekiedy tracił dech. Okropnie się pocił i tak mu się chciało spać, że głowa co i rusz opadała mu na piersi. Kora i Jagoda, które pracowały opodal, rzuciły nań zdumione spojrzenia. Z czoła leciały mu wielkie krople potu. W gardle miał sucho i kolana pod nim drżały. Kora podeszła i powiedziała:

– Kneziu mój, odpocznij chwilę.

– Nie mów do mnie kneziu. Jestem Cybula i będę nim aż do śmierci.

– Głowę masz czerwoną jak burak, całą spaloną słońcem. Nie masz jej czym nakryć?

– Mam tylko tę łysą pałę.

– Charczesz. Czekał, przyniosę ci wody.

– Gdzie leziesz? Czemuś przestała kosić? – krzyknął wojak na Korę i strzelił z bata.

– Idę przynieść wody kneziowi Cybuli. Ma głowę spaloną od słońca.

– Wracaj do roboty! Wnet przyjdzie kobieta z wodą dla spragnionych. – Po czym wojak zaciął Korę po gołych łydkach.

Niektóre z koszących kobiet się zaśmiały, inne rozdziawiły gęby. Wiele z nich było Korze nieprzychylnych. Jagoda podbiegła i krzyknęła na wojaka:

– Czemu bijesz moją matkę?

Cybula wiedział, że winien stawić wojakowi czoło, bronić Kory, lecz opuściła go cała odwaga. Jedną ręką osłaniał głowę przed palącym słońcem. Czuł, że promienie trawią mu ciemię, czoło, szyję. Światło ślepiło go, wszystko wirowało mu i tańczyło przed oczyma, a usta zalała mdła ciecz. Wiedział, że jak zaczepi tego niedobrego wojaka, to też zakosztuje jego bata. Poczul się sromotnie. Na oczach wszystkich został pohańbiony. Poszukał między koszącymi kobietami Łaski, lecz widać pracowała gdzieś daleko od niego. Niektórzy mężczyźni rozdzielili się i pracowali nago; wielu sikało przy wszystkich; nawet kobiety bez wstydu kucaly i robiły kupę. Potem ktoś przyniósł Cybuli wodę w drewnianej chochli. Patrzył za cieniem, lecz jak okiem sięgnąć nie było drzewa ani namiotu, gdzie mógłby się schować przed bogiem niebios. Dla boga słońca, który jest wieczny, taki okruczeństwo życia jak on nie jest nic wart. Cybula znajdował się już jednak na skraju śmierci.

– Śmierci, co wybawiasz od wszelkich próżnych nadziei, tyś jest moim prawdziwym bogiem! Będę ci służył póki tchu w piersiach! – zakrzyknął w Cybuli jakiś głos.

3

Król Rudy obiecał Cybuli dom, lecz budowa jeszcze się nie zaczęła. Tymczasem mieszkał z Jagodą w nadpalonej chacie Kory. Dostał udaru słonecznego i nie mógł pracować, więc leżał na skórkach pogrążony w głębokim śnie. Słońce już zaszło, kiedy Kora i Jagoda przyszły go zbudzić.

Żeńcy zapalili przy polu ognisko, zebrali się dokoła, śpiewali, tańczyli, piekli na węglach mięso i kłosa pszenicy. Młode dziewczęta tańczyły w kółku, a starsze kobiety baj durzyły o małych podziemnych ludzikach, o rusalkach, co żyją w wodzie jak ryby, o dzieciach, co rodzą się włochate i zębiaste, a po śmierci wracają na ziemię płatać żywym brzydkie psikusy. Jedna staruszka opowiedziała o mężczyźnie, co wyszedł nocą się wysikać i połknęła go ziemia; wiele dni później usłyszano z głębin jego głos, lecz nikt nie mógł się do niego dostać. Inna kobieta opowiedziała o dziewczce, co pewnego skwarne go letniego dnia kopała korzonki, aż znienacka wicher ją porwał i nigdy nie oddał. Znow inna opowiedziała o głodującej młodej matce, której zabrakło mleka dla niemowlęcia. Zrozpaczona kobieta poszła do namiotu, gdzie trzymała boginię, uklękła przed nią i pomodliła się o pomoc. Nagle z glinianych piersi bogini pociekło ciepłe mleko i dziecko było czym karmić.

W obozie mieszkał starzec Rybak. Mówili, że ma sto lat i pamięta czasy, kiedy Leśnicy władali sąsiednimi obozami. Jego plemię, Rybacy, miało jezioro pełne ryb. W czas jednej z wojen Rybak został pojmany i latami służył Leśnikom za niewolnika – rąbał drwa, nosił wodę. Pewnego dnia jego pan wybrał go za męża swej córki i Rybak został wolnym człowiekiem. Pamiętał lato, kiedy niebo przez trzy miesiące ciężem było zasnuwane chmurami. Dnie były mroczne jak noce. Słońce wcale się nie pokazało, a ludzie już myśleli, że zgasił je jakiś zawistny bóg. Drzewa nie zakwitły i gałęzie zostały nagie. Nie było trawy, więc wszystkie woły, krowy, konie, owce i świnie zdychały z głodu. Krzewina nie dała owocu, a ziemia warzyw. Posnęły nawet ryby w rzekach, bo im też było trzeba roślin ziemi. Wiedźma przepowiedziała, że nadchodzi koniec świata. Lecz nagle niebo przejaśniało i zaświeciło słońce. Jednego dnia była zima, a drugiego przyszło lato. Tej nocy stare kobiety ujrzwały na niebie świetlisty statek z błyszczącymi żaglami.

Jedna staruszka pamiętała lato, kiedy wcale nie było deszczu. Ludzie i zwierzęta padali z pragnienia. Z niebios spływał ognisty żar. Błyskało się, lecz nie grzmiało. Od gorących wiatrów z południa zapalały się drzewa; Ziemia była tak gorąca, że ci, co chodzili boso, przypalali sobie podszwy. Z nieba spadł wielki wąż. Zewzłok wionął morowym powietrzem i w obozie wybuchła zaraża.

Choć Cybula nadal trochę chorował od udaru, ale i od pożałowania, jakie na niego spadło tego dnia, wieczorem wyszedł i przyłączył się do zabawy. Myślał, że będą z niego kpić i śmiać się, lecz wszyscy pytali go o zdrowie i życzyli, by rychło wyzdorzał. Kilka kobiet namaściło mu skórę. Przyszedł do niego Nosek, po czym siedzieli do późna w noc i gadali o niedolach obozu. Tak, pszenicy zabraknie, żeby ludzi wykarmić. Trzeba więcej owoców, jagód, grzybów i mięsa. Jeżeli myśliwi nie zapolują, to zimą ludzie pomrą z głodu. Cybula chciał przeprosić, że zszedł wcześniej z pola, lecz Nosek pocieszył go słowami:

– Robotników mamy dosyć. To żniwa trzeba nam więcej!

Było już po północy, gdy Cybula wrócił do chaty, do Jagody i Kory. Wprawdzie poprzyściął służyć bogu śmierci, lecz jeszcze płonęły w nim żądze żywych.

W imieniu Króla Rudego Nosek doszedł do ugody z Cybulą. Wszystkimi sprawami dotyczącymi się pól – kiedy orać, siać, zbierać, ile pszenicy i korzeni odłożyć na piwo i gorzałkę – zajmą się knezie. W sprawach dotyczących tylko Leśników będzie rządził Cybula. Został więc Cybula tym, czym był pierwaj: starostą obozu Leśników. Trzeba było pobudować nowe chaty, póki nie przyjdą deszcze i śniegi. Stare chaty wymagały naprawy. Skończyły się czasy, kiedy, każdy robił, co mu się podobało. Łowcom należało dać jaką zapłatę za dzielenie się z innymi tym, co upolują. Trzeba było wystawić strażę, bo wojacy dalej kradli i gwałcili. Rodziły się dzieci, lecz nikt nie wiedział czyje. Prawie każdą kobietę zgwałcił więcej niż jeden wojak. Jeśli naprawę miał to być obóz Polaków, co żyją z dobrodziejstw ziemi, trzeba było wytrzebić wielkie połacie lasu, wyrwać lub wypalić pnie

drzew, pouprzątać kamienie. Lecz któż podejmie się takiej roboty z własnej nieprzymuszonej woli? Należało jakoś zadbać o tych, co pracują. I wreszcie nie tylko wojacy mieli różne rzeczy na sumieniu. Także między Leśnikami wyrosli złodzieje, rabusie, gwałciciele – zło zawsze rodzi nowe zło. Musiał być sędzia, który by czuwał, żeby sprawiedliwości stawało się zadość.

Ponieważ wszyscy Leśnicy ufali Cybuli, brzemie to spadło po większej części na jego barki. Często mawiał, że gdyby nie Nosek, to upadłby pod tym ciężarem. Od rana do wieczora ludzie zarzucali go żadaniami i skargami. Ktoś dostał mniejszą działkę pszenicy lub słomy. Jednej rodzinie obiecano nową chatę, a drugiej tylko naprawiono dach. W obozie było teraz dwa razy więcej kobiet. Matki i wdowy nie miały czasu ani siły kopać dołów, rąbać drewno, nosić bierwion, kłaść dachów. Do tej roboty potrzebni byli mężczyźni. Żeby ich skłonić do stawiania chat dla innych, trzeba było zaprowadzić nowy ład, aby dla wszystkich starczyło, a zarazem każdy dostał tyle, ile mu się należy.

Cybuła często aż śmiał się do siebie. Całkiem nie przewidział, jakie te pola przyniosą kłopoty. Dopiero teraz docenił, jak prosto się dawniej żyło, gdy myśliwy nakarmił swą własną rodzinę tym, co upolował, sam stawiał sobie chatę lub namiot, zakładał sidła, troszczył się o ule. Gdy najędźcy przymusili Leśników do uprawy pól, trzeba było pracować wspólnie dla wspólnej sprawy, czego ludzie nie chcieli, a bogowie być może nie pochwalali. Czasami Cybuła myślał, że jedyna droga z tej niedoli to pozbycie się wszystkich wojaków i powrót do dawnych zwyczajów. Oznaczałoby to jednak kolejną kaźń. Ponadto krążyły słuchy, że Polacy w różnych krainach rosną w siłę, a ich królestwo sięga coraz dalej i dalej.

Zwiedziano się, że nie dalej jak o dziesięć dni drogi od obozu Polacy wybudowali Miasto. We wszystkie strony ciągnęły się pola, ogrody i sady, jak również grody kneziów, panów, czy jak tam ich właściciele się zwali. Taki właściciel miał wielki dom dla rodziny i służby. Miał wojaków, którzy go strzegli przed wrogami. Miał stada wołów, krów, koni, owiec, świń. W Mieście mieszkali rzemieślnicy: szewcy, krawcy, futrzarze, czapnicy, bednarze, kowale, blacharze, cieśle i inni. Byli też kupcy, którzy zamieniali jeden towar na drugi, zabierając trochę dla siebie. Mieli sklepy, gdzie wazyli towary na wagach albo mierzyli patykami. Z krainy, gdzie Wisła wpływa do morza, przybywali kupcy, by kupić zboże, miód, skóry, konie, owce, wełnę, a nawet niewolników, i płacili towarami, które wyrabiali Niemcy. Nikt nie mógł pojąć mowy tych cudzoziemców, za to umieli oni budować statki, garbować skóry, tkąć tkaniny, dobywać z ziemi skały i piasek, który potem topili w piecach i robili z niego szkło, mieli kopalnie ołowiu, miedzi, cyny.

I Niemcy, i polscy królowie mieli mennice, gdzie bito monety ze srebra lub złota. Na monety mówiło się pieniądze lub złoto. Choć Leśnicy nie mieli nic do sprzedania, Nosek namówił Cybulę, by pojechał z nim do Miasta, żeby po prostu zobaczyć, jak tam wygląda. Nie wszyscy Polacy są dzikoludami jak Król Rudy i jego wojacy. Wielu umie gadać z Niemcami, Czechami, Rusinami, a nawet z ludźmi, którzy żyją za morzem. Cybuła tylko słuchał i gapił się z rozdziawioną gębą.

Sami w swym zakątku świata, otoczeni lasem, z dala od innych plemion, Leśnicy wierzą jak robak w rzodkiewce, że ich bruzda to cały świat. Lecz nadchodzi nowy czas, a z nim nowe obyczaje. Ludzie nie muszą już tylko polować i łowić ryb. Kopiają we wnętrznościach ziemi i znajdują tam skarby. Pływają statkami po rzekach, jeziorach, morzach. Kołodzieje robią fury, powozy, bryki. Zimą jeździ się też saniami. Nosek mówił o żołnierzach, którzy podczas wojny walczą na rydwaniach. Powiedział też Cybuli o pisaniu: garbuje się skórę, robi z niej pergamin, a potem gęsim piórem rysuje znaczki, które inni mogą odczytać. Mówił Nosek o dalekich krainach, które zwą się Persja, Grecja, Rzym, Egipt. W Afryce ludzie są czarni. Są kraje, gdzie stawia się fortece z wieżami, a królowie noszą na głowach korony. Piękne kobiety noszą szaty z jedwabiu i satyny, zdobią się łańcuchami, bransoletami, kółkami w uszach i nosach, naszyjnikami. Są ludzie, którzy zwą się astrologami i wiedzą, co się dzieje wysoko w niebiosach. Nosek mówił słowa, których Cybuła by nie wyjęczył. Wyjawiał mu też, że w czasach wojen i grabieży Król Rudy zgromadził wielki skarb, srebro i złoto, które można wymienić na woły, owce, odzienie, buty, broń, powozy, siodła i czego jeszcze dusza zapagnie. Król Rudy gotów był powierzyć Noskowi część swych bogactw i posłać go do Miasta, by wymienić złoto na dobra. Nosek chce zabrać Cybulę ze sobą. Wyprawa nie będzie całkiem bezpieczna, bo po drogach czają się rozbójnicy. W Mieście też rojno od złodziei i zbójców, lecz człowiek sprytny wie, jak ująć tych niebezpieczeństw.

Cybula chciał się namyślić, zanim wyrazi zgodę. Nie było mu lekko opuszczać obóz; zawsze mu było brak Jagody, gdy musiał oddalić się gdzieś samemu. Lecz Nosek powiedział mu, że wyprawie tej nie podoła żadna kobieta. Poprosił go też, by się namyślił, nim zaczną się deszcze i śniegi, bo on wędruje podług słońca albo gwiazd, jak ci, co żeglują po morzach. Cybula może mówić z Noskiem, o czym tylko zechce, prócz zagadki, czemu ludzie i zwierzęta cierpią i umierają. Zawsze, gdy go o to pytał, Nosek odpowiadał:

– Tylko bogowie znają odpowiedź.

Wyprawa do Miasta

1

Kiedy Cybula powiedział Korze i Jagodzie, że jedzie z Noskiem do Miasta i nie będzie go przez prawie cztery miesiące, Jagoda wybuchła płaczem i pochlipywała, że go już nigdy nie ujrzy. Kora ostrzegła go, że przy drogach czyhają rozbójnicy, złe smoki, babuki i inne czarty, co wloką ludzi za góry w mroczne padoly na końcu świata. Lecz Cybula był twardy: powiedział już Noskowi, że się zgadza, co ten przekazał Królowi Rudemu. Poza tym obozowi trzeba koni, wozów, pługów, kos, sierpów, motyk, pił, młotków i wielu innych narzędzi do pracy w polu i stawiania domów. Obiecał też przywieźć Korze i Jagodzie podarki. Kora dała się wnet ubłagać, lecz Jagody Cybula żadną miarą nie umiał przekonać, że wyprawa przyniesie coś dobrego dla niej, dla niego, dla obozu. Dniało już, gdy wszyscy troje nareszcie usnęli.

Ledwo weszło słońce, gdy Nosek przyszedł zbudzić Cybulę. Wszystko było przysposobione: dwa konie pod wierzch, trzeci pod zapasy podróżne, jak również pod skarb Króla Rudego. Pierwszy raz w życiu Cybula miał u boku miecz, na głowie czapkę z piórami, a jak przystało na knezia, odziany był w żupan. Wyglądał jak wielki bohater z opowieści snutej w długie zimowe wieczory. Król Rudy i jego knezie pożegnali wysłańców. Cybula ucałował Jagodę, Korę i inne kobiety, które przyszły z koszami kwiatów i owoców, po czym zwinnie dosiadł konia. Wojacy stanęli w dwa rzędy i oddali jeźdźcom cześć: wyjęli miecze, zetknęli w górze parami i wznosili pochwalne okrzyki. Nosek rozdał dzieciom obwarzanki upieczone z pierwszej mąki po żniwach. Przyszedł Król Rudy z Łaską u boku. Jak przystało na żonę króla, mimo ciepłej pogody wdziała na boscie nogi buty. Ucałowała ojca, a Nosek złożył pocałunek na jej czole i ukląkł przed nią. Król Rudy zawołał:

– Bogowie z wami! – i dał jeźdźcom znak, by ruszali w drogę. Jagoda przyrzekła Cybuli nie płakać, lecz idąc koło konia do drogi za obozem, cały czas skuczała.

Cybula nie znał drogi, bo nigdy wcześniej nie opuścił okolicy, gdzie się urodził. Całkowicie zdał się na Noska, a on powiedział, że muszą znaleźć i trzymać się potoka, który płynie z gór. Nosek zwędrował w życiu wiele krain, wojował, poznał różnych ludzi. Jechał przodem i wiódł konia jucznego, a Cybula jechał z tyłu i wytężał oczy i uszy, czy się ktoś na nich nie zasadził. W jednej ręce miał wodze, drugą trzymał na rękojeści miecza. Droga wiła się przez las. Była to raczej ścieżka, za wąska nawet dla jednego człowieka, a teraz znikła pod mchem, opadłym sosnowym igliwem, gałęziami i szyszkami. Wcześniejsi podróżni wyróżnili na pniach drzew wskazujące drogę znaki, lecz Cybula nie mógł się na nich wyrozumieć. Dziwne było wyjeżdżać z obozu, nie uchodząc przed wrogiem, lecz jako pan, kneź. I to w czyjej służbie? W służbie swego dawnego wroga, króla, który poślubił jego córkę i być może zabił jego żonę. Choć zdarzenia szły jedno za drugim, gdy się spojrzęło za siebie, to wyglądały jak zmyślny plan ułożony przez jakiegoś mędrca bożego, który nie chciał, by się ktoś domyślił, jaki będzie koniec. Jesliby ktoś powiedział Cybuli w noc kaźni, że wódz tych zbójców zostanie jego zięciem i że pośle go w daleką podróż, zawierając mu swe cenne mienie, Cybula wziąłby go za szaleńca. Lecz tak właśnie zrzędziły wszechwładne moce.

Aby nie przemęczyć koni, jechali pomału i pozwalali im wypocząć, napaść się, napoić. Sami też wypoczywali i jedli. Wyprawa jeszcze bardziej ich zbliżyła. Potrzebowali wzajem swej

pomocy. Gdy jeden drzemał, drugi trzymał straż. Jednego wieczora, gdy pojedli i przysposobili się do snu w lesie, w bok od drogi, lecz niedaleko, Cybula powiedział do Noska:

– Wszystkim kłopotom winni są mężczyźni. Co by było, gdyby na świecie nie było mężczyzn? Z kobiet nigdy nie byłoby rabusiów i nikt by się nie bał, że ktoś go w nocy napadnie. Kobiety są słabe i boją się wyjść po zmroku z namiotu.

Nosek uśmiechnął się. Cybula ma takie dziwne myśli. Nosek odpowiedział na swój prosty sposób:

– Gdyby nie było mężczyzn, nie byłoby też kobiet.

– Trudno sobie człowiekowi wyobrazić kobietę z mieczem albo włócznią, jak rani inną kobietę albo zabija – powiedział Cybula.

– Samice są tak samo żądne krwi jak samce – powiedział Nosek. – Wilczyca rozszarpie sarnę albo człowieka tak samo szybko jak wilk. Nasze kobiety zabijają małe zwierzęta i ryby. Nie zabijają się wzajem, bo my, mężczyźni, robimy to za nie.

– Tak, to prawda – zgodził się Cybula – ale ludzie są inni niż zwierzęta.

– Nie tak bardzo inni. Kobiety są leniwe; tylko się zdaje, że mają takie miękkie serca. Wysłają mężczyzn na wszelkie niebezpieczeństwa, a same zostają w chatach i grzeją się przy ogniu.

Upłynęła długa chwila, zanim Cybula odpowiedział:

– Ty nie lubisz kobiet, Nosek.

Nosek uśmiechnął się.

– Nie bardzo.

– Czemu?

– No, bo ciężko się z nimi gada. Powiedz coś, co im się nie spodoba, a zaraz robią raban.

I ciągle wyrzekają na mężczyzn, że ich za mało kochają, nie dopieszczają. Kobiety wzajem się nienawidzą, lecz zawsze padają sobie w ramiona i udają przywiązanie. Jak jedna zachoruje, to druga zaraz przyjdzie zająć jej miejsce w łóżu, koło jej męża. Nawet swej rodzonej siostry!

– A mężczyźni są lepsi? – spytał Cybula.

– Mężczyźni nie udają, że są lepsi, niż są.

– Ludzie mówią, że się nie chcesz żenić. Czy to prawda? – spytał Cybula i natychmiast tego pożałował.

Nosek nie od razu odpowiedział. Wreszcie zaczął mówić:

– Przyzwyczałem się żyć bez kobiet. Kiedy byliśmy jeszcze wojenną drużyną, nie widziało się kobiet całymi miesiącami. Nasi wojacy zabijali stare i brzydkie kobiety, a młode miały takiego stracha, że tylko krzyczały i rzygały. Niektóre się broniły, aż były całe zbryzgane krwią. Żadna przyjemność brać kobietę, co na ciebie pluje, przeklina cię i próbuje wydrapać ci oczy.

– Lepiej brać mężczyznę? – spytał Cybula.

– Kiedy robi to mężczyzna z mężczyzną, to są przyjaciółmi, nie wrogami – odparł Nosek.

Zapadła noc, wyszły gwiazdy. Nosek powiedział:

– Tak daleko ujechaliśmy, a gwiazdy widzimy ciągle te same.

– Rozpoznasz gwiazdy?

– Tak.

– Jak?

– Podług tego, jak się do siebie mają. To się nigdy nie zmienia.

– Co to są gwiazdy? – spytał Cybula.

– Myślę, że to jakieś ognie. Lecz muszą być bardzo wielkie, nie takie małe, jak się zdają.

Kiedyś widziałem te same gwiazdy nad Wisłą i w wielu innych miejscach. Odchodzą, lecz co roku wracają. Jedne w lecie, drugie w zimie.

Umilkli. Trudno było powiedzieć, czy Nosek śpi czy nie. Cybula zaczynał już śnić, gdy coś go ugryzło. Usiadł gwałtownie. Czy to wąż? Dobrze wiedział, że od ukąszenia węża można umrzeć. Są nawet grzyby i jagody, które otrują, gdy je zjeść. Każdej chwili człowiek wystawia swe życie na szwank. Zdawało mu się, że słyszy szelest, kroki pośród drzew. Czy to wilk? Niedźwiedź? Chwycił za rękojeść miecza, lecz cóż po mieczu na niedźwiedzia bądź wilka? Cybula pragnął jeszcze pogadać z Noskiem, lecz nie śmiał go budzić. Widać Nosek nie dbał tak o życie jak on, ani nie był taki

ponury. Nosek nie zatapiał się we frasunkach, które dniem i nocą dręczyły Cybulę.

2

Zgubili się. Nie mogli znaleźć potoku, który wiódł do Miasta. Jechali już bardzo długo i nie mieli kogo spytać o drogę. Kiedy już kogoś napotkali – bosonogiego wędrowca z kijem i workiem na plecach – to się pokazało, że nigdy nie słyszał o Mieście. Nie całkiem rozumiał ich mowę. Na skraju nieba zebrały się chmury i ściemniło się. Wiał zimny wiatr. Koń juczny zaczął utykać. Cybula szukał jaskini, gdzie mogliby się schronić przed deszczem, lecz w dolinie nie było jaskiń.

– Bogowie nie chcą, żebyśmy dojechali do Miasta! – zawołał.

– Co mają do tego bogowie? – zapytał Nosek.

Zaczęło padać, siąpiawica wnet przeszła w ulewę. Wjechali głębiej w las, aby znaleźć schronienie. Grzmiało i błyskało się. Przemykały koło nich mokre zwierzęta, wystrachane zalewem wód. Cybula był za bardzo utrudzony, żeby wziąć łuk i strzelić do nich. Matka powiedziała mu, że jak grzmi, to znaczy, że bogowie się swarzą i ciskają w siebie kamieniami. Lecz czemu bogowie mieliby się swarzyć? I czemu się błyska? Jeśli to ogień, to czemu deszcz go nie zagasi? Cybula zadawał sobie te same pytania, które zadawał innym, kiedy był dzieckiem. Od czasu do czasu przeleciała koło nich sarna albo zając, albo lis. Dziwne, zwierzęta mają tylko jedno wyjście: uciekać. Ale przynajmniej nie robią takich bzdurstw jak ludzie: nie ruszają szukać jakiegoś miasta, nie próbują sprzedać czyichś skarbów, nie ustanawiają królów, nie zostają kneziami. Przywiązane do dwóch drzew konie także chciały uciekać: szarpały za lejce, próbując się wyswobodzić. Ich wielkie czarne oczy – same źrenice – patrzyły na Cybulę i Noska ze strachem i zdumieniem, lecz oni nie mogli jechać dalej. Zmierzchało się. Nosek powiedział kwaśno:

– Jak tu umrzemy, Król Rudy pomyśli, żeśmy uciekli ze złotem.

Choć twarz miał zmokłą i steraną, zdołał się uśmiechnąć.

Siedzieli bez słowa, oparci plecami o drzewa. Nosek powstał, podszedł ku koniom, z juk przy siodle wyjął kawał mięsa i rozdarł go na dwoje. Konie mogły bez trudu schylić głowy i najeść się do syta, lecz nie okazywały głodu. Cybula był myśliwym i zabijanie zwierząt czy chwytanie ich w sidła było mu zwyczajne, ale było mu ich żal. Wiedział, że cierpią tak samo jak człowiek – czują tę samą bezradność, ten sam strach, że ich nie będzie i zostaną z nich tylko zezwłoki. W tej chwili dola Cybuli była taka sama jak ich, może nawet gorsza. Konie były spokojne, a jemu się spieszyło; jak ma umrzeć, to zaraz. Chciał pogadać z Noskiem, lecz Nosek uparcie milczał i wyglądał, jakby miał jasność, co trzeba zrobić.

Cybula myślał, że nie zmruży oka, lecz wnet spał jak suseł. We śnie szedł po zielonej łące, na której pasły się konie, woły, krowy i cielęta. Opodał szemrał strumień. Cybula szukał pola, ale co jakies zoczył, zaraz od niego uciekał. Widział ludzi przy żniwach, ale zamiast wiązać pszenicę w snopki, suszyli ją w słońcu i stawiali w wielką stertę, która sięgała wierzchołków drzew – góra pszenicy! Cybula otworzył oczy. Przestało padać. Przemókł i zmarzł, lecz w jego ciele zostało trochę gorąca ze snu. Popatrzył dokoła i ujrzał Noska siodlającego konie. Cybula wstał raźniejszy na duchu, rwał się jechać dalej. Czuł, że w ciągu dnia się ociepli. Zrzucił mokry żupan i nagi podszedł do Noska.

– Siwa miała trzaskę w kopycie – powiedział Nosek. – Nie dziw, że chromała.

– Wyjąłeś trzaskę?

– Tak. Chciała mnie ugryźć, ale udało mi się wyjąć.

Odziali się, wsiedli na konie i zaraz po wschodzie słońca wyjechali z lasu.

Dnie powoli przeradzały się w tygodnie; księżyc z pełni skurczył się o połowę, potem przyszedł nów. Ścieżka, którą jechali, zesła się z szerszą drogą i wnet ujrzeli innych jeźdźców, powozy, fury. Okolicę zamieszkiwali ludzie, którzy mówili po polsku na swą własną modłę i nie było dnia, żeby Cybula nie nauczył się nowych słów i wyrażeń. Ciągłe odkrywał rzeczy, których nigdy wcześniej nie widział, mijał pola, sady, stawy rybne, studnie, młyny z żarnami do mielenia pszenicy i kukurydzy, stajnie dla koni, chlewy świńskie, wiatraki, mosty nad potokami, a nawet rzekami. Ujrzał chaty kryte strzechą i kilka z drewnianymi gontami. Na koniec zoczył w dali wysoki mur z wielkimi basztami i gdy tak patrzył wybałuszonymi oczyma, Nosek wyjaśnił mu:

– Ten mur zbudowali władcy Miasta z kamienia i cegły, a na basztach postawili strażników, aby ostrzegali ich o zbliżaniu się wroga. Królowie i knezie ciągle walczą ze sobą, najeżdżają grody, grabią i biorą ludzi w niewolę. Każda taka osada jak Miasto musi być strzeżona, a obcych jak my zatrzymują przy bramie. Jeśli pozwolą nam wejść, zapłacimy rogatek.

Przed murami pola były już oporzędzone. Na trawiastych równinach pasło się bydło, konie i owce. Cybuli nieznane były nawet zapachy: mieszanina dymu, śmieci, czegoś zjełczałego i czegoś smacznego, jak świeżo wypieczony chleb. Nosek wyjaśnił, że nie każdy w Mieście może mieć piec i pieczenie przysługuje tylko wybranym mieszczanom.

Przy bramie Nosek podał strażom cel podróży i zapłacił rogatek. Nosek mówił po polsku, lecz używał słów, które Cybula ledwie rozumiał. Wiodąc konie za uzdy, wnet szli ulicą z domami po obu stronach. Pomiędzy domami były sklepy, a w oknach stały kubły z dobrami, jakich Cybula w życiu nie widział. Ziemia była błotnista od wczorajszego deszczu, a ulica lśniła od kałuż. Rojno było od ludzi. Przejeżdżały wozy ciągnięte przez konie i zaprzęgnięte w drewniane jarzma woły. Cybula wszedł w nowy świat. Nawet ludzie zdawali mu się nowi: wszyscy byli czymś zajęci, lecz zdawało się, że jeden nie zna drugiego. Nosek powiedział:

– To chyba dzień targowy.

Gdy tak szli ulicą, otwierały się drzwi i kobiety wylewały cebry pomyj, wysypywały obierki cebuli, rzodkiewki, ogórków, innych warzyw i owoców. Z jednych drzwi wykuśtykał o kulach jakiś człowiek. Na progu siedział ślepiec i nucił sobie pod nosem. Przed innym domem Cybula zobaczył wielki pień drzewa i człowieka w zboczonym krwią fartuchu, rąbiącego mięso i kości siekierą. Sprzedawał połcie z zarżniętego wołu albo świni. Od mięsa szedł niemiły zapach, a Nosek wyjaśnił:

– Ludzie nie mają tu czasu polować. Kupują mięso od rzeźnika.

– Czemu mięso wonieje?

– Schodzi dużo czasu, zanim się zwierzę zarżnie, obłupi ze skóry i przyniesie rzeźnikowi.

Rzeźnik nie zawsze sprzedaje wszystko mięso jednego dnia, a przecież nie wyrzuci.

Między kobietami stojącymi po mięso zebrały się psy i wyteżały nozdrza. Kiedy spadał na ziemię płat mięsa albo kość, rzucały się na nie i wyszarpywały sobie z pysków. Rzeźnik podniósł tęgi kij i jął przeganiać psy, bijąc te, których mógł dosięgnąć. Cybula spostrzegł, że mięso kładzione było na wadze, a kiedy kobieta dostawała swoją działkę, dawała rzeźnikowi jakieś krążki. Nosek powiedział mu, że to pieniądze, miedziane groszaki.

Cybula sądził, że zna ludzką naturę, rozumie, czego ludzie chcą i co robią. Lecz tutaj ludzie byli inni. Byli ściśnięci w kupę, jakby Miasto było mrowiskiem. On i Nosek ledwie przedzierali się przez tłum ze swymi końmi. We wszystkie strony chodzili ludzie, jeździły wozy. Jakiś człowiek miał na plecach jarzmo, na którym kolebały się wiadra wody, i krzyczał:

– Wolna droga dla nosiwody!

Domy pobudowane były jeden koło drugiego i miały izby, w których pracowali rzemieślnicy. Jeden robił buty, drugi szył ubrania, trzeci kroił skóry. Nosek z dwoma końmi znalazł się daleko

w przedzie; ulica była za wąska, żeby iść koło siebie. Nad Miastem ciążyło gorące i duszne powietrze. Przez czwórrożne dziury w ścianach – okna – i przez otwarte drzwi majaczyły Cybuli na pół rozebrane kobiety i nagie dzieci. Jedna kobieta karmiła dziecko wielką piersią, inna warzyła strawę na ogniu, który huczał nie w piecu, lecz na wierzchu. Gdzienigdzie były drzewiane podłogi, lecz przeważnie w izbach było błoto i brud. Jak ludzie mogą tak żyć, zastanawiał się Cybula. Chaty w obozie Leśników były większe, przestronniejsze, nie tak zapchane łóżami, kojcami, stołami, ławami, beczkami z czystą wodą i kadziami z pomyjami. Za potrzebą wychodziło się tu na ulicę.

Wyszli z wąskiej ulicy na wielki otwarty plac, o którym Nosek mówił targ. Była tu studnia, a domy wyższe niż przedtem, piętrowe. Na kramach i na ziemi kupcy rozkładali swe towary: gliniane dzbany, garnce, kozuchy, futrzane czapy, pasy z kutasami, chustki, słoje miodu, kosze grzybów, fasoli, grochu, rzepy, rzodkwi, ogórków. Nosek wytłumaczył Cybuli, że na targ przychodzą kupować nie niewolnicy kneziów, lecz kmiecie, drobni dzierżawcy. Często mają parobków, którzy pracują w polu lub przy domu. Nosek zatrzymał jakiegoś przechodnia i zapytał o gospodę, tłumacząc Cybuli, że w mieście nie śpi się na dworze, lecz w domu gościnnym. Przechodzień wskazał im drewniany budynek wysoki na dwa piętra, tak duży, że Cybula myślał, iż się wnet wywróci. Na powitanie wyszło do nich dwóch ludzi i Nosek – porachowawszy, że zostaną na sześć czy siedem dni – spytał o cenę. Kiedy jeden z gospodarzy ugadywał się z Noskiem, drugi zabrał konie, gdy już Cybula zdjął sakwy ze skarbami Króla Rudego. Nosek stargował w końcu trochę z ceny. Dostaną dla siebie pokój, który ma drzwi na skobel i okno wychodzące na targ. Nadto posilą się dwa razy na dzień w gospodzie. Z sakiewki na szyi Nosek wyjął monetę i zapłacił zaliczkę. Jako dziecko Cybula nauczył się rozumieć słowa, których znaczenia były ukryte, lecz teraz – nie mógł wyjść z podziwienia. Przyszło mu do głowy, że gdyby Nosek nie był uczciwym człowiekiem, mógłby Cybulę sprzedać w niewolę. Czuł się całkiem bezsilny.

Pierwszy raz w życiu Cybula wchodził po schodach. Było ciemno i Nosek musiał go prowadzić jak ślepcę. Pospieszył przodem i otworzył drzwi. Cybula wszedł do izby z bielonymi ścianami, drzewianą podłogą i oknem, za którym widać było targ na dole. Zdawało się, jakby byli pod samym niebem opodal chmur. Ludzie i konie w dole zdawali się malutcy. W izbie ujrzał łożę – siennik na podłodze – i poduszkę z podartą poszwą, z której też wylało siano. Pod ścianą stał dzban z wodą, a koło łoża gliniane naczynie. Nosek powiedział Cybuli, że ma się do niego wypróżniać. Cybuli kręciło się w głowie. Czuł, że izba się huśta, a ściany kołują. Nosek zachowywał się jak człowiek nawykły do podróży. Łyknął wody z dzbana, usadził się na ławie i rozwiązał sakwy Króla Rudego. Wyjmował garście monet, złotych łańcuchów, brosz, bransolet, pierścieni. Na wszystko miał nazwę.

W latach grabieży i zabijania Król Rudy zgromadził wielkie bogactwo, lecz nigdy go nie użył. Nosek był jedynym kneziem, który nigdy nie grabił ani nie gwałcił. Wędrował z Polakami, bo nie mógł sobie nigdzie znaleźć miejsca. Dużo się przez te lata nauczył. Między wojakami, którzy ciągle przychodzili i odchodzili, zawsze znajdował sobie przyjaciela. Ani trochę go nie ciągnęło do świecidełek. Wiedział, że inni knezie mają schowane własne sakwy z łupem.

Rachując monety i oglądając każdą z osobna, Nosek zastanawiał się, co może dostać za ten skarb. Czy wszystko ma swą cenę? Wiedział, co on i Król Rudy chcą nabyć: zdrowe konie, kilka klaczy, ogiera, by je pokrył, powóz, miecze, włócznie, noże, sztylety, królewskie szaty, może koronę. Król Rudy przykazał też po cichu Noskowi, by mu przywiózł młodą niewolnicę. Spanie z Łaską go ostatnio nie zadowalało. Pragnął młodej dziewczki, która spełni wszystkie jego życzenia, zatańczy dla niego, wypije z nim, opowie mu historie o upiorach i wiedźmach. Nosek obiecał, że nic nie powie Cybuli. Miał też kupić dużo nasion, nie tylko pszenicy i kukurydzy, lecz także jęczmienia, owsa, prosa, fasoli. Ale czy naprawdę da się to kupić? Nosek nie był aż tak sprytnym kupcem, jak sądził Cybula, lecz wiedział, że wszędzie pełno oszustów i złodziei. Dzień minął zatem na obrażkach. Nosek wytłumaczył też Cybuli, że w dalekich miastach są ludzie, którzy umieją prowadzić rachunki i pisać słowa piórem na pergaminie albo kredą na tablicy.

Wieczorem przyszedł gospodarz i powiedział, że na gości czeka strawa. W izbie zapalił im w małej glinianej lampie knot, który pływał w oleju z nasion. Po drodze na dół niósł przed sobą świecznik. Cybula nigdy wcześniej nie widział świecznika, choć w obozie czasem używali świec

woskowych z knotami splecionymi z owczego runa. Gospodarz zaprowadził Cybulę i Noska do wielkiej izby, gdzie ujrzeni długi stół z ławami po obu stronach. Goście siedzieli już za stołem, a służebnice podawały im strawę w wielkich drzewianych misach. Między gośćmi byli sami mężczyźni. Jakże inaczej? Kobiety nie podróżują, bo nie jeżdżą konno. Kiedy Cybula i Nosek weszli w swych długich żupanach, wszyscy na chwilę ucichli, po czym znów podniosła się wrzawa.

Goście zrobili nowo przybyłym miejsce za stołem. Wszyscy ich pytali, skąd jadą i skąd pochodzą. Na wszystkie pytania odpowiadał Nosek, a Cybula siedział w milczeniu. Ludzie w gospodzie zdziwili się, gdy usłyszeli, że ci dwaj pochodzą z plemienia Leśników, którzy niedawno zostali Polakami. Spytałi Noska, gdzie leży ich obóz, a on mógł tylko pokazać palcem i dodać, że obóz jest za górami. Stołownicy przekrzykiwali się nawzajem. Gdy weszły służebnice z mięsem w misach, goście szczykali je, nawet łapali za cycki, a dziewczki chichotały.

Gdy goście chcieli się wywieźć, po co Nosek z Cybulą wyruszyli w tę długą podróż, Nosek powiedział im, że ma towary do sprzedania i chce kupić konie, broń, powóz, nasiona. U podnóża gór powstało nowe polskie królestwo. Rozmowa wnet przeszła na handel. Wszyscy chcieli ubić dobry interes, powiększyć swój majątek, stać się potężnymi i bogatymi.

4

Cybula przyrzekł Jagodzie, że podróż nie potrwa dłużej niż cztery miesiące, lecz minął już piąty, a dwaj wysłannicy dalej byli w Mieście. Ulice zasłał śnieg i szerzyła się zaraza. Dzieci marły jak muchy. Nosek kupił już pięć koni i musiał płacić za paszę, póki mu nie wykonają zamówionego powozu. A rzecz to niebłaha zrobić ośkę, koło, siedziska, kozioł. Kołodzieje i kowale trudzili się od świtu do nocy, lecz robocie dalej nie widać było końca. Ponieważ zimą w gospodzie zatrzymywało się niewielu gości, Cybula i Nosek często byli sami. Kucharz warzył im strawę, a służebnice podawały tylko dla nich. Gospodarz dał im dwie pierzyny.

Cybula przyzwyczajał się do życia w mieście i często nie mógł uwierzyć, że był kiedyś myśliwym i mieszkał w jaskini. Tęsknił jednak za Jagodą. Często budził się w nocy, leżał i myślał o niej. Czy dalej go miłuje, czy znalazła sobie kogoś innego? W myślach mówił do Jagody, opowiadał, jak bardzo mu jej brakuje, i przyrzekał, że wróci z podarkami i świeżą miłością, jak tylko dokona swego dzieła. Przysięgał się, że już jej nigdy nie opuści. Lecz czy ona słyszy te przyrzeczenia? Niekiedy podejrzewał, że już go nie miłuje, że leży w ramionach innego. W podobnych chwilach brała go taka żalność, że chciał odebrać sobie życie. Wiele razy mówił Noskowi, że nie może już dłużej czekać i że gotów jest sam wrócić do obozu. Nosek odwoził go od tego. Cybula zgubi drogę i zamarznie na śmierć albo pożrą go wilki.

Jedna ze służebnic, Głoska, zaczęła się Cybuli nastęczać. Kiedy Nosek był u kowala albo kołodzieja, Głoska ukradkiem przychodziła do Cybuli, brała go do izby na górze i oddawała mu się. Czasem dawała mu się wziąć za piecem, na stojaka. Inne służebnice też robiły do niego oczy. A jakby tego nie było dość, Nosek kupił nałożnicę imieniem Kosooka. Udawał, że chce ją dla siebie, lecz Cybula dobrze wiedział, że Nosek nie pożąda kobiet. W końcu przyznał, że ją nabył dla Króla Rudego.

Kosooka powiedziała, że pochodzi z dalekiego kraju – z plemienia zwanego Tatarami. W kraju tym mieszka wiele plemion – Kałmuki, Kozacy i inne, o nazwach, których niepodobna wymówić. Kiedy była jeszcze dzieckiem, wziął ją w niewolę wojak i straciła dziewictwo. Wojakjechał z nią przez step, kradł, łupił, czasem zabijał. Ukradł konia, złapali go i powiesili – a Kosooce kazali stać obok i patrzeć. Sprzedali ją innemu mężczyźnie, a on ją znowu sprzedał. Gdy minęło jej czternaście wiosen, miało ją już wielu mężczyzn. Dwa razy była brzemienna i dwa razy poroniła. Zrodziła jedno dziecko i wrzuciła do dołu na śmieci. Kosooka miała ukośne oczy – czarne i ogniste, białe zęby i błyszczące czarne włosy. Mówiła po rusku, po polsku i po tatarsku, mową tych, którzy

grasowali po stepach, tajdze i tundrze. Kto ją kupił, przeważnie uczył ją swej mowy. W każdej z nich Kosooka umiała nucić zaklęcia, przywoływać diabły, babuki, upiory, chochliki. Pochodziła z kraju, gdzie jadło się końskie mięso i doilo kłacze. Mężczyźni kupowali żony wraz z owcami. Chełpiła się, że zna czary, od których krowa nie daje mleka, a kura nie znosi jaj. Umie zamknąć kobietom łono, a mężczyznom odjąć męskość. Nosek kupił ją od kostropatej, ślepej na jedno oko staruszki, która miała na czole guz wielki jak gęsie jajo. Po prawdzie kupno to załatwiła sama Kosooka. Wzięła dla siebie tuzin monet, a staruszcze dała tylko pół tuzina.

Kosooka umiała nadzwyczajnie snuć opowieści, a pamiętała wszystko, czego się dowiedziała od starych Tatarów, kiedy śpiewali wieczorami przy ognisku. Nosek nie miał cierpliwości do jej kłapania gębą, lecz Cybula lubił zadawać jej pytania i słuchać jej nieposkładanych odpowiedzi. Śpiewała tęskne piosnki, które przypominały jodłowanie leśnickich pasterzy w górach. Opowiadała mu historie o mężczyznach z krzywymi mieczami i kobietach z chustkami na twarzy. Ojciec Kosooki był starcem z długą białą brodą i dwiema żonami, jedną starą, drugą młodą. Kiedy Kosooka miała sześć lat, jej ojciec odrąbał młodej żonie głowę dla jakiegoś występku, który popełniła.

Cybula bardzo polubił Kosookę i jej opowieści, choć podejrzewał, że niektóre zmyśliła. Uznał jednak, że nawet jeżeli dziewczyna łże, to on i tak uwielbia jej słuchać i z nią być. Kiedy spytał Noska o przyzwolenie, ten odparł:

– Rób z nią, co chcesz, lecz nie czyn jej brzemienną, bo będzie diabła warta dla króla Rudego.

Cybula powiedział Noskowi, że nauczył się ronić nasienie na jej brzuch i między jej piersi. Cały czas, gdy Cybula ją brał, Kosooka dalej trajkotała. W gorącu namiętności darła się niekiedy i mówiła, że zaraz umrze. Chciała, żeby jej dusza uleciała na koniec świata, gdzie ścieliły się mroki i czekał na nią duch matki. Bywało też, że ku podsyceniu ochoty śpiewała zawodzące pieśni, których sama nie rozumiała. Lubiała opowiadać, jak wojak – ten, którego powiesili – smagał ją batem. Kiedy coś źle powiedziała czy zrobiła, tłukł ją kijem. Potem zlizywał z niej krew. Powiedział jej, że zjadł kiedyś trupa swego nieprzyjaciela i że zabił własnego brata. Kosooka umiała wyczytać z dłoni człowieka, co mu przyniesie los. Wiedziała, jak skończy Cybula, lecz nie chciała mu powiedzieć. Mówiła mu o jego zmarłej żonie Jasnej, o Korze i Jagodzie, różne rzeczy, których nijak nie mogła sama wiedzieć.

Kiedy rzemieślnik późnił się coraz bardziej i zwłóczył, Nosek z Cybulą pojęli, że przed wiosną powóz nie będzie gotów. Czas było ruszać w drogę. Nosek postanowił zostać jeszcze trzy dni i nakupić tyle dóbr, ile uniosą konie, po czym wrócić do obozu. Przybyli z trzema końmi, teraz mieli siedem. Nosek sprzedał złotnikowi srebro i złoto Króla Rudego za nasiona, konie, młotki, gwoździe, widły do stawiania siana w stogi i nożyce do strzyżenia owiec, bo zamyślał prócz bydła hodować też owce. Nie wymagało to żadnego wysiłku, bo łąki wokół obozu porastały bujnie trawami. Konie, woły, krowy, owce mogłyby się latem paść i nabierać sił. Trzeba by się tylko zatroszczyć o siano na zimową paszę.

Gospodarz Dworak i jego żona Pociecha często powtarzali, że przekupnie i rzemieślnicy w Mieście oszukiwali Noska, swoje towary drożyli, a jego kupowali taniej. Ponieważ Cybula i Nosek mieli wyjechać, gospodarz obiecał zabrać od przekupniów dobra, za które Nosek już słono zapłacił. Cybula i Nosek mieli wrócić po te dobra i powóz na wiosnę. Dworak wyglądał na uczciwego człowieka, lecz jakiś pleciuga powiedział Noskowi, że i on jest oszustem. W Mieście Cybula pojął, że mieli słuszność Leśnicy, którzy zostali w górach, bo nie chcieli żyć między Polakami. Postanowił do nich jak najprędzej powrócić.

5

Kilka dni zanim Nosek i Cybula mieli wyjechać z Miasta i wrócić do obozu, Nosek dał Cy-

buli dwie złote monety na podarki. Sam kupił złotą bransoletę dla Łaski. Cybula długo się wahał, co kupić w podarku Jagodzie, lecz w końcu postanowił kupić buty. Wciąż pamiętał, jak pięknie wyglądała w butach Łaska, gdy przyszła go pożegnać przed wyprawą. Lecz buty trzeba szyć na miarę. Cybula wiedział tylko, że Jagoda ma małe stopy, mniejsze niż jej matka, niż Łaska, niż jego zmarła żona Jasna. Kilka razy przechodził koło chat, gdzie pracowali szewcy, lecz teraz zebrał się na śmiałość, by wejść do środka. Słońce miało się ku zachodowi i przez szparę w chmurach sączyło się czerwonym światłem na śnieg.

Szewc siedział w izbie na niskiej ławie i wykrawał z kawałka skóry podeszwę. Był niski i śniady, a takich w Mieście rzadko się widywało. Oczy miał czarne, podobnie brodę, a na głowę nałożył czapę z kozucha. Na pewno nie był Polakiem, nie wyglądał też na Leśnika. Mógł pochodzić z tego samego kraju, co Kosooka. Był tak zajęty robotą, że nie podniósł głowy i nie zauważył Cybuli. Nagle odłożył skórę i nóż, wyciągnął dłonie i zaczął je czyścić w śniegu za drzwiami chaty. Wytarł je w kawałek szmaty i stanął przodem do ściany. Co on robi? Może sika, zastanawiał się Cybula. Ale nie, stał tak przez jakiś czas z pochyloną głową i mruczał coś do siebie. Niekiedy kołysał się tam i nazad. Potem podniósł dłoń, zwinął w pięść i zaczął się bić w lewą pierś. Cybula patrzył zdumiony. Czarownik albo wariat. Mały szewc stał pod ścianą przez długi czas. Potem nisko się skłonił i zrobił kilka kroków do tyłu. Wtedy dopiero otworzył oczy i ujrzał Cybulę. Cybula spytał:

– Co robisz? Do kogo gadasz? Chcę zamówić parę butów dla dziewczyny.

Szewczyk mamrotał jeszcze chwilę. Potem powiedział:

– Gdzie jest dziewczyna? Muszę jej wymierzyć stopy. Prócz tego zaraz będzie noc. Przyjdź z nią jutro rano, panie.

Szewczyk umiał po polsku, ale mówił dziwnie. Obcinał słowa, nie gadał jak miastowi. Dodał:

– Zaraz zamykam.

Nikt jeszcze nie powiedział do Cybuli „panie”. Spytał:

– Skąd wiedziałeś, że jestem pan?

– To się wie, to się wie. Mieszkasz w gospodzie z innym panem, tym, który kupił konie i zamówił powóz. Ludzie myślą, że Miasto jest duże, ale tam, skąd ja pochodzę, uchodziłoby za małe. Tutejsi kupcy nie są uczciwi. Oszukali was. Lecz nie mów im, panie, że ci to powiedziałem. Zaraz mnie zabiją, te łotry. To źli ludzie – złodzieje, rabusie, zbójcy. Służą bałwanom, nie prawdziwemu Bogu. Wytną coś z drzewa albo kamienia, po czym kłaniają się temu i oddają cześć. To bałwan bez życia, nie Bóg żywy.

– Kim jesteś? Jak się zwiesz? Pochodzisz z Miasta? – spytał Cybula.

– Nie. Zwę się Ben Dosa i jestem Żydem.

– Co to jest Żyd? – spytał Cybula.

– Syn narodu, który Bóg wybrał ponad inne i któremu oddał ziemię Izraela. Lecz nasi przodkowie zgrzeszyli i zostali wygnani ze swej ziemi.

Powiedział to wszystko jednym tchem, używając słów, których Cybula nie rozumiał. Już się nauczył z rozmów z Kosooką, że ci, którzy pochodzą z obcych krajów, mówią pomieszaną mową i przekręcają słowa.

– Jak się zwie to miejsce, skąd pochodzisz?

– I tak go nie znasz, panie. To wielkie miasto, zwie się Sura.

– Gdzie to jest?

– Daleko, daleko stąd. Kraina zwie się Babilon. Tam nigdy nie jest tak zimno jak tu. Nie ma śniegu, tylko deszcz.

– Czemu tu przybyłeś?

– Nie przybyłem z własnej woli. Tam byłem kupcem, nie szewcem. Wsiadłem na statek, by popłynąć do Sydonu, lecz rozbójnicy zabrali mi wszystko, co miałem, i sprzedali mnie Kananejczykom, którzy żeglują po morzach. Musiałem ciężko pracować i kazali mi jeść świńskie mięso, czego mi nie wolno. Pracowałem dla nich wiele tygodni i miesięcy, aż zachorowałem. Kiedy niewolnik zachoruje i nie może więcej pracować, Kananejczycy wrzucają go do morza. Oto jak czynią bałwochwalcy. To dzikie zwierzęta. Myślałem, że mój koniec już blisko, lecz Bóg, Stworzyciel wszech-

rzeczy, zmiłował się nade mną i ozdrowiałem. Wlekli mnie z miejsca na miejsce, aż dojechaliśmy tam, gdzie Wisła wpada do morza. Tam mnie sprzedali ludziom, którzy mówili po polsku; przechodziłem od pana do pana, aż przywieźli mnie do Miasta i zostałem szewcem. Mój pan zabiera pieniądze, które zarobię, a za to daje mi chleb, czasem rzodkiew, cebulę, ogórek. Nie mogę jeść mięsa, które mi daje, bo jest nieczyste.

– Co znaczy nieczyste? – spytał Cybula.

– To znaczy, że zwierzę zostało zarżnięte wbrew woli Boga. My mówimy na to – trefne.

– Co to za Bóg?

– Stworzyciel nieba i ziemi, jak również człowieka i wszystkich zwierząt – powiedział Ben

Dosa.

– Gdzie on jest? – dociekał Cybula.

– Jest w niebie, na ziemi, w odmętach morza, w sercach wszystkich dobrych ludzi, na szczytach gór, na dnie dolin.

– Czy był na statku, gdzie kazali ci jeść świńskie mięso?

– On jest wszędzie. Przyjdź jutro z dziewczyną.

– Dziewczyny tu nie ma.

– A gdzie jest?

– Została w obozie, w górach.

– Jak mogę jej uszyć buty, skoro nie wiem, jakie ma duże stopy?

– Ma małe stopy, najmniejsze w obozie.

– Jest jeszcze dzieckiem?

– Nie, to dorosła dziewczyna.

– Nie mogę ci uszyć tych butów. Co jeden zwie małym, drugi zwie dużym. Muszę zdjąć miarę, bo inaczej buty wyjdą za luźne albo za ciasne. Wziąłbym od ciebie pieniądze i nie dał ci nic w zamian. Oszukałbym cię.

– No to chodź ze mną do obozu i tam zdejmij miarę.

Mężczyzna radośnie zerwał się z krzesła.

– Naprawdę mógłbym pojechać z tobą, panie?

Cybula zastanowił się chwilę.

– Tak, naprawdę. Mamy wiele zwierzęcych skór, lecz nie mamy szewca. Nasze kobiety robią sobie buty ze skór zwierząt, lecz to byle jaka robota i nie równa się butom, które szyją tu, w Mieście. Potrzeba nam szewca. Damy ci chatę i strawę, a jak zechcesz, weźmiesz sobie jedną z naszych kobiet za żonę.

– Kiedy mnie nie wolno jeść waszego mięsa ani brać za żonę kobiety, która oddaje cześć bałwanom. Poza tym zostawiłem w Surze żonę i dzieci.

– Pojmuję. Ale oni są tam, a ty jesteś tutaj – powiedział Cybula.

– Tak, lecz Bóg jest wszędzie – powiedział Ben Dosa. – Siedzi w niebiesiech na majestacie i widzi wszystko, co się wydarzy tu na ziemi. Wie nawet, co sobie człowiek myśli głęboko w sercu. Można oszukać stworzenie z krwi i kości, lecz nie Boga, który jest wieczny i żyć będzie na wieki.

Chwilę później dodał:

– Przyjdź jutro, panie. Być może pojedę z tobą w góry, jeśli wrócą mi swobodę. W tym mieście pełno jest złych ludzi. Może to Bóg zesłał mi ciebie.

Bunt wojaków

1

Ziemię pokrywał szron, lecz niebo przetarło się i świeciło słońce, kiedy Cybula i Nosek wracali do obozu. Mieli siedem koni objuczonych dobrami, które kupił Nosek – nade wszystko zapas nasion i broń. Wieźli także ze sobą Ben Dosę i Kosookę. Nosek dał się namówić, by zabrać tego szewca, który umiał także szyć odzież i czapy, jak również utrzymywał, że jest biegły w sztuce pisania na pergaminie. Na szyi miał zwój zapisany literami i słowami, które sam skreślił. Jako mały chłopiec posiadał wiele umiejętności, włączywszy matematykę. Choć do miastowego polskiego mieszkał słowa ze swej własnej mowy, dało się go mniej więcej zrozumieć. W swej ojczyźnie Ben Dosa był kupcem. Teraz umiał nie tylko po polsku, ale i trochę po niemiecku. Mówił, że wyuczył się tej mowy w niewoli, zanim go sprzedano Polakom.

W obozie przyda się taki człowiek jak Ben Dosa. Wy tłumaczył Noskowi, jak go kupcy w Mieście oszukali, i pouczył go, jak się od tego w przyszłości uchronić. Prawda, często mówił o swym wygnanym za grzechy narodzie, o zburzonej przez występnych ludzi świątyni, o Bogu, którego imienia nie wolno mu było wypowiedzieć, i o innych dziwnych rzeczach. Ale co to komu szkodzi? Kupili go z narzędziami szewskimi za dwa talary, niedużo więcej, niżby zapłacili za konia.

Jako że śnieg stwardniał i droga była śliska, czterej podróżnicy zsiadli z koni i szli obok nich. Kiedy Ben Dosa ostrożnie stąpał po zmarzniętej ziemi, wychwalał Boga i wyliczał Jego dobrodziejstwa. Kiedy jadł kawałek stawy, kęs chleba czy jabłko, błogosławił Bogu przed i po jedzeniu. Czy on rzeczywiście nie widzi, co ja widzę? – zastanawiał się Cybula. A może udaje, że nie widzi.

Choć żywot człowieczy był jak zawsze ulotny i najeżony niebezpieczeństwami, z gór, dolin i wodospadów promieniała tego pięknego dnia trwałość, pewność. Górski śnieg błyszczał w słońcu. Gdzieś po skalistych zboczach wiała się strużka ledwo odtającej wody. Sosny i jodły wyzierały spod śniegu świeżą zielonością. Wietrzyk, który wiał od lasu, niósł już zapach wiosny. Większa część ptaków dawno odleciała do ciepłych krajów, lecz trochę z nich zostało pośród sianej zimy i fruwały z rozpostartymi skrzydłami, szybując na wysokościach w górę i w dół. W Mieście śnieg zbrudzony był podeptanym śmieciem i błotem, lecz w górach słał się tak czysty, jak spadł.

Na chwilę Cybuli zaświtała nadzieja, że świat tak świetny nie może być przeklęty. Lecz coś mu w środku szeptało, że w obozie oczekują ich złe wieści. Co to może być? Czy Jagoda porzuciła go dla kogoś innego? Czy inni knezie podbechtali przeciw niemu Króla Rudego i knowali, by ściąć mu głowę, kiedy przybędzie? Cybula nie mógł już zatrzymać tych mrocznych myśli dla siebie. Odezwał się do Noska:

– Boję się wracać do domu. Czasami bym chciał iść prosto w góry, z powrotem do jaskini. Nosek patrzył na niego zdumiony.

– Co też sobie wymyśliłeś? Przecież w obozie wiedzą, że na taką podróż musi zejść kawał czasu.

– Tam coś się wydarzyło.

Nagle wtrącił się Ben Dosa:

– Zrób, co zrobił Jakub.

– Kto to jest Jakub? I co uczynił? – spytał Cybula.

– Jakub to ojciec wszystkich Żydów. Kiedy wraz ze swymi żonami, swymi nałożnicami, swymi dwunastoma szczepami Jakub opuścił swego wuja Labana, w obawie że napadnie go jego brat Ezaw, rozdzielił swą rodzinę na dwie gromady, by w razie napaści choć jedna ocalała.

Ben Dosa użył tyłu obcych słów i nieznanymi zwrotów, że Cybula nie mógł się dorozumieć, o co mu chodziło. Warknął na Ben Dosę:

– Gadaj po ludzku, nie pleć jak Niemcy!

– Nie plotę. To święta mowa, w której spisana jest Tora.

– Co z tego, jak i tak nie wiem, co gadasz.

– Nie wjeżdżajmy razem – powiedział Ben Dosa. – Jeśli macie w obozie wrogów, nie pozwólcie się obaj zgładzić za jednym razem.

– Mądra rada – powiedział Nosek. – Jeśli się zgadzasz, Cybula, ja pojedę przodem z dwoma końmi, a ty pozostaniesz z tyłu. Chociaż nie wierzę, by ktoś chciał nas ukrzywdzić.

– Mamy dość czasu, by pomyśleć, co czynić.

Kiedy Cybula wypowiadał te słowa, wiedział już, co złego się stało w obozie. Pszenicy oziemej nie zasiali, lecz zjedli, więc jeśli się nie posieje na czas pszenicy jarej, nie będzie w tym roku zbiorów. Cybula postanowił nic nie mówić. Po co wypowiadać swe podejrzenia, jeżeli mogą być nieprawdziwe? Cybula chciał powiedzieć Ben Dosie, by pilnował swojego nosa, lecz pohamował się. W końcu rada Ben Dosa była dobra. Cybula pożałował, że zawierzył towarzyszom swe zmarnięcia, lecz zarazem zrobiło mu się trochę lżej na duszy. Od czasu do czasu rzucał okiem na Kosookę. Gdy byli sami, była z niej gaduła, gęba się jej nie zamykała, lecz przy Nosku trzymała język za zębami. Na Ben Dosę patrzyła z jakimś strachliwym zaciekawieniem.

Ben Dosa niósł swe narzędzia i w sakwie na plecach. Cybula kilka razy go namawiał, żeby dał ją nieść koniom, lecz Ben Dosa odrzekł, że sakwa nie jest ciężka. Cokolwiek by powiedział, o co by go nie spytać, zawsze odpowiadał słowami z jakiejś świętej księgi. Czasami Cybula mu się dziwił. Ben Dosa stracił dom, rodzinę, żył na wygnaniu w obcej krainie, nigdy nie mógł się najeść do syta, bo tak liczne dobra były mu zakazane jako nieczyste. Pomimo to twarz miał spokojną i ufną w los, a wejrzenie łagodne i żywe. Kto wie, pomyślał Cybula, może to jakiś czarodziej, a może wróży sobie z gwiazd.

Zimowa wspinaczka do góry, z Kosooką, Ben Dosą i ciężkim ładunkiem szła koniom trudno. W górę szło się o wiele dłużej niż w dół. I ludzie, i konie zostawiali za sobą tropy w śniegu, na pokusę rabusiom i zbójcom. Lecz podróżnym nie stała się żadna krzywda. Byli już blisko celu i mogli z łatwością dobić tej nocy do obozu, lecz Cybula i Nosek woleli zanoć w lesie i poczekać, aż nastanie świt.

Nazajutrz wczesnym rankiem ukazały się pierwsze oznaki, że coś jest niedobrze. Cybula wyszedł na pole i ujrzał, że nie jest ani zaorane, ani obsiane. Potem zobaczył Korę. Zdawała się czekać, jakby się spodziewała jego powrotu. Spojrzał na nią i przystanął. Skórę miała żółtą, lica zapadłe; wyglądała na zmizerowaną, wygłodzoną i dużo postarzałą. Była bosa. Krzyknęła, gdy go zobaczyła, złapała się za głowę i zaczęła wyć jak zwierzę. Cybula stał i gapił się na nią. Zanim zdołał wyrzec choć słowo, Kora klasnęła w dłonie i wrzasnęła:

– Są, wrócili! Nie oszukało mnie serce!

Zbliżała się ku Cybuli jakby w tańcu, potem zaczęła giąć się w pół i klękać, jakby złapał ją ból w brzuchu. Cybula, Nosek, Ben Dosa i Kosooka patrzyli zdumieni. Nawet konie potrząsały łbami na boki i spoglądały za siebie. Nosek i Ben Dosa skrócili im wodze. Cybula spytał Korę z drwiną w głosie:

– Co się stało? Niebo się zawaliło?

– Król Rudy postradał rozum. Wojacy znowu zrobili rzeź. Zabili twoją teściową Małą.

Zgwałcili ją i zabili.

– Zgwałcili Małą, tę staruszkę?

– Tak. Zgwałcili, a potem zadźgali. Czy po ciemku da się powiedzieć, kto młody, a kto sta-

ry? Trochę wojaków chciało opuścić obóz. Powstali przeciw Królowi Rudemu. Nie dali nam obsiać pól; zabrali pszenicę i chcieli z niej pędzić gorzałkę. Próbowali zabić Króla Rudego, lecz kneź Kulałak był mu wierny i zabił kilku z nich. Kiedy usłyszeli o tym nasi ludzie w górach, zeszli w dolinę bić się z wojakami. Jagoda i ja uciekłyśmy w las i schowałyśmy się, bo by nas też zabili. Gdybyście wy tu byli, też byłoby po was. Po ciemku nie było wiadomo, kto jest kto. Nagle przyszedł deszcz i powódzie. Potem mrozy – i już nie można było siać. W obozie zostało tylko ze dwudziestu wojaków, co ustanowili się panami i kneziami. Wzięli dla siebie całą ziemię, a my zostaliśmy ich niewolnikami. Tych niewielu Leśników, co się ostało, musi trzebić las, żeby wojacy mieli więcej ziemi. Kazali nam stawiać sobie chaty. Ktoś powiedział, że ty, kneziu Nosku, ukradłeś złoto Króla Rudego i że nie wrócicie. Jagoda płacze po całych dniach i nocach.

– Gdzie jest Jagoda? – spytał Cybula.

– Nie ma jej w obozie.

– Gdzie jest?

Kora nic nie odpowiadała.

– Co się z nią stało? Mów! – krzyknął Cybula.

Kora zaczęła rozglądać się na boki i za siebie, jakby chciała się upewnić, czy nikt nie słyszy.

Potem powiedziała cicho:

– Ukrywa się.

– Dlaczego?

– Król Rudy ją chce. Jest cięgiem pijany. Bije Łaskę po twarzy, choć jest matką jego dziecka. Krzyczy, że jak nie wrócicie, to każe uciąć jej głowę.

– Kiedy Łaska porodziła dziecko? Chłopca czy dziewczynkę? – spytał Cybula.

– Chłopca, rudego. Oczy ma jak ty, ale włosy jak Król Rudy. Z początku kiedy się dowiedział, że to chłopiec, to skakał i tańczył, rozdawał wszystkim wódkę i precele. Matka dała mu na imię Ptaszek, a Król Rudy zwie go Rudy Ptaszek. Potem zaczęły się walki i rokosz. Królowi Rudemu całkiem się od tego pomieszało we łbie. Siekł swych własnych kneziów. Kazał nałapać młodych dziewcząt i oddać mu za żony. Dniem i nocą sześciu wojaków trzyma straż przy jego domu. Kiedy sobie przypomniał o Jagodzie, chciał, żeby zajęła miejsce twojej córki. Dlatego Jagoda uciekła i ukryła się.

– Gdzie?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Gdzie ona jest? Ci ludzie to moi przyjaciele, możesz im zaufać.

– Powiem ci na ucho. Pochyl się.

Cybula zniżył głowę, a Kora poczęła syczeć i plwać, aż jego ucho było mokre od śliny. Ledwie mógł coś wyłowić z potoku słów, który wylewał się z jej ust. Powiedziała coś o skale i drzewie i dodała, że nosi Jagodzie strawę.

– Jeśli tu zostaniemy, to nas wszystkich zabiją! – warknął Nosek.

– Co winniśmy zatem zrobić? – spytał Cybula.

– Zawrócić.

– Panowie nasi, knezie, nie zostawiajcie nas – zaczęła skuczeć Kora. – Wszystkich nas wybijają. Całkiem poszaleli. Jagoda jest chora, nic nie mówi, nic nie je. Co tylko włożę jej do ust kęs strawy, zaraz wypluje. Cały dzień pyta: „Gdzie on jest? Gdzie on jest?” Cięży na nas klątwa, straszliwa klątwa. Nasi Leśnicy też poszaleli. Spadł na nas gniew bogów! Tego roku nie złożyliśmy Babie Jadze ofiary, to jest jej pomsta. Niektórzy mówią, że przyjdą nowi wojacy i nas wszystkich wyrzną. Nie ma już mężczyzn ku obronie. Ci w górach widzą w nas wrogów, a nawet wzajem się zabijają. Tak mało nas zostało.

– Przywieźliśmy nasiona – powiedział Cybula.

Ben Dosa, który do tej pory stał w milczeniu, teraz przemówił:

– Mogę coś powiedzieć, knezie? – zapytał.

– Tak, możesz mówić – odpowiedział Cybula.

– Czcigodni knezie, wyście moi panowie, a ja wasz niewolnik, lecz przynależę do narodu, który nie przyzwala na niewolenie swych ludzi. Nawet jeżeli ktoś z nas jest sprzedany w niewolę,

musi zostać oswobodzony, kiedy odsłuży sześć lat. Jesteśmy niewolnikami Boga, a nie niewolnikami innych niewolników. Słyszałem i pojąłem, co tu powiedziano, i chciałbym udzielić wam rady.

– Jaka jest twa rada? Mów krótko! – przerwał mu Cybula.

– Moi panowie, ani wy, ani ja, ani konie nie mamy siły, aby odbyć długą podróż z powrotem do Miasta. Umknęliśmy wielu niebezpieczeństwom, co dowodzi, że Bóg Wszechmogący chce, byśmy żyli, nie umierali.

– Jaka jest twa rada? Mów krótko! – powtórzył Cybula.

– Moja rada jest, aby jeden z was poszedł do króla i rzekł mu, że przybyliśmy z nasionami, końmi, podarkami i że nikt nie ograbił go z jego złota. Proponuję, abys ty, panie Nosek, przemówił do króla, bowiem najlepiej władasz jego mową. Ja mogę towarzyszyć panu Noskowi jako jego sługa. Jeśli król wpadnie we wściekłość, jeden z nas przybiegnie cię o tym powiadomić, panie Cybula. Jeżeli żaden z nas nie powróci, będziesz wiedział, że musisz uciekać. Lecz wiem, że nie stanie nam się krzywda.

– Skąd wiesz? – zapytał Cybula.

– Powiedziane jest w Misznie, że kiedy jeden z naszych wielkich panów modlił się i słowa gładko płynęły mu z ust, wiedział, że jego modlitwy były w niebie przyjmowane. Modliłem się do Boga za nas wszystkich w czasie podróży. Ponieważ słowa gładko i wartko płynęły z mych ust, wiem, że wasz król przyjmie nas przychylnie.

– Co o tym myślisz, Nosek? – zapytał Cybula.

– Może ma rację – odparł Nosek, lecz dodał: – Jeżeli Król Rudy naprawdę oszalał, diabeł wie, co go zadowoli!

– Jeżeli boisz się iść do niego, z chęcią zajmę twoje miejsce – powiedział Cybula. – Moja córka jest jego żoną i nie wierzę, by skrzywdził swego teścia.

– Nie idź do niego, Cybula! – wrzasnęła Kora. – Próbował zabić twoją córkę, nawet gdy była dziewiąty miesiąc brzemienna. Jest zawsze pijany i drze się tak głośno, że jego głos niesie się po całym obozie! Ma dom pełen kobiet, lecz przychodzi do nich tylko, by je przeklinać i lżyć. Nocą słyszeć, jak wyje, chrząka i smaga batem na gołą skórę. Twoja córka...

– Dosyć! – krzyknął Cybula. – Nie chcę więcej słyszeć! Gdzie jest Jagoda?

– Chcesz, bym cię do niej zabrała?

– Tak. Jeśli mamy umrzeć, to razem – powiedział Cybula.

– Chcesz iść teraz? – zapytała Kora.

– Wkrótce.

– Bogu mój! Mężu mój! Zięciu, ojczy, panie, odkupicielu! – Kora znów łkała. – Myślałam, że kruki wydziobały twoje słodkie oczy, a tu nagle... – Potykała się i kolebała, gdy tak jęczała. Lecz oto usłyszeli wielki zgiewek i zaraz pojęli, że już się nie da posłać Noska przodem do Króla Rudogo. Sprawa nie leżała już w ich rękach.

2

Widać ktoś musiał dostrzec przybyłych i pobiec z wieścią do obozu. Słyszeć było głośne krzyki i wołania i zewsząd zbiegały się tłumy ludzi. Kobiety płakały, dzieci krzyczały, starcy potrząsali laskami i machali rękami. Przybył Król Rudy ze świtą kneziów i wojaków. Miał na sobie długi żupan, czapkę z lisa z kitami dyndającymi po obu stronach twarzy, a do obu bioder przypasał miecze. W prawej dłoni dzierzył sztylet. Chyba się postarzał przez te miesiące, a rudą brodę miał przetykaną siwizną. Pośród kneziów Cybula rozpoznał tylko Kułaka. Kiedy tylko Król Rudy zobaczył Noska i Cybulę – zanim zdążyli klęknąć i pozdrowić go – jął wywijać sztyletem i drzeć się. Głos mu się zmienił; był teraz chrapliwy, czasem piskliwy. Nos mu się zrobił dziwnie czerwony i podszedł niebieskimi żyłkami. Trudno było pojąć, co Król Rudy mówi, gdy tak miotał przekleń-

stwa i groźby, wymachując dziko rękami. Nosek skłonił głowę w oczekiwaniu, aż królewski gniew zelżeje, po czym przemówił silnym i dobitnym głosem:

– Królu nasz, przebacz nam, żeśmy zabawili dłużej, niżes nam nakazał. Podróż była mozolna i w tę, i w tamtą stronę. Wiele z przedmiotów, które pragnęliśmy dla ciebie zakupić, nie zostało na czas przygotowane, więc musieliśmy czekać po kilka dni, a nawet tygodni. Nareszcie jednak pokonaliśmy wszelkie zawady i oto jesteśmy, gotowi znów wiernie ci służyć.

Przemowę tę na pewno zawnazsu przygotował. Król Rudy wlepił w niego parę przekrwionych oczu spod zmierzwionych rudych brwi.

– Gdzie byliście? Byłem pewien, że was pożarły wilki albo żeście się schowali w jakiej jaskini z innymi buntownikami. A to kto? – Król Rudy wskazał czubkiem miecza na Cybulę.

– Królu mój, nie rozpoznajesz go? To kneź Cybula – odpowiedział Nosek. – To ten, co zawarł z tobą pokój i zszedł z gór z Leśnikami.

– Cybula, co? A ten ciemny z workiem na plecach to kto, więzień?

– To nie więzień, królu, lecz szewc, co szyje ludziom buty. Jest też futrzarzem i umie różne inne rzeczy. Kneź Cybula sprowadził go tutaj, by pracował dla ciebie.

– Z czego robisz buty, ze śniegu? – zapytał król Rudy i zaśmiał się ze swego dowcipu.

Z jego gardła wyszedł ryk i rzenie, które nie przypominały człowieczego głosu. Kułak, znany w obozie z naśladowania swego pana, powtarzania po nim jak papuga, małpowania jego dziwactw, zaraz zaczął ryczeć głosem, który wychodził mu z olbrzymiego brzucha i brzmiał jak czkawka jakiegoś wielkoluda.

Ben Dosa podszedł ku Królowi Rudemu, trzymając siwka za uzdę, skłonił się nisko i powiedział:

– Pozwól mi, królu, złożyć ci pozdrowienie. Kiedy znajdziemy się przed obliczem króla, mówimy: „Bogu niech będą dzięki, że częśćkę swej chwały spuścił na stworzenie z krwi i kości”. To prawda, królu, że moje tułactwo zawiodło mnie do Miasta, gdzie zostałem szewcem, lecz w moim domu, w mieście Sura w ziemi babilońskiej, byłem kupcem. Żli ludzie uprowadzili mnie, przewieźli przez wielkie morze do dalekich krajów i sprzedali w niewolę. Twoi knezie, pan Cybula i pan Nosek, byli dla mnie dobrzy. Dla nich nie jestem więźniem, lecz przyjacielem.

– Hę? Butów nam potrzeba – Król Rudy mówił i do Ben Dosa, i do innych. – Ale buty robi się ze skóry, a skórę zdejmuje się ze zwierza, a zwierza trzeba zabić, nim się go obedrze ze skóry. Prawda, Kułak?

– Tak, mój królu, prawda – zagrzmał Kułak.

– Lecz zostało nas mało mężczyzn, a kobiety nie umieją polować ni strzelać – ciągnął Król Rudy. – My, Polacy, przywieźliśmy w te strony nasiona i pługi. Chcieliśmy dać Leśnikom najlepsze owoce ziemi. Lecz ci, którym chcieliśmy pomóc, wojowali z nami, przelali naszą krew i krew niewinnych kobiet i dzieci, narobili tyle zamętu, że tej jesieni nie mogliśmy obsiać pól.

– Mój królu, przywieźliśmy ze sobą nasiona pszenicy, kukurydzy, jęczmienia i owsa – powiedział Cybula. – Możemy je zasiać wczesną wiosną i jeżeli będą dobre zbiory, nie wszystko jeszcze stracone.

– Nie, niestracone. Jak się zwiesz?

– Cybula.

– To ty, ojciec Łaski?

– Tak, mój królu.

– Co się ze mną dzieje? – Król Rudy uderzył się w czoło. – Przyszły tu na nas takie dopusty, że nie poznałbym swego własnego ojca. Tyś jest mój ojciec! Dlaczego tak tam stoisz jak ktoś obcy? Chodź tutaj, niech cię ucałuję, teściu. Twoja córka porodziła mi syna, Rudy Ptaszek jest twoim wnukiem. Przebacz, żeś taki pomieszany. Takie tu mieliśmy nieszczęścia; to cud, że jeszcze żyję. Moi własni bracia zdradzili mnie i zostali mymi zaprzysięgłymi wrogami. Próbowali podpalić mi dom i spalić mnie żywcem. Gdyby nie wierny i oddany przyjaciel Kułak, już dawno zstąpiłbym w czeluści ziemi. Z tego wszystkiego pokręciło mi się w głowie. Kiedy mijały tygodnie i miesiące, a ty, Cybula, nie wracałeś, żli ludzie zasiali we mnie podejrzenie, że ty i mój stary przyjaciel Nosek przyłączyliście się do buntowników. Czynili nawet pomówienia przeciw twej córce i gotów byłem

ją posłać tam, gdzie posłałem innych, do diabła, któremu śmierć jest chlebem, a krew winem. Ale zaraz, kto jest ten ciemny człowieczek?

– Zwie się Ben Dosa – odpowiedział Cybula.

– Jak dziwnie! Bracia i siostry, nastał nam radosny dzień. Patrzcie, jakie piękne konie nam przywieźli knezie. Są pośród nas wojacy, którzy chcą wynieść się ponad innych, wejść między pany, zabrać całą ziemię dla siebie. Lecz ja, Król Rudy, nie zezwolę na to. Ziemia należy do bogów, nie do ludzi! Prawda, Kułak?

– Prawda, mój królu.

– Mój ojciec nie był panem, lecz biednym oraczem – ciągnął Król Rudy. – Służyliśmy ziemianinowi, kneziowi, panu – diabeł wie, kto on był. A jak się opił gorzałki, kazał swym ludziom spuścić mojemu ojcu spodnie i wychłostać go. Gdy to ujrzałem, podniosłem ciężki kamień i roztrzaskałem mu łeb. I oto dlaczego wszedłem na drogę grabieży i łupiestwa. Cóż innego mógł począć biedny oracz? Zostawiłem za sobą matkę, braci, siostry.

Zostałem człowiekiem dzikim, rozbójnikiem. Lecz nigdy nie zapomniałem, skąd pochodzę. Kto jest ta dziewczyna o sterczących licach i skośnych oczach? Córka szewca?

– Nie, królu. To nie jest jego córka. Ona jest twoja.

– Przyrowadź ją do mnie, Nosek. Przyrowadź ją do mojego domu. Ej tam, szewcze! Zrób jej parę butów. Ty, Kułak, daj mu chatę, gdzie będzie mieszkał i pracował.

3

Nosek i Kułak zajęli się końmi, workami nasion, ładunkiem, który konie dźwigały na grzbietach. W obozie było kilku nowych kneziów, dawnych wojaków, którymi Król Rudy zastąpił tych, co zostali ścięci albo uciekli. Pałac, który sobie umyślił wiele miesięcy wcześniej, dalej nie był postawiony. W jego domu przybyła jedna izba – dla Łaski i dla innych jego żon i nałożnic. Choć Cybula bardzo pragnął zobaczyć swą córkę i nowo narodzonego wnuka, odłożył to na później. Najpierw musi zobaczyć się z Jagodą. Nosek przywiózł pełen worek czerstwych bochnów chleba i bułek i rozdawał je między głodnych Leśników – kobiety, dzieci i kilku starców. Pośród zamieszania i rozpychania się o kawałki chleba Cybula wziął sakwę z podarkami dla Jagody i wyruszył z Korą w drogę.

Powiodła go na powrót do lasu, skąd właśnie przyszli. Przez całą drogę do kryjówki Jagody Kora mówiła o nieszczęściach, jakie spadły na obóz, kiedy Cybuli nie było.

– Drogi Cybula – powiedziała – panie, obrońco, to już nie ten sam obóz! Znieśliśmy tyle niedoli i dopustów! Dopóki obcy napadali na obóz i rozlewali naszą krew, wiedzieliśmy, że wróg jest wróg. Lecz kiedy napadli na nas nasi, Leśnicy – nie pozostało nam nic prócz śmierci. Polacy zwarli szyki przeciw nam; chcieli nas wszystkich powyrzynać, wykopać jedną wielką mogiłę i nas zakopać. Ale bogowie ukrócili ich zamysły. Wielu z nas zmarło od strachu, głodu, choroby. Król Rudy, nasz wielki obrońca, całkiem postradał rozum. Dziś nawet do rzeczy gadał, lecz zwykle tylko bredzi i bluźni. Pośród tych wszystkich nieszczęść przypominał sobie Jagodę i teraz jej też chce.

– Gdzie ona jest?

– Tu, w lesie. Znalazłam stary dąb, nie ten, który jest bogiem, lecz inny. Wydrążył go piorun. Jagoda przyszła do mnie z płaczem i błaganiem: „Matko, ja nie chcę być innego jak tylko Cybuli. Jeżeli umarł, chcę być z nim, w czeluściach ziemi”. Przynoszę jej strawę, a ona zastawia wnyki i łapie, co może. Jest mała, lecz zręczna i silna. Drapie się po drzewach jak wiewiórka. Może Król Rudy już o niej zapomniał, stary kozioł, lecz każdej chwili może sobie przypomnieć. Och, Cybula, mój umiłowany, co z nami będzie?

– Nie skończy się dobrze – powiedział Cybula.

– Dlaczego tak mówisz?

– Nie mamy mężczyzn. Każdego dnia może nadejść nowy wróg.
– To co winniśmy zrobić?
– Winniśmy się sposobić na śmierć.
– Mój własny żywot nic dla mnie nie znaczy. Dosyć się już nażyłam – aż za dużo. Lecz ciebie i Jagody mi żal. Jest taka młoda, nie porodziła jeszcze nawet dziecka. Może dałbyś jej dziecko?
– Po co? Ronię nasienie na jej biodro.
– Dlaczego to czynisz? Grzeszysz wobec bogów!
– Czynię to, bo zapadł na nas wyrok. Pojąłem to zaraz po pierwszej kaźni.
– Potrafisz wszystko przepowiedzieć na długo, nim się zdarzy. Lecz młoda dziewczyna jest jak drzewo, które chce zrodzić owoce i nie wie, że nazajutrz może zostać ścięte lub zwalone przez wichurę. Chciałabym mieć dziecko z twojego nasienia, Cybula. Jestem zbyt stara, aby mieć dzieci, lecz umiem kochać mocniej niż młoda kobieta. Nawet Jagoda nie kocha ciebie tyle co ja. Lecz wiem, że mężczyźni pożądają młodszych kobiet.
– Jesteś zazdrosna o swoją własną córkę? – zapytał Cybula.
– Dopóki mamy cię obie, jestem zadowolona.
– Gdzie jest dąb? – zapytał Cybula.
– Zaraz tam będziemy. Daj, poniosę ci torbę, twoje ramię musi być wolne, by powitać Jagodę.

Cybula dał torbę Korze. Stali i patrzyli na siebie w milczeniu, które przychodzi z wielkiej chuci. Kora zapytała:

– Znalazłeś sobie inne na nasze miejsce, co?

Cybula w końcu odpowiedział:

– Dziewczynę, która warzyła strawę w gospodzie.

– Była lepsza od nas? – zapytała Kora.

– Nikt nie może być lepszy. Nie mów twojej córce.

– Była młoda?

– Młodsza od ciebie, lecz starsza od Jagody.

– My dochowałyśmy ci wiary. Uganiali się za mną wojacy, lecz im uciekałam. Nie wiedziałam, że mogę tak szybko biegać. Jeden wojak cisnął we mnie włócznią i chybił o włos. Rzucili się na mnie nasi dawni sąsiedzi, lecz im uszłam. – Kora z nagłą zmieniła ton. – Ile nam jeszcze życia zostało?

– Niedużo.

– To co mamy robić?

– Służyć Śmierci, bogu śmierci.

– Jak mu służyć?

– Czerpać obficie ze źródła życia – powiedział Cybula, zaskoczony swymi własnymi słowami. Myśl taka nigdy wcześniej nie przyszła mu do głowy. To tak, jakby jego ustami przemówił niewidzialny duch. Kora pochylila się, by ucałować jego stopy.

– Nie jesteś człowiekiem, jesteś bogiem.

– Nie, Kora, tylko człowiekiem.

– Nie, jesteś bogiem. Chcę, żebyś mnie zabił.

– Dlaczego, Kora?

– Chcę złożyć ci z siebie ofiarę.

– Nie, Kora, teraz cię potrzebuję.

– Kiedy to uczynisz?

– Jak otoczą nas wrogowie.

– Wtedy będzie za późno.

– Nie, Kora. Nie będzie za późno.

– Przyjmiesz moją ofiarę?

– Tak, Kora.

– Mojej córki także?

– Tak.

– Mnie zabij pierwszą. Przrzeknij mi, że tak uczynisz. Naznacz mnie twoim ostrym nożem.

– Później.

– Nie, teraz. – Kora padła przed nim na kolana. Torba Cybuli wypadła jej z dłoni. Cybula podniósł ją i wyjął nóż kupiony w Mieście. Ręce mu drżały i słyszał, jak mu zęby szczękają.

– Gdzie uczynić znamię? – zapytał.

A Kora odpowiedziała:

– Na lewej piersi.

Nauczyciel Ben Dosa

1

Ponieważ Król Rudy albo był pijany, albo było mu niedobrze, władza przypadła kilku kneziom, a najwięcej Kułakowi, który stał na czele wiernych królowi wojaków. Kułak miał zwierzchność nad wojakami, którzy dniem i nocą pilnowali domu Króla Rudego, zmieniając co pewien czas strażę. Trzymał też pieczę nad bronią, chociaż rzadko walczył zbrojny. Kiedy chciał kogoś zabić, wystarczyły mu nagie pięści, albo też ciskał się na ofiarę swym potężnym ciałem i miażdżył ją lub dusił.

Inny kneź, Czapek (albo Piesek, jak go przezwali w obozie, bo przypominał buldoga), był dozorcą pól, więc stał tylko szczebel niżej od Króla Rudego. Nim dołączył do drużyny, służył panu osiadłemu nad Wieprzem, gdzie miał pieczę nad polami, spichlerzami, końmi i dziećmi. Kneź Czapek był krągły jak beczka. Twarz miał szeroką, oczy daleko od siebie, a nos płaski z wielkimi nozdrzami. Na swych krótkich nogach nie chodził, a truchtał. Był wśród kneziów najstarszy i zwał ich szczeniętami. Czapek kazał starcom i kobietom Leśników postawić stodołę i trzymał tam każde ziarno zboża, które się ostało od żniw. Często sam siedział w drzwiach na straży, żeby zgłodniaли ludzie nie wykradali pszenicy, a żaden pijany wojak nie brał jęczmienia, aby uwarzyć piwa. Chodziły słuchy, że Czapek postawił się nawet Królowi Rudemu, kiedy ten kazał spożytkować zboże ku uśmierzeniu pragnienia wojaków. Choć Czapek był mały i niezgrabny, wszyscy wiedzieli, że walczyć umie jak rzadko kto. W czas wojaczki kosił głowy dwoma mieczami, po jednym w każdej ręce. Również staraniem Czapka kobiety Leśników wycięły zimą drzewa pod nowe uprawy.

Kneź Nosek miał pieczę nad wszystkim, co wymagało pomyślunku, umiejętności rachowania czy patrzenia w przyszłość. Wybudował zegar słoneczny, który podawał mu czas podług cieni rzucanych przez słupek na tarczę. Pospolicie znane były wybitne zdolności Noska do mierzenia, ważenia, przydzielania zapasów i skór tak, aby nikomu nie zbrakło. Został też obozowym sędzią. Ludzie często mawiali, że Nosek ma zawsze trzeźwą głowę, bo nie ciągnie go do kobiet, a w obozie nie ma młodzieńców, w których miałby upodobanie.

Kneź Cybula wziął na siebie część brzemienia obowiązków Noska oraz pośredniczył między Królem Rudym a Leśnikami. To Cybula był rzecznikiem Leśników i przynosił przed oblicze Króla Rudego ich skargi. Cybula nie był już jedynym łowcą w obozie. Aby przeżyć do zasiewów wiosną i zbiorów końcem lata, potrzeba było mięsa. W zastawiane przez starych ludzi sidła ledwo co się łapało.

Bogowie byli tej zimy litościwi. Śniegi i mrozy nie były tak harde jak zeszłego roku. Często wychodziło słońce, a mróz puszczał. Zwierz w lasach szybko się mnożył. Nie było dnia, żeby Cybula nie ustrzelił choć jednego jelenia lub sarny, a na ogół przynosił kilka sztuk. Nawet wojacy, z których łowcy byli nieudacznymi, ubili coś nieraz włóczniami. Leśników w górach było coraz mniej, aż pozostała ich ledwie garstka. Toteż o strachu, że mogą spaść na obóz i wszystkich pozabijać, trochę zapomniano, przynajmniej do lata. Liczne historie, które Cybula opowiadał o Mieście, jakby zbudziły Leśników z głębokiego snu. Obóz natchnęła nowa nadzieja. Ludzie obejrzeni konie, piękne siodła, uzdy i wodze, które Nosek i Cybula przywieźli z Miasta, a także miedziaki, cynowe noże

i łyżki, młotki, piły i inne narzędzia. W stodole Czapka ujrzeli drewniane radła, kosy, sierpy, motyki, łopaty, a nawet pług z żelaznym lemieszem. Nosek powiedział im, że jak się skończy zima, lód rozmarznie, a błoto wyschnie, przyjedzie zbudowana w mieście bryka, wielki powóz pełen narzędzi do robienia stołów, ław, krzeseł i innych sprzętów. Opowiedział o wrzecionach do nawijania lnu i o maszynach do tkania płócien z wełny i lnu. Od samego słuchania o Mieście radowały się serca. Jeżeli mogło wyrosnąć tak blisko nich, mimo iż o tym nie wiedzieli to dlaczego by nie tutaj?

Chociaż Cybula opisał trudy życia w Mieście – tłoczne ulice, brud i smród, hałas i śmieci – jego słowa nie zdołały zgasić pragnienia ludzi, by samym to wszystko zobaczyć. Każdego dnia chcieli, by Czapek otwierał wrota stodoly i pokazywał przywiezione przez kneziów skarby. Równą ciekawość co skarby budził w obozie smągłokóry szewc, Ben Dosa. Mieszkał w dalekich krajach i widział miasta jeszcze większe niż Miasto. Ciągłe go o coś pytali. Skąd jest? Kim są jego rodzice? Jak się nauczył dziwnej mowy Niemców, ludzi z wybrzeża? Ben Dosa z chęcią im o wszystkim opowiadał. Jego rodzice to Żydzi, którym Bóg dał Torę na Górze Synaj, a potem wypędził za grzechy. Gotów był przyzwolić im, by powrócili, zesłać im Mesjasza, przywieść ich do Jerozolimy, aby odbudowali świątynię. Chociaż Ben Dosa mówił takie dziwne słowa, przyjemnie go było słuchać. Głaskał dzieci po głowach, życzył ich matkom szczęścia i zdrowia. Cięgiem się upierał, że jest tylko jeden Bóg, który w pięć dni stworzył cały świat: słońce, księżyc i gwiazdy, góry, rzeki, ryby, muchy i robaki. Po czym w dzień szósty Bóg stworzył człowieka i dał mu największy ze wszystkich dar – wolność wyboru między dobrym a złym. Ben Dosa pracował i mówił. Słuchać go było dniem i nocą. Jego palce poruszały się zręcznie i szybko. Z jego ust – na poły schowanych za czarnym wąsem – wylewały się słowa, które dziwiły i kołły, podniecały wyobraźnię, rozbudzały umysł.

Nawet ludzie tej miary co Cybula, Nosek i Czapek przychodzili zamówić buty i pogawędzić z szewcem, który miał w sobie tyle mądrości. Cybula przyprowadził do Ben Dosa, który teraz pracował w małej chatynce, swoją córką Łaskę, swoją żonę Jagodę i jej matkę Korę. Pewnego dnia Król Rudy kazał szewcu przyjść do swego nowego domu i uszyć buty dla siebie i dla swych żon. Kiedy Ben Dosa zdejmował miarę, Król Rudy wypytywał go o jego kraj, jego rodzinę, jego Boga. Zapytał:

– Jesteś człowiekiem czy bogiem?

– Człowiekiem, mój królu – z krwi i kości. Jest tylko jeden Bóg, a wszyscy ludzie są jego dziećmi.

– Gdzie są inni bogowie? – zapytał Król Rudy.

– Nie ma innych bogów – powiedział Ben Dosa.

– A Baba Jaga?

– Nie ma Baby Jagi.

– Czy leciałeś wysoko nad górami i sam widziałeś?

– Nie, tego nauczyli nas nasi prorocy.

– Gdzie są prorocy?

– Już nie żyją. Nasze pokolenie niegodne mieć proroków.

– Skąd to wszystko słyszałeś?

– Z Tory.

– Co to jest?

– Słowa Boga spisane na pergaminie.

– Co to pergamin?

– Robi się go ze skóry zwierząt.

– Łgarstwa mówisz, to wszystko są bajdy. Lecz jak mi zrobisz dobrą parę butów, dam ci chleba.

– Dzięki ci, królu.

– Możesz sobie także znaleźć tutaj żonę.

– Dzięki ci, królu, lecz ja mam już żonę.

– Gdzie?

– W Babilonie, w mieście Sura.

– Gdzie jest Babilon?

- Daleko na wschodzie, za morzem.
- A tyś taki dosiężny, że posiądziesz kobietę nawet przez morze? – Król Rudy mrugnął okiem i zaniósł się gromkim rechotem.

2

Ben Dosa uzyskał od Noska i Cybuli przyzwolenie, by uczył dzieci czytania i pisania. Założył w swej chacie cheder. Z drewnianych bali zrobił kilka długich stołów i przytwierdził do nich wąskie ławy. Dzieci chętnie do niego przychodziły. Przychodziły też matki, jeżeli tylko nie były potrzebne w lasach. Cybula i Nosek pragnęli nauczyć się sztuki pisania i czytania, więc oni także zostali uczniami Ben Dosa. Najpierw nauczył dzieci modlitwy w świętej mowie: „Dzięki Ci, żywy i wieczny Boże, żeś w łaskowości swojej powrócił mą duszę ku mnie”. Ben Dosa przykazał dzieciom, by najpierw wyszły na dwór i umyły ręczeta w śniegu. Później powoli i wyraźnie wymawiał te nieznane słowa, a dzieci powtarzały za nim. Później przełożył je na polską mowę Leśników. Powiedział, że dusza to jest taki mały duszek w środku każdego z nas. Dzieci pytały: „Gdzie mieszka dusza? W nosie? W głowie? W brzuchu? Jak wygląda?”. Ben Dosa wyjaśnił, że duszy nie widać, bo nie ma kształtu ni barwy, lecz że jest mocą, która daje człowiekowi żywot. Nawet kiedy dusza odchodzi w czas snu, to zostawia za sobą coś, co się zwie nefesz, a ten nefesz istnieje nie tylko w ludziach, lecz i w zwierzętach.

Chwilę potem Ben Dosa przyniósł tablicę z wypisanymi literami alfabetu. Dotykał każdej litery patykiem i wymawiał jej imię: alef, bet, gimel, dalet, he, waw, zajin... i tak dalej, aż po taw. Zawiesił tablicę na gwoździu na ścianie i kazał dorosłym i dzieciom, by nazywali litery i pokazywali, która jest która. Cybula próbował zapamiętać każdą literę, lecz wszystkie wyglądały dla niego tak samo. Nigdy ich nie rozróżnił, pomyślał, choćbym je po tysiakkroć obejrzał. Spozstrzegł wszakże zdziwiony, że kilkoro dzieci nazywało i pokazywało litery tak, jak należy. Cybula był dumny, że to on przywiódł tego człowieka do obozu, lecz smuciło go, że dzieci szybciej przyswajają sobie jego nauki. No, ale co młoda głowa, to młoda głowa, pocieszał się Cybula. Dziecko jest jak owoc świeżo zerwany z drzewa, albo jak rzodkiew dopiero co wykopana z ziemi. Później napłynęły mu do głowy różne myśli, zmartwienia, pragnienia. Czy to nie dziwne: Nosek nie jest młody, a bez trudu nazywa wszystkie litery i wie, która jest która. Cybula spojrział na niego z podziwem. Nosek uśmiechnął się, skinął głową, mrugnął okiem. Ben Dosa dzierżył w palcach kawałek kredy i szybkimi ruchami rysował litery na płachcie kory dębowej. Tak ustawiał litery, by tworzyły słowa w jego własnej mowie, a także w mowie Polaków i Leśników. Pisał od prawej do lewej imiona Króla Rudego, Cybuli, Noska, Kory, Jagody, dodał też swe własne imię.

Na koniec Ben Dosa wypuścił dzieci i kazał im biec do domu, albo pobawić się na dworze. Do dorosłych, którzy pozostali, Ben Dosa powiedział:

– To ważne znać te litery. Za pomocą tych liter Bóg stworzył niebo i ziemię.

Cybula chciał spytać: „I jakże Bóg to zrobił – kawałkiem kredy?”, lecz się wstydził.

Nosek zapytał:

– O jakim mówisz bogu? O bogu twojego kraju?

– Bóg jest Bogiem wszystkich krajów, wszystkich słów – odpowiedział Ben Dosa. – Bez Jego słowa na świecie byłaby tylko pomroka i pustkowie.

– Pomrokę przynosi nasza Baba Jaga, jak się na nas zezłości – zawołał któryś stary Leśnik.

– Baba Jaga nie może przynieść światłości ni mroku – odpowiedział Ben Dosa. – Bóg prawdziwy jest Bogiem wszystkich ludzi – waszym, moim. Fałszywi bogowie są głusi i ślepi. Mają oczy, co nie widzą, uszy, co nie słyszą. Mają nogi, a nie biegają.

– A twój bóg umie biegać? – zapytał inny Leśnik.

Ben Dosa rozważył to zapytanie.

– On nie potrzebuje biegać. On jest wszędzie. Cały świat jest Go pełen.

Kiedy Cybula znalazł się znów na dworze, poczuł oszołomienie. Kręciło mu się w głowie. Czuł, że dla niego i dla wszystkich w obozie zaczął się nowy czas. Spojrzał na dzieci. Jedno podniosło patyk i wypisało w śniegu literę podobną do tej, którą Ben Dosa narysował kredą. Cybula zapytał:

– Co to jest?

A dziecko odparło:

– Alef.

Nosek wziął od dziecka patyk i pociągnął w śniegu inną literę.

– Co to jest? – zapytał Cybula.

A Nosek odparł:

– Bet.

Muszę się tego wszystkiego nauczyć, nawet jeśli mam to przypłacić życiem, postanowił Cybula. Powrócił do chaty Ben Dosa i poprosił, by mu jeszcze raz wygłosił alfabet, od początku. Razem ślęczeli nad literami i Cybula nauczył się je nazywać, a w końcu rozpoznawać. Tylko kilka liter dalej mu się mieszało. Nun wyglądało mu jak gimel, a dalet jak resz. Ben Dosa pokazał mu, czym się te pary różnią, a potem powiedział:

– Litery są jak twarze. Z daleka mogą wyglądać podobnie, lecz jak im się przyjrzeć bliżej, widać, że każda jest inna.

Dał Cybuli kredę i kazał mu przepisać litery z tablicy alefbet. Gdy Cybula wziął kredę w palce, dłoń poczęła mu drżeć, dech mu zapało, lecz w końcu przepisał jak trzeba wszystkie dwadzieścia dwie litery. Choć w chacie był chłód, jemu było ciepło. Niekiedy przed oczyma wirowały mu plamy. Czuł, jakby obóz zamienił się w miasto, a on został uczonym człowiekiem. Objął Ben Dosa i ucałował w czoło. Powiedział:

– Gdybym był królem, mianowałbym cię zwierzchnim kneziem. Prawda jest taka, że to ty winienesz być naszym królem.

– Nie chcę być królem – odpowiedział Ben Dosa. – Król żyje i umiera, a Bóg żyje wiecznie i wieczna jest Jego łaskawość. Powiedzione jest: „Dobry jest Bóg dla swych stworzeń, a Jego łaskawość spada na Jego dzieło”.

Cybula pomyślał chwilę i powiedział:

– Jakże to może być? Przecież my zabijamy i zjadamy jego stworzenia. Wilk pożera owce. My, ludzie, zabijamy wilka. Bóg nie zawsze jest dobry dla swych stworzeń.

– Jest dla nich dobry – powiedział Ben Dosa – tylko my, ludzie, nie zawsze pojmujemy dobroć Bożą.

– Czemu twój bóg przyzwala, by dzieci chorowały i marły? Czemu przyzwolił, by wojacy napadli i zgładzili nasz lud?

– Bóg nie musi wyjawiać nam swych tajemnic.

– Muszę już iść. Powrócę jutro z moją córką Królową Łaską, z moją żoną Jagodą, jej matką Korą i innymi, które chcą nauczyć się czytania i pisania.

– Tak, kneziu. Przyjdźcie, wszyscy przyjdźcie.

– Tymczasem przyślę ci jakiejś strawy. Czemu nie jadasz z nami, gdy powracamy z łowów?

– Tego uczynić nie mogę, kneziu – powiedział Ben Dosa po chwili wahania.

– Dlaczego? Jesteś teraz jednym z nas.

– Nie wolno mi jeść mięsa nieczystego zwierzęcia.

– Które zwierzęta są nieczyste?

– Nie wolno nam jeść świń.

– Dlaczego? Jeżeli umyjesz mięso świni, będzie tak czyste jak mięso owcy.

Ben Dosa chciał powiedzieć Cybuli, że za czyste uchodzą tylko zwierzęta, które żują pokarm i mają rozdwojone kopyta, lecz nie mógł znaleźć właściwych słów w polskiej mowie. Powiedział:

– Ty, kneziu, możesz. Lecz ja nie mogę.

– Dlaczegoż to? – zapytał znowu Cybula.

– Ponieważ jestem synem ludu Izraela. Bóg dał nam Torę na górze Synaj, dał ją też innym narodom, synom Ezawa i Izmaela, lecz one jej nie przyjęły. Ale ludzie jak ty, potomkowie Noego, muszą być posłuszni siedmiu z Bożych przykazań.

– Jakich przykazań? – zapytał Cybula.

Ben Dosa odpowiedział:

– Nie wolno ci spać ze swą matką, siostrą, córką.

Cybula milczał.

3

Łaska mieszkała z dzieckiem w izbie, gdzie częstokroć rojno było od kobiet, które nawiedzały Króla Rudego. Kiedy Cybula przebrnął nareszcie przez strażę przed domem króla, rad, że spędzi kilka chwil samowtór ze swą córką, Łaska zawołała do niego:

– Wybaw mnie, ojcze. Wpadłam w ręce obłąkańca!

W izbie woniało dymem, potem, gnijącym jadem i odchodami. Skóry, na których Łaska leżała ze swym nowo narodzonym synem, cuchnęły. Z sąsiedniej izby, gdzie mieszkał Król Rudy, dochodziły hałasy niczym chrząkania zwierza. Łaska powiedziała ojcu, że jej mąż nie wychodzi już na dwór za potrzebą, bo obawia się, że zdybia go nieprzyjaciele. Król Rudy kazał kneziowi Kułakowi spać koło siebie, by go chronił przed napaścią znieca.

Syn Łaski, Ptaszek, ciężkim płakał. Łaska pchała pierś w jego usteczka, lecz Cybula pokazał jej, że chłopiec więcej wypłuka, niż łyka. Cybula pamiętał, jak dobrze chowała dzieci jego była żona Jasna. Nigdy dawniej nie zaznał tego bólu i beznamiętności, które poczuł teraz, gdy nawiedził Łaskę, swą jedyną córkę.

Jagoda przyzwyczała się do swej kryjówki w dębie i nie chciała wracać do obozu. Kobiety drwią tam z niej, bo wiedzą, że Cybula jest mężem i jej, i jej matki. Zwa ją głupią, nieobsianym polem, i dziwiają się, czemu nie poczęła, kiedy latało za nią tylu mężczyzn, co psów za suką. Tylko w dziupli dębu znajdowała Jagoda spokój.

Niekiedy leżała godzinami, przykryta skórą, i o niczym nie myślała. Słuchała wiatru, krakania wron, świergotu ptaków, które dla jakiejś przyczyny nie odleciały tej zimy do ciepłych krajów. Gdy tak leżała w mroku, wyobrażała sobie, że słyszy, jak korzenie dębu wsysają soki, od których wykwitną liście, pąki, kwiaty. Pod śniegiem szemrały strumyczki. W gęstwie gnilnego listowia i mchu roilo się od maleńkich stworzeń, które, jak Jagoda, cicho i tęsknie wyczekiwały wiosny. Czekanie na Cybulę nigdy się Jagodzie nie sprzykrzyło.

Dziupla w dębie była wąska, nawet dla Jagody. Lecz jak kret gołymi rękami wygrzebała ziemię między korzeniami i przysposobiła legowisko dla siebie i dla męża. Umościła je liśćmi, trawą, skórą. Miejsca było tak mało, że ich ciała zawsze się dotykały. Wargi Cybuli dotykały ucha Jagody. Choć na dworze był chłód, ciepło im było we dwoje. Gorąc szedł od niego do niej, od niej do niego. Kiedy Cybula powrócił z Miasta, wyznał Jagodzie, że miał tam w oddali inną. Jagoda wiedziała też, że częstokroć nawiedza jej matkę. Nigdy nie brała mu tego jednak za złe. Po pierwsze, jakże ona, marna istota, może brać co za złe bogu? Po wtóre, Kora jest jej matką, tak jej drogą jak własne życie.

Cybula zwierzał Jagodzie wszystkie swe tajemnice, mówił, co zamieruje poczynić w obozie, co myśli o wszystkich. Innymi razy mówił jej o bogach. Czy był kiedyś czas, że nic nie istniało – nie było nieba, ziemi, gór, potoków? Czy kiedyś na wszystko przyjdzie koniec? Powtórzył jej słowa Ben Dosa o Żydach, którzy żyją gdzieś na wschodzie. Według nich jest tylko jeden bóg, który ich wybrał. Postawili mu złotą świątynię, lecz potem, kiedy zgrzeszyli wobec niego, zburzył ją i wygnał ich na tułactwo.

– Co oni zrobili? – zapytała Jagoda.

- Kradli, zabijali, spali ze swymi matkami i córkami.
- Czy to coś złego?
- On tak mówi.
- Cokolwiek ty robisz, jest dobre.
- On wierzy, że nasi bogowie są głusi i ślepi i że tylko jego bóg widzi i mówi – powiedział

Cybula.

- Czy to prawda?
- Jakże to ma być prawda? Przecież bogów nie ma.

Jagoda czuła jednak, że zna bogów, że istnieją. Cybula czasem mówił, że świat to zło, a śmierć najlepszy dar, lecz zarazem przyrzekał zabrać Jagodę za góry i mieszkać z nią w domu pośród pól, ogrodów, jezior i potoków. Opowiedział jej historię – potem wyznał, że ją zmyślił – o królu roslým jak sosna, z brodą do pępka, z rogami jelenia i jednym okiem na czole. Ten król umiał fruwać jak ptak, gadać z drzewami, skałami, świniami, psami, wołami. Poleciał do nieba i zaślubił boginię, która też zwała się Jagoda i zrodziła mu po tysiącokroć tysiąc dzieci, kóre zamieniły się w gwiazdy.

Gdy jej kiedyś opowiedział historię o jakimś bogu, Jagoda spytała go:

- Co to jest bóg?

A Cybula odparł:

- Wszystko.
- Wszystko?
- Dąb, Król Rudy, Nosek, Ben Dosa, ja, ty, twoje włosy, twoje piersi, twoje myśli, twoje

sny.

- Jakże to może być?

Nagle Cybula zaczął śpiewać pieśń, której Jagoda nigdy wcześniej nie słyszała. Na poły śpiewał, na poły śpiewnie mówił. Jego słowa budziły w Jagodzie zarazem śmiech i bojaźń. Mówił, że Wszystek był mężczyzną, a Zawsze kobietą. Wszystek i Zawsze byli mężem i żoną.

- Czy mają dzieci?
- Tak, my jesteśmy ich dziećmi.
- Och, strach mnie od tego bierze – powiedziała Jagoda.
- Czemuż to strach cię bierze?
- Czy Kora nie jest moją matką?
- Tak, jest twoją matką.
- A kim był Kostek?
- Twoim ojcem.
- Gdzie jest teraz?
- Wszystek go połknął.
- Czy Wszystek to zwierzę?
- Wszystek to wszystek.
- Kto ci to powiedział, Ben Dosa?
- Nie, sam to sobie umyśliłem. Czasem, gdy nie śpię w nocy, nachodzą mnie dziwne myśli.

Skąd się wszystko wzięło? Co było, zanim się urodziłem? Co będzie, jak mnie już nie będzie? Pomyślałem sobie, że Wszystek i Zawsze są jednym, że są jak mąż i żona.

- Jak my?
- Tak, jak my.
- Cybula, chciałabym, żeby zawsze była noc i żebyś był zawsze ze mną – powiedziała Jagoda.

da.

Wśród tych, którzy przychodzili słuchać porannej nauki Ben Dosa, była Kosooka. Kiedy Król Rudy ją wyrzucił, nie wiedzieć z jakiej przyczyny, nikt w obozie nie chciał jej wziąć i błąkała się bez celu. Mieszkała w porzuconej, na poły spalonej chacie i wymościła sobie łożę ze słomy, która została na ściernisku. Rozniecała ogień na ziemi między dwiema gałęzmi i piekła na nim, co za dnia złowiła. Tego rana Ben Dosa mówił o ofiarach składanych w świątyni w Jerozolimie. Powiedział, że są ofiary całopalne, kiedy ogień trawi wszystko, co zostanie na ołtarzu, jak już kapłani za-

biorą mięso dla siebie. Są też ofiary dziękczynne z najlepszych plonów albo z pary synogarlic.

Chłopiec, który zwał się Wilk, zapytał:

– Czemu my tego nie mamy?

Czarne oczy Ben Dosa rozbłysły.

– Moje dziecko, można mieć wszystko, jeżeli tylko zechcemy. W tym obozie ludzie żyją nieledwie jak zwierzęta, chodzą boso, lecz o kilka tygodni drogi stąd zbudowano Miasto, z domami, sklepami i warsztatami, gdzie rzemieślnicy mogą uprawiać swój fach. Jeżeli wszyscy tego zechcemy, my też możemy zbudować w naszym obozie takie miasto. Mamy wszystko, czego nam potrzeba: drzewa, owoce, żyzną ziemię. Możemy budować domy, ulice, sklepy, możemy prząść len, tkąć płótna, garbować skóry. Jeżeli zechcemy, możemy hodować stada owiec, strzyc je z wełny i robić z niej przyodziewek.

Ben Dosa kierował swe słowa ku Wilkowi, lecz teraz rzucił okiem ku Cybuli i Noskowi:

– Kobiety wyrzekają tu gorzko: mało mamy mężczyzn! Lecz Księża Przysłów, którą napisał Król Salomon – a był to najmądrzy ze wszystkich mężów – mówi nam, że szlachetna niewiasta przędła len i nosiła piękne szaty. Jej mąż siedział ze starszyzną na rogatkach miasta, a ona dobijała targu z kupcami lub szyla makaty. Powiedziane jest, że tak była robotna, iż całą noc światła w domu nie gasiła.

– Naucz nas, co mamy czynić! – zawołała jakaś kobieta. Wyglądała na młodą dziewczynę, lecz była już brzemienna.

– Wpierw musisz doświadczyć boleści rodzenia. Później otoczysz dziecko troską i wykarmisz je, i ciało, i ducha. Powiedziane jest, że największą cnotą szlachetnej niewiasty była bojaźń boża. Kiedy człowiek wyzbędzie się bojaźni bożej, niżej stoi od zwierza, który nie ma wolnej woli.

Jakaś starsza kobieta zawołała do Ben Dosa:

– Gdzież ona, ta szlachetna niewiasta? Niech przyjdzie i nas nauczy!

Ben Dosa uśmiechnął się.

– Od długiego czasu nie ma jej pośród żywych. Jej ciało obróciło się w proch, lecz jej dusza jest ze sprawiedliwymi niewiastami w raju.

– Gdzie to jest, w Mieście?

– W niebie.

Ludzie zgromadzeni w chacie Ben Dosa umilkli. Cybula szepnął coś Noskowi na ucho, a Nosek potrząsnął głową. Cybula powiedział:

– Ben Dosa, kiedy skończymy na dziś z nauką liter, przyjdź do mojej chaty. Nosek i ja chcemy z tobą pomówić.

– Tak, kneziu Cybula.

Ben Dosa wyjął kredę i zaczął znów uczyć liter. Najbystrzejszym uczniem był dwunastoletni Wilk, który umiał wygłosić alfabet i napisać swoje imię. W czas rokoszu zabili mu ojca, a wojak zgwałcił jego matkę i oślepił ją na lewe oko. Wilk miał niebieskie oczy i złociste włosy, a jak się uśmiechał, na licach robiły mu się dołeczki. Inni chłopcy dokuczali mu i przezywali dziewczęńskimi imionami. Tego półsierotę upodobały sobie wszakże kobiety i zasypywały go całusami. Wilk był zręcznym łowcą i często szedł w las ze swym łukiem i strzałami. Kiedyś złapał młodą sarnę. Wspiął się na drzewa, szukając rojów pszczoł, a jak znalazł, przynosił miód matce i innym w obozie. Na lekcji Ben Dosa Cybula spostrzegł, że Nosek częstokroć patrzy na chłopca, wodzi za nim oczyma. Kiedy Ben Dosa pochwalił Wilka, Nosek uśmiechnął się. Cybula nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział uśmiech na twarzy Noska.

Po lekcjach, kiedy uczniowie już poszli, u Ben Dosa otwarły się drzwi i stanęła przed nim Kosooka, bosa, na poły goła, ze skórą tylko na biodrach i piersiach.

– Witaj, Kosooka – powiedział.

Kosooka miała koszyk upleciony z gałązek i podeszła ku ławie, na której siedział Ben Dosa.

– Przyniosłam ci coś. – Uchyliła kawałek skóry na koszyku i Ben Dosa ujrzał zdechłego królika. Powstał.

– Kosooka, nie mogę go zjeść. Nie wolno, jest nieczysty.

Kosooka zapytała:

- Co mam z nim zrobić?
- Co chcesz. Zjedz go sama.
- Powiedziałeś, że Bóg na to nie zezwala.
- Nie zezwala tylko Żydom. Ty nie jesteś Żydem i dlatego możesz go zjeść.

Kosooka powiedziała:

- Chcę być tym, kim ty, Żydem.
- Ty Żydem? Dlaczego?
- Chcę iść do nieba, jak umrę. – Kosooka wskazała palcem ku górze.

Ben Dosa uśmiechnął się.

- Nie tak zaraz umrzesz. Jeszcześ młoda.
- Młodzi też mrą. Zaniedługo nie będę żyć.
- I dlatego chcesz zostać Żydówką?

– Tak.

– Skąd ci się wzięła ta wiara? – zapytał Ben Dosa.

– Ty nas tego nauczyłeś.

– Żyd musi prawdziwie wierzyć w Boga, nie w to, czego uczy jakiś człowiek. Dziś ja nauczę cię jednego, a jutro kto inny może cię nauczyć czegoś innego. Musisz te sprawy przemyśleć sama i począć wierzyć, że tylko Bóg prawdziwy jest Bogiem, który stworzył niebo i ziemię, a nie jakiś kamienny bałwan. Czy wierzysz w jednego Boga?

– Tak.

– Kneź Cybula powiedział mi, że nie chce, abym uczył tej wiary w obozie. Chce pozostać bałwochwalcą i chce, aby innych też pozostawić w spokoju. Gdyby usłyszał, że chcesz zostać Żydówką, mógłby nas oboje ukarać. To pierwsze musisz wiedzieć. A wtóre to, że odkąd zburzona została nasza świątynia w Jerozolimie, jesteśmy rozproszeni pośród narodów, pohańbieni, zagrożeni i musimy żyć jak jagnięta między wilkami. Ktokolwiek zostaje Żydem, bierze na siebie ciężkie brzemie. Mamy dwieście czterdzieści osiem przykazań, którym musimy być posłuszni, i trzysta sześćdziesiąt pięć występków, których nam popełnić nie wolno. Czy masz wolę wziąć na siebie takie brzemie?

– Tak.

Nastąpiła długa cisza. Potem Kosooka powiedziała:

- Chcę być ofiarą dla twojego boga.
- Ofiarą? Jak to ofiarą?
- Mówiłeś nam o składaniu w świątyni ofiar, których krew skrapiała ołtarz.
- To były zwierzęta, nie ludzie.
- Chcę oddać ci moją krew.

Jej słowa tak zdumiały Ben Dosę, że odebrało mu mowę. Patrzył na Kosookę w zdziwieniu. W latach, odkąd złapano go na statek płynący do Sydonu, napotkał rozmaitych dzikoludów. Był świadkiem, jak żeglarze bili się i łamali sobie nawzajem kości. Widział przemoc, samcołownictwo, bałwochwalstwo i wszelkiego rodzaju zboczenia. Lecz to, czego chciała Kosooka, było całkiem nowe. Powinien był ją skarcić, lecz coś go wstrzymywało. Jak człowiek może przyjść do takich myśli, zastanawiał się. Może jej przodkowie byli w szponach obłąkania.

Ben Dosa nie powinien się dziwić. Bałwochwalcy od wieków składali ofiary z ludzi. Rodzice z ochotą kładli swe dzieci w ogniach dla Molocha. Mężowie oddawali swe córki i żony na jaw-nogrzesznicę, jako podarki kapłanom i fałszywym prorokom Baala i Astarte. Wszystko to zapisane zostało w Torze i innych świętych księgach: grzechy pokoleń sprzed Potopu, złe uczynki Sodomy, tych, co kaleczyli sobie twarze i rwali kawały mięsa z ciała w żalobie po kimś z rodziny. O pokoleniu przed Potopem zapisane zostało, że nawet ich zwierzęta parzono ze zwierzętami innego rodzaju. Ben Dosa powiedział:

– Moje dziecko, Pan Wszechświata nie stoi o ofiary. Bądź uczciwa i dobra. Nic więcej nie potrzeba.

- Co mam czynić? – spytała Kosooka.
- Zaślub mężczyznę i bądź mu wierną żoną.

- Chcę być twoją żoną – powiedziała Kosooka.
- Ben Dosa zadrżał.
- Ja mam żonę i pięcioro dzieci.
- Tam, w Babilonie, nie tutaj.

Władztwo Kory

1

Cybula wielce się martwił o obóz i swoje w nim położenie. Ze strony Króla Rudego nie było już wszakże niebezpieczeństwa: nie chciał już Jagody dla siebie i powiedział Noskowi, że Cybula może żyć z Jagodą czy z kim mu się podoba i nie spotka go żadna krzywda. Prawdziwe niebezpieczeństwo groziło ze strony młodych wojaków, którzy chcieli obalić Króla Rudego, Kułaka i Noska i sami zacząć rządzić. Cybula wiedział, że jego, Leśnika, nie znoszą.

Była też taka zawada, że Jagoda nie chciała już mieszkać w obozie. Ani Kora, ani Cybula nie mogli jej odwieść od tego postanowienia. Coraz mniej się odzywała. Kiedy przychodził Cybula, całowała go i pieściła, lecz ciężko* było wydusić z niej choć słowo. Gdy o coś pytał, odpowiadała cichym mručeniem. Głos jej zachrypnął, a nocą charczała. Choć dalej łapała małe zwierzęta na strawę dla siebie, a Cybula i Kora częstokroć dzielili z nią swój połów, Jagoda chudła. Gdy Cybula trzymał ją w ramionach, czuł kościste zebra. Szło z niej dziwne ciepło, które Cybula zrazu wziął za gorącą namiętność. Tuliła się w niego i zasypywała pocałunkami, lecz Cybula zląkł się, że jest taka ciepła i taki ma gorący dech.

W obozie widział, jak ludzie gorączkują i chorują, przedwcześnie umierają, a nawet wpadają w różne obłąkania. Sądził, że obłąkany jest już Król Rudy. Z biegiem lat dostrzegł, że jedni Leśnicy umieją przetrzymać okrutne przeciwności losu, dopusty, głód i pohańbienie, a inni po lada kłótni czy obeldze mrą ze zgryzoty. Byli w obozie mężczyźni, którzy, choć cali w ranach, bąblach, wrzodach i strupach, umieli wieść swój żywot do końca, a innych od byle bolączki trzeba było zaraz wynieść i pogrzebać. Tak, znał mężczyzn, którzy zmarli od obelg, oszukaństwa, pohańbienia i drwiny, złamanych serc, bezwzajemnej miłości, gniewnych słów czy boleści po przyjacielu lub krewnym.

Tej nocy w chacie Kory Cybulę z nagłą coś zbudziło. Kora siedziała i mruczała cicho pod nosem. Cybula zapytał:

– Co tam tak syczysz jak wiedźma? Przywołujesz czarty?

– Cybula, nie mogę już tego dłużej znieść! Kiedy ty śpisz, ja nie mogę zmrzyć oka. Ta moja córka wpędź" mnie do grobu!

– Czego chcesz?

– Nie pozwól jej umrzeć, Cybula! Prócz niej nic mi nie zostało.

Cybula włożył skórzane spodnie i parę trepów, które mu uszył Ben Dosa. Kora zapytała:

– Dokąd idziesz? Na dworze jeszcze mrok.

Cybula nie odpowiedział.

– Nie idź się włóczyć po ciemku. Zła czeka tam na ciebie.

– Skąd wiesz? Widzisz ją?

– Posłuchaj, jak psy szczekają. One ją widzą.

– Głupstwa gadasz, nie ma żadnej Złej.

Cybula wyszedł z chaty, by pójść do Jagody. Na dworze wiał zimny wiatr, lecz Cybula czuł już wonności nadchodzącej wiosny. Zaniedługo trzeba będzie zasiać jarą pszenicę. Chciało mu się

pójść ku polu i popatrzeć nań znowu przy świetle księżyca. Ale cóż się ujrzy na kawałku ziemi przysypanej jeszcze śniegiem? Wiedział, że choć jest kneziem, nic w obozie nie znaczy. Rządziła w nim zgraja łotrów i nie było żadnych praw, bo Król Rudy utracił władzę. To tak, jakby go trzymali w niewoli. Cybula poszedł drożyną, która wiodła do dębu Jagody.

Nagle ujrzął kroczącego ku niemu człowieka. W świetle księżyca Cybula poznał, że to Lis. Był jednym z wojaków, którzy rządili Leśnikami żelazną ręką, choć nie posiadali miana knezia. To on, Lis, zmusił kobiety do ścinki drzew. On i dwaj inni wojacy, Drewnik i Ptak, podzielili między siebie ziemię i zaczęli zwać się panami. Chcieli uczynić z Leśników swych poddanych. Cybulę doszły słuchy, że Lis i jego współnicy knowali, by zabić Króla Rudego, Kułaka, Noska i może też jego, Cybulę. Lis zawołał:

– Kto tam?

– To ja, Cybula.

– Cybula, co? A co się tak skradasz po ciemku jak mysz?

Cybula poczuł, że przebrała się miarka.

– Nie jestem twoim sługą. Nie będę się przed tobą opowiadał.

– Jesteś nasz wróg, szpieg, śmierdzący Leśnik!

– Jestem kneź, a ty ledwie...

Nim Cybula zdążył skończyć zdanie, Lis huknął go pięścią w twarz. Cybula rzucił się na Lisa, lecz ten był roślejszy, mocniejszy, młodszy niż on. Lis okładał Cybulę pięściami po twarzy i głowie, kopał go, póki Cybula nie upadł na ziemię. Lis dalej go kopał leżącego i krzyczał:

– Otwórz jeszcze raz swoją świńską mordę, a rozdepczę cię jak robaka!

Pierwszy raz w życiu Cybulę ktoś uderzył. Tylu Leśników zabito, okaleczono, zadźgano, zraniono – lecz on, Cybula, zawsze wychodził bez szwanku. Zawsze czuł, że trzyma nad nim pieczę boska dłoń, choć nie chciał wierzyć, że bogowie istnieją. Lecz teraz nareszcie stało się to, czego się przez lata obawiał. Leżał w błocie jak zbity pies. Próbował wstać, lecz opuściły go s'ły. Kiedy tak leżał na ziemi, czuł, jak wychodzą mu guzy na czole i ciemieniu, jak puchnie mu nos.

– Jestem cały we krwi – powiedział do siebie. Doznał upokorzenia, którego nie da się inaczej zmazać jak tylko krwią napastnika. Cybula pojął, że Leśnicy w górach mieli słuszość: nie może być pokoju między Leśnikami a Polakami.

Cybula jakoś zdołał wstać. Nie mógł iść do dębu, w którym mieszkała Jagoda. Nie mógł też pokazać się Korze, nie zmywszy krwi i błota z ran. Zaczął czołgać się ku swej chacie. Tam miał swój miecz i swą włócznię. Pomyślał, że może zaczeka na Lisa w jego chacie i zabije go, lecz zaraz porzucił ten zamysł. Nawet jeśli by pokonał Lisa, który jest mocniejszy, to kiedy inni wojacy zwieździeliby się, co uczynił, męczyliby go i uwalaszyli, może nawet ucieli głowę – jak to uczynili innym, którzy mieli odwagę stawić im czoło. Jego pomsta musi być niespodziewana.

Do świtu było jeszcze daleko i zdążył doczołgać się do swej chaty. Przed drzwiami leżały zaspas świeżego śniegu, którym sobie umył twarz. Stopił trochę śniegu w dłoniach i wypił wodę. Wszedł do chaty, ale zaraz ugięły się pod nim nogi i zwałił się na łoże. Głowa go bolała i nie mógł już myśleć. Zapadł w głęboki sen. Kiedy się zbudził, była jeszcze noc. Gdy się poruszył, poczuł ostry ból, lecz sen chyba wrócił mu trochę siły. Usłyszał na dworze kroki Kory.

– Cybula, gdzie jesteś? – zawołała.

Chciał odpowiedzieć, lecz górną wargę miał zapuchłą, a język odmówił mu posłuszeństwa. Kora pow edziała:

– Czemu do mnie nie wróciłeś? Czy coś się stało?

Cybula wiedział, że prawda się przed nią nie ukryje.

Powiedział:

– Ktoś mnie napadł, pobił.

Kora załamała ręce.

– Kto? Gdzie? O, święci bogowie!

Cybula ledwie poznawał swój głos, taki był ciężki i głuchy. Kora zaczęła wrzeszczeć, jęczeć, wdychać. Cybula uciszył ją:

– Nie drzyj się! Nie chcę, by mnie ludzie ujrzeli w moim pohańbieniu.

– Serce mi powiedziało, że złe cię dopadnie. Jak tylko wyszedłeś z mego łóża, wiedziałam, że Zła na ciebie czeka.

Kora pochyliła się nad nim. Jak tylko dotykała rany albo opuchliny, z ust Cybuli dobywał się stłumiony okrzyk. Wyszła z chaty i wróciła z naręczem śniegu. Zgięta nad nim dusiła w sobie wzdychania i biadolenia. Palące łzy kapwały jej z oczu na jego twarz. Ostrzegł ją, by nie czyniła hałasu, więc pohamowała skowyczenia, które rozsadały jej gardło.

– Biada! Kto ci to uczynił?

– Lis. Czeka!

Ale Kora wybiegła z chaty.

Cybula leżał bez ruchu. Czy Kora poszła do chaty Lisa szukać pomsty? Jeżeli tak, to już po niej. Lecz Cybula nie miał siły, by pobiec za nią i ją powstrzymać. Zaniechęcał nadejście świtu, więc wojacy przyszliby też po niego. Muszę ze sobą skończyć, nakazał sobie. Nosił w worku wywar z trujących jagód. Przrzekł sobie, że jak wojacy zaczną nową kaziń, odbierze sobie życie. Lecz z biegiem tygodni i miesięcy wywar stracił moc i wyparował. Pomstując na swój żywot, Cybula przyzywał Śmierć, ducha śmierci, aby przyszedł po niego. Chwilę później usnął i począł śnić.

Było lato, a on biegł przez zielone moczary, by zabić jakiegoś stwora, który żył w mętnych wodach. Woda podniosła się wyżej kostek i doszła mu prawie do kolan. Lecz stwór ów – rak, wąż, żółw – płynął dalej, kpiąc sobie z niego i przyzywając za sobą. Z gardła wychodził mu jakiś charkot, chrząk czy parskot, jakby drwił z Cybuli, że taki bezsilny niezdara. Cybula zadrżał i otworzył oczy. Kora wróciła do chaty i kiedy ujrzała, że Cybula się zbudził, powiedziała:

– Dokonało się.

– Co?! Lis nie żyje?

– Strzaskalam mu głowę kamieniem. Raz krzyknął i koniec.

Cybula nic nie powiedział. Winien poczuć radość, lecz czuł tylko zdumienie nad tym, co się zdarzyło przez ubiegłe dni i że zdarzyło się tak szybko. Kora powiedziała:

– Poszłam do jego chaty i usłyszałam, jak się wierci na łóżu i ryczy jak wół. Wbiegłam z kamieniem i strzaskalam mu głowę od jednego razu.

– Może jeszcze żyje – mruknął Cybula.

– Jego mózg schlapał mi palce – odparła Kora.

Cybula leżał bez ruchu, a myśli mieszały mu się w głowie. Nie spał, ale też nie czuwał. Coś w nim jakby skamieniało. Uczynek Kory przyszedł za szybko, by zaspokoić jego pragnienie pomsty. Trochę się nawet użalił na grubym wielkoludem, który tak łącno go zmógł. Wkrótce wzejdzie słońce, a z nim przyjdzie nowa kaziń, nowa jatka.

– Kora, musimy uchodzić.

– Nie bez Jagody!

– Tak.

Pomału i boleśnie Cybula usiadł. Kora powiedziała:

– Wezmę jakieś rzeczy – i wyszła z chaty. Podpierając się o łożę, Cybula wstał. Po ciemku znalazł swój miecz, włócznię, łuk i strzały. Włożył je do worka, a na dokładkę wrzucił pieczonego królika.

– To wszystko, co posiadam na tym świecie – powiedział do siebie. Wokół ramion owinał sobie skórę niedźwiedzia, którego złapał w górach. Na dworze niebo było czerwone, a wschód począł się już jarzyć. Korze schodziło dłużej, niż potrzeba, by pozbiierać parę rzeczy dla siebie. Już po mnie, pomyślał Cybula. Cóż, co ma się stać, to się stanie. Kora wróciła z wielkim tobołem zawiniętym w słomiankę.

– Chodź, zabierzemy ze sobą Jagodę – powiedziała.

Poszedł za nią na miękkich nogach i z poddaniem się losowi, o jakie się nie posądzał. Było mu wszystko jedno, czy go złapią, poćwiartują, rozszarpią na strzępy. Kora wzięła go pod ramię i razem szli w milczeniu. On, Cybula, sprowadził na wszystkich nieszczęście. Wojacy mogą nawet pomścić się na Łasce, pomyślał. Świtało. Przypomniawszy sobie, że Leśnicy w górach nazwali go zdrajcą. Uszedł jednemu niebezpieczeństwu, by wpaść w następne, lecz nie bał się już śmierci. To wszystko by się nie przygodziło, pomyślał, gdybym został z Korą w łóżku. Kiedy niekiedy patrzył

za siebie, czy ich ktoś nie ściga. Lecz nie, wszyscy spali. Kiedy Cybula i Kora przyszli do dębu, Jagoda czekała na nich, bosa i drżąca.

Kora zawołała do niej:

– Czemuś nie w środku?

– Bo wszystko mokre.

– Nieważne. Chodź, uciekamy, uchodzimy z życiem. Patrz, co mu uczynili. – Kora wskazała palcem na Cybulę.

Jagoda spojrzała na Cybulę i powiedziała:

– Kto to uczynił?

– Ten, kto uderzył Cybulę, zstąpił już w dolinę umarłych – odparła Kora.

Szli w milczeniu, aż nagle zza kępy zarośli i drzew opodal posłyszeli głosy kobiet wzniesione w pieśni i stanęli jak wryci. Któryś z wojaków wiódł gromadkę kobiet do lasu, aby ścinały drzewa i sposobiły nowe zagony pod siew. Kazał im śpiewać, a one wybrały pieśń żalobną, wolną i smętną, którą się śpiewało przy pochówku albo paleniu zmarłych. Cybula zaczerpnął tchu. Kora położyła palec na ustach. Cybula wiedział, do jakiej roboty zmusza się kobiety, lecz nigdy tego nie widział na własne oczy. Ich śpiew w ten chłodny zimowy ranek przyprawił Cybulę o drżenie. Zapomniał o swych własnych kłopotach. Głosy nie miały w sobie ni nadziei, ni marzeń, były to głosy sierot, wdów, niewolników. Cybuli zdawało się, że kobiety te idą w swą własną mogiłę. Śpiewanie przycichło i oddaliło się.

Naszła Cybulę myśl tak prosta, że aż się zdziwił, czemu nie naszła go wcześniej.

– Kora, ty i Jagoda nie musicie uchodzić.

– Co też ty mówisz?

– Jeżeli ujrzą mnie rannym, pomyślą, że Lis padł z mojej ręki. Lecz nigdy nie posądzą kobiety, ciebie czy Jagody. Czemu macie ze mną uciekać? Będzie lepiej, jeśli tu zostanieecie.

– Co zamysłasz uczynić?

– Zaczekam, póki nie zgoją mi się rany, po czym wrócę.

Jagoda nareszcie się odezwała.

– Cybula, nie zostawiaj mnie!

– Nie, nie, nie. Lecz twoja matka... Kora przerwała mu.

– Co chcesz rzec? Ze źle uczyniłam, że zabiłam Lisa?

– Nie, Kora. Lecz musimy się wyzbyć wszystkich wojaków. Póki oni żyją, my nie przeżyjemy.

– Co chcesz, byśmy uczynili?

– Pójdę do naszych ludzi w górach i poproszę o pomoc.

– Jak cię ujrzą, rozerwą cię na sztuki. Kiedy tu przyszli, by wyróżnić swe własne żony i dzieci, pytali o ciebie. To o twoją stali głowę. Prócz tego jest ich teraz za mało, są głodni i schorowani. Nie przyjdą nam z pomocą. Opadną ciebie i Jagodę jak wilki. A ja zostanę sama. Nie, Cybula. Jeżeli przeznaczone nam umrzeć, to niech to będzie z twojej słodkiej ręki.

– Tak, Cybula. Zabij nas teraz – powiedziała Jagoda. Cybula zerknął na rękojeść swego miecza. Zbyt był utrudzony, przegrany i pohańbiony, aby skończyć ze sobą i tymi, które miłował. I do śmierci trzeba siły. Usłyszał siebie mówiącego:

– Nim umrzemy, pokrzepmy się. – Jego własne słowa przyprawiły go o śmiech.

2

To Kora postanowiła, nie on: kobiety same się wyswobodzą. Nie trzeba iść po prośbie do Leśników w górach. Jeśli ona, Kora, potrafiła zabić Lisa, to sześćdziesiąt zdrowych na ciele kobiet potrafi zmóc siedemnastu czy osiemnastu wojaków. Cybulę zaskoczyła gwałtowność Kory i rada,

jaką znalazła.

Nie wypuszczali się daleko w góry, tylko znaleźli na noc jaskinię. Chmury zgęstniały, wiał lodowaty wicher, śnieg walił i rósł w wielkie zaspę, więc nie groziło im, że wojacy wyjdą ich szukać. Cybula korzystał już z tej jaskini dawno temu, kiedy był łowcą. Kiedy się polowało w górach, nie dało się obejść bez gotowych kryjówek, zwłaszcza zimą. Szli cały dzień i dotarli do jaskini z wieczora. Cybula bał się, że Jagoda nie znieśie trudów podróży, lecz wrzała w niej jeszcze młoda krew. Pięła się na skały prędzej, niż on mógł podołać. Bycie przy nim zdało się przywracać ją do życia. Powiedziała, że nigdy nie była szczęśliwsza, jak w te dni przepędzone z Cybulą i jej matką w jaskini.

Gdy dobili do jaskini, Cybula zdziwiony odkrył na poły przegniłe skóry, na których spał wiele lat temu, i sterty drewna, jak też kamienie, z których niegdyś wybudował palenisko. Potarł kawałek drzewa o drugi i skrzesał ogień. Jaskinia była dłuższa niż inne i wiodła ku dołowi wąskimi, krętymi przejściami, tak wąskimi, że trzeba się było czołgać. U jej spodu płynęła rzeka i słychać było grzmiące rwącej wody. Cybula spostrzegł, jak łatwo tam było położyć kres swemu życiu: wystarczy rzucić się w zimną kąpiel na dole.

Kiedy siedzieli przy ciepłym ogniu i jedli przyniesione ze sobą mięso, Kora opowiadała, co zamierza. Wróci do obozu, nie za dnia, lecz długo po zmroku, kiedy pijani wojacy już się pokładą. Pójdzie do tych kobiet, które są silne i godne zaufania, szczególnie żony wojaków, które nienawidzą swych mężów, i razem uknują, jak ich wygubić. Które będą miały odwagę i śmiałość, te wezmą nóż, siekiere, co będzie pod ręką, zakradną się do chaty wojaka i zabiją go we śnie. Tak to uskutecznią, że wszyscy wojacy pomrą w jedną noc, aby knowania nie wykryły się przed czasem.

Kora знаła kobiety w obozie. Wiedziała, jakie są i czego się lękają. Nie trzeba jej było wszystkich sześćdziesięciu, aby się pozbyć osiemnastu wojaków. Wybierze najzręczniejsze, najsilniejsze, może najmłodsze – te, którym będzie mogła zaufać. Kiedy Kora wyszczególniała swe zamysły, nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Powiedziała:

– Wojacy będą mieli szybką śmierć, nie dowiedzą się, kto ich ukatrupił. Rano w obozie będziemy rządzić my, kobiety. Przypaszymy miecze, będziemy nosić włócznie. Nie będziemy już więcej ścinać drzew! Ty, Cybula, będziesz naszym królem, Jagoda królową, a ja matką królowej. Czemu nie umyśliłyśmy naszej pomsty wcześniej – to takie proste!

Jagoda, dotąd przygnębiona i smętna, z nagłą pojaśniała.

– Ty bądź królową, matko. Ja będę twoją służebnicą.

Cybula słuchał i niekiedy się uśmiechał, lecz nie odzywał się. Wiedział, że co w życiu zdaje się łatwym, na ostatek pokazuje się trudnym, jeżeli nie zgoła niemożliwym. Bogowie nie przydali kobietom odwagi ni umiejętności, by dać odpór wrogowi, wzniecić powstanie, zawrzeć ugodę, wojować. Lepsze były w gębie niż w czynie. Nie można im zawierzyć tajemnic. Któraś na pewno wypaple o spisku i przyjdzie do krwawej jatki. Nawet jak spisek się nie wykryje, to którymś kobietom na pewno w ostatniej chwili zdrzży ręka. Cybula miał też inne zastrzeżenia. Kilka kobiet nosiło w sobie potomstwo wojaków. Jego własna córka, Łaska, była królową i porodziła dziecko Króla Rudego. Czy Łaska zadzga męża i osieroci swe dziecko? A co się stanie z Noskiem, jak wymordują wszystkich Polaków? Choć nienawidził ucisku wojaków, zabijanie bezbronnych ludzi śpiących w łóżach jawiło mu się czymś złym. I jeszcze jedno na ostatek: zaprzysiągł dochować wiary Królowi Rudemu.

Po jakimś czasie rzekł:

– Jeżeli wy, kobiety, zwyciężycie, czemu królem ma wam być mężczyzna? Ty winnaś rządzić w obozie, Kora.

– Nie chcę rządzić. Chcę pić wodę z umycia twych stóp – odparła Kora.

– Och, matko, co też ty mówisz!

– Taka jest prawda.

Jagoda poczęła ziewać i wnet twardo zasnęła. Kora zaniósła ją na skórę blisko ognia i przykryła, po czym usiadła koło Cybuli. Od czasu do czasu zerkała na niego w sposób, który dobrze pojmował. To, co uczyniła dla niego tego rana i co zamierowała na przyszłość, wzbudziło w niej namiętność do niego. Choć był bardzo pobity przez Lisa i zdrożony, w nim także w/ineciło się po-

żądanie. Zarazem jednak obojgu potrzebny był odpoczynek. Oczy zaszyły mu śluzem, a kończyny obwisły bezwładnie. Pokładli się i Kora objęła go. Z jej twarzy, piersi, brzucha bił gorąc. Nawet ręce miała rozpalone. Kilka godzin później ktoś go zbudził. Była to Kora. Lizła go w ucho i gryzła w płatek uszny. Przez otwór w jaskini ujrzał, że jest jeszcze noc, lecz zbudził się wypoczęty. Od Kory szedł ku niemu niezwykle gorąc. Szepnęła:

– Cybula, bogu mój, wejdz we mnie! – I napadła go prawie jak zwierz.

3

Następnego rana posłyszał wycie, świst, jazgot. Od gór szła wichura i niosła śnieg z gradem. Kora już wstała. Przydała drew do ognia i piekła kawał mięsa. Cybula zamierzał pójść na łowy, lecz teraz nie było to możliwe. W jaskini unosiły się wonie mięsa, krwi i dymu. Światło ognia padało na gołe łydki Kory, ramiona, lica. Cybula przypomniał sobie kobiety szlachetne, o których mówił Ben Dosa. Kora często zwała go bogiem, lecz Cybuli zdawało się, że to ona ma w sobie moce bogini. Choć oddała mu się nocą, zbudziwszy się, od nowa pożądał jej ciała. Jagoda dalej spała. Cybula wezwał Korę, by przyszła i pokładła się koło niego, lecz odmówiła.

– Nie teraz, mój panie i władco. Wiele jest dzisiaj do zrobienia. Muszę zachować siły.

– Co możesz zrobić w tej wichurze?

– Wpierw muszę zadać jadła twemu drogocennemu brzuchowi. Potem ruszę w drogę.

– W tej zawiei? Jak? Trafisz prosto w czeluście ziemi.

– Będzie tak, jak zawyrokowali bogowie. Jeżeli zginę, pozostanie ci moja córka.

Cybula usiadł.

– Co zrobisz, gdy przybędziesz do obozu? Wojacy rozerwą cię na sztuki.

– Albo oni mnie zabiją, albo ja ich. Innego wyjścia nie ma. Daj mi twój miecz.

– Kora, nie chcę, byś postradała życie. Potrzebuję cię.

– Nie martw się, mój miły. Gwiazdy mi sprzyjają.

– Skąd niby wiesz?

– Baba Jaga przyszła do mnie, lecz nie we śnie. Objawiła mi się. Ty usnąłeś z głową między moimi piersiami. Miałam właśnie unieść twą słodką głowę, przywrzeć do ciebie i zasnąć, kiedy nagle ją ujrzałam. Lico miała straszliwe, włosy splątane, czarne niczym kruk, jastrzębie oczy i szpony. Rzekła mi: „Idź, dziewczyno, wytrzeb ich. Utoocz krwi twych wrogów”.

– Po ludzku mówiła?

– Jak ty mówisz do mnie, a ja do ciebie.

– Musiało ci się przyśnić.

– Nie, Cybula. Byłam zbudzona, kiedy ją ujrzałam. Ujrzałam jej mózdzierz, jej tłuczek.

Włosy miała zjeżone, jakby jej z głowy rosły kolce. Kiedy mówiła, z ust buchał jej płomień. Oczy jej gorzały jak błyskawice. Cybula, muszę pożyczyć twój miecz.

– Czekaj. Jeszcze nie pójdziesz.

– Idę.

Nagle Jagoda usiadła i powiedziała:

– Matko, nie idź!

– Cóż to? – spytała Kora. – Kurczęta mędrsze od kwoki?

– Matko, śniłam, żeś umierała, a kruki wykuły ci oczy – powiedziała Jagoda.

– To oszukaństwo, sprawka jakiegoś babuka albo czarta!

Cybula klócił się z Korą, lecz nie ustąpiła. Wzięła jego miecz, wyjęła z pochwy i zaczęła szermować nim szybko i mocno z lewa na prawo, jakby ścinała wrogom głowy. Jednocześnie mówiła do Cybuli:

– Ty, Cybula, znasz prawdę. Kiedy ci zbójcy spadli na nas, wtrącili nas w pomrokę. Ileż to

razy postanawiałam przyjść z nimi do ugody? Wszelako nie mogę tego uczynić. Oni zgubili nas na zawsze. Myśleliśmy, że przynieśli nam dobrodziejstwo chleba, a tymczasem ściągnęli na nas przekleństwo i nienawiść. Jak drapieżne wilki czyhali, by nas wytracić.

– Ty z nimi sypiasz, nie ja – rzekł Cybula, zdumiony swymi własnymi słowami.

– Tamci wojacy zapłacili już swą cenę. – Kora powiedziała wszystko, co chciała powiedzieć.

Cybula wyszedł na dwór za potrzebą. Z gałęzi drzewa wziął grudę lodu i zaczął ją ssać. Miał chęć umyć się świeżo spadłym śniegiem. Wrócił do jaskini i powiedział:

– Kora, nigdy tam nie dojdiesz.

– Czekaj. Dzień się dopiero rozpoczął.

Siedzieli przy ogniu i odgryzali kawałki niedopieczzonego mięsa. Cybula lizał grudę lodu, którą przyniósł do jaskini.

Kora milczała, a Cybula począł myśleć o Śmierci, bogu śmierci. Wszyscy chcieli uciec od niego jak najdalej, a tylko się przybliżali. Jeśli Bóg jest wszystkim, jak wierzył Cybula, to śmierć też jest z Boga. Jeśli wszystko ma w sobie życie, w co też wierzył, to życie jest też w śmierci. Lecz jakże to może być? Cybula postanowił zapytać Ben Dosa. Ten Żyd, zrodzony w dalekiej krainie, miał odpowiedź na każde pytanie. Lecz kto wie, czy Ben Dosa jeszcze żyje? Cybula był pewien, że kiedy wojacy znajdą martwego Lisa, rozpocznie się nowa kaźń, a Ben Dosa pierwszy padnie ofiarą.

Cybula słyszał od kobiet w obozie, że Kosooka kręciła się koło chaty Ben Dosa i zносиła mu podarki, których nie chciał przyjąć. Gdy Cybula z nią sypiał w mieście, nie za bardzo mu przypadła do gustu. Za dużo trajkotała. Woniała też jakoś inaczej niż reszta kobiet. Piersi miała twarde jak skała, a takich długich i sztywnych sutek jeszcze nie widział. Kość niżej jej brzucha, tam, gdzie wyrastają włosy, zanadto sterczała. Lecz kiedy ujrzał, jak szybko nauczyła się czytać litery i pisać kredą na korze, rozbudziła się w nim żądza ku niej. Jeżeli Ben Dosa umrze, a ja przeżyję, postanowił Cybula, wezmę ją za służebnicę.

Cybula z dawna wiedział, że ze złego nasienia zły szczep. Za sprawą jednego sześciopalczastego prapradziada w obozie było sześciu Leśników, którzy mieli sześć palców u ręki. A co się sprawdza dla ciała, sprawdza się też dla ducha. Z nasienia zbójców, pijaków, darmożjadów i głupców rodzą się im podobni.

Nocą, kiedy Cybula leżał z Korą, częstokroć wyjawiał jej swe najwnętrzniesze myśli, swe męskie żądze. Nie wstydził się nawet przyznać, że czasem czuje chuć do Łaski, swej własnej córki. Ben Dosa powiedział mu o królu w dalekiej ziemi, który miał tysiąc żon i nałożnic.

Jakub, ojciec plemienia, do którego należał Ben Dosa, miał cztery żony, a dwie z nich były siostrami. Z lędźwi tego męża wyszedł cały naród, tak mnogi jak piaski morza i gwiazdy na niebiosach. Kora zawsze zgadzała się z Cybulą i drwiła z kobiet, które żałują swemu mężczyźnie innego miłowania. Tłumaczyła:

– Czyż to występki wobec bogów, jeśli zakosztować więcej niż jedno danie?

Kiedy na dworze wył wicher, a Kora sposobiła się, by wystawić swe życie na szkodę w obozie, Cybula miał chęć zostać przy ogniu i marzyć. Cóż można robić w taki dzień? Stał na skraju nieszczęścia, lecz w głowie wyczarowywał wszelakie rozkosze żywota: młode kobiety, noce namiętności, pałac, powóz, sługi, konie. Dzieci, które ganiały wkoło i bawiły się, były teraz wszystkie jego. Wojacy nie żyli, a on płodził nowe pokolenie. Wszystkie kobiety w obozie były teraz jego nałożnicami albo żonami i rodziły mu dzieci. Stał się praojcem nowego królestwa pół. Spał nawet ze swymi córkami i wypróbował swe synowe, zanim zaślubiły jego synów. Wytrzebiono wielkie połacie lasu i obóz otaczały pola, ogrody, sady. Tak jak w Mieście, w obozie były teraz wysokie budowle, strzelista wieża, warsztaty...

Usnął, a kiedy otworzył oczy, wiatr już ucichł. Powietrze, które sączyło się do jaskini, było zimne jak lód. W świetle ogniska ujrzał, że Kora przypasała jego miecz i okryła swe nagie ramiona i nogi skórą. Jagoda siedziała przy ognisku i piekła królika, którego przyniosła ze swej jamy.

Kora była gotowa wracać do obozu. Wlepił w nią oczy, a ona uśmiechnęła się do niego przez cienie, które kładły się jej na twarzy. Zapytał:

– Naprawdę idziesz?

- Tak, naprawdę idę.
- Czemu musi to być dzisiaj?
- Bo niebo zaciągnięte jest chmurami, a nocą nie będzie świecić księżyc.
- Nawet jeśli nie zdechniesz z zimna, wojacy na pewno cię zabiją.
- Nie, mój królu. Bogowie mi sprzyjają.

Część druga

Król Cybula

1

Mroźna i straszliwa zima, jedna długa noc pełna koszmarów, przysłała ku końcowi. Kiedy nastąpiła wiosna, Cybula zaczął rozmyślać, jak to być może, że przetrwali siarczasty miódz. Słońce znów grzało i świeciło na obóz, jak i na wielki zagon ziemi zasiany jarą pszenicą. Powstanie kobiet pod wodzą Kory powiodło się i obóz nareszcie wolny był od wojaków. Kora i te, które poszły za nią, zabiły z nich dziesięciu. Kobiety zakradły się jednej nocy do chat wojaków i ucięły im głowy mieczami albo strzaskały żarnami. Kora zgodziła się poniechać Króla Rudego i Noska, którzy nie byli ciemężycielami, a nadto wiedziała, że Cybula nie chce, by Łaska została wdową, a Ptaszek sierotą. Sam Król Rudy leżał schorzały i na poły obłąkany. Ponieważ kobiety wygubiły dziesięciu wojaków, ci czterej, którzy się ostali ranni, zaniechali boju, gdyż pojęli, że ich władztwo zostało im odebrane. Kiedy rany się zablizniły, ruszyli w drogę, by łupić i zabijać w innych stronach. Kułak i Czapek szczęśliwym trafem umknęli śmierci, gdyż nie pokładli się tej nocy na swe łoża; hulali całą noc, spici na umór, toteż kiedy w obozie odchodziła rzeź, oni chrapali w najlepsze na klepisku stodoły. Kiedy otrzeźwieli na tyle, by pojąć, co się zdarzyło, przystali do Noska i Cybuli.

W obozie była przewaga kobiet, bo płci drugiej ostało się niewiele, jeżeli nie liczyć dzieci, starców i resztki Leśników, których Cybula ugadał, by zeszedli z gór. Kobiety wbrew jego woli koronowały Cybulę na króla. To głupstwo, rzekł, by królować czeredzie kobiet, dzieci i starców. Kazał kobietom obrać spomiędzy siebie królowę lub zaczekać, aż zemrze Król Rudy, i ustanowić królową Łaskę. Lecz kobiety wsadziły mu na głowę dynię, zapaliły kilka świec woskowych i obwołały go królem.

Kora, Łaska, Nosek, Kułak, Czapek, Ben Dosa i jeden z powróconych Leśników zostali kneziami Cybuli. Następnego rana cały obóz wyległ boso na pola do orki. W ziemi ostały się chyba ziarna pszenicy po ostatnich żniwach, bo gdzieniegdzie wzeszły już zielone pędy. Kobiety chciały wygonić Króla Rudego z chaty. Cybula zdołał je przemówić, by przyzwoliły dawnemu królowi zostać.

Cybula był świadom, że prawdziwe władztwo w obozie sprawuje nie kto inny, tylko Kora. Ponieważ swoje nowo powstałe królestwo miał tylko za zabawkę, pomyślał: niech się dzieci bawią. Podejrzewał, że Kora żywi namiętność nie tylko do mężczyzn, ale i do kobiet. Ben Dosa przypomniał mu, że Miasto okala mur, a Cybula z miejsca postanowił, że oni też będą mieć mur. W okolicy wiele było skał, które można było wziąć na budowę, a każda usunięta skała i każde ścięte drzewo to kawałek ziemi pod uprawę. Nosek, który umiał rachować, mnożyć i dzielić, policzył, że aby zbudować mur, którego nie zniszczą nieprzyjaciele, potrzeba wielu lat.

Ben Dosa przekonywał, że trzeba się zaraz zabrać do roboty, bez zwłoki, a do najważniejszych rzeczy należy kopanie studzien. Izaak, syn Abrahama, miał ponoć szczególne upodobanie w kopaniu studzien. Ben Dosa opowiedział im też dzieje Betszeby. Ten mały szewc o śniadej twarzy, ciemnej brodzie i łyskających czarnych oczach mówił nie tylko o Bogu, niebiosach i Jeruzolimie, lecz także o sprawach, które mogli pojąć wszyscy. Przekonywał dla przykładu, że co inni uczynili w Mieście, można też uczynić w obozie i nawet obóz może stać się miastem. Mają tu

wszystko, czego im potrzeba: ziemię pod uprawy, pastwiska dla bydła i owiec, ogrody warzywne, sady owocowe, rzeki roją się od ryb, a lasy od zwierza i ptactwa. Mogą kupczyć żywnością i dobrami, lecz aby stać się prawdziwym miastem, obozowi trzeba pieniędzy. Do kupczenia dobrami muszą być miary w złocie, srebrze, cynie lub miedzi. Wszystkim towarom trzeba też nadać cenę. Ludzie z Miasta i wszystkich okolicznych folwarków potrzebują mięsa, skór, wełny, lnu, miodu, pszenicy, drewna. Opodal Miasta wiąże się pnie drzew w tratwy i spławia Wisłą, która płynie do morza. Kupcy z ziem, gdzie żyje wiele narodów, a każdy ma inną mowę, płacą za drzewo przedmiotami z żelaza, miedzi, szkła i spizu, a także tkanymi dywanami i odzieniem, a nawet pięknie urobionymi klejnotami. Ben Dosa powiedział, że w miastach tych są ludzie, którzy uprawiają wszelakie rzemiosło: krawcy, szewcy, kowale, cieśle, futrzarze, szlifierze i tak dalej. W Misznie podanych jest trzydzieści dziewięć rzemiosł, których trzeba zaniechać w święty dzień odpoczynienia. Tak, w Babilonii, w ziemi Izraela, w Egipcie, Syrii i wielu innych stronach są uczeni w piśmie, którzy spisują słowa na pergaminie. Przykazań bożych trzeba się uczyć dniem i nocą, aby wierzący trzymali się z dala od występku. Poddał myśl, żeby chłopców z obozu, kiedy dojdą odpowiedniego wieku, wysyłać do Miasta po nauki rzemiosła i żeby sprowadzić do obozu rzemieślników z innych miast. Nieżonaci znajdują żony między kobietami w obozie, ustatkują się, pozakładają rodziny. Obóz wtedy powiększy się, a groźba napaści zmaleje.

Gadanie Ben Dosa nigdy się ludziom nie przykrzyło. Przychodziły go słuchać nawet dzieci, które nie zawsze pojmowały, co rzecze. Kobiety miały tylko jedno do powiedzenia:

– Jaka szkoda, że nie chce jednej z nas za żonę – mógłby spłodzić całe pokolenie mądrych dzieci!

Lecz Ben Dosa stronił od kobiet. Żadnej nie przypuścił do przyjaźni ze sobą. Często im przypominał, że w dalekiej ziemi Babilonu ma żonę i dzieci. A nawet gdyby był wolny, nie mógłby poślubić kobiety, która całym sercem i rozumem nie przyjmie wiary żydowskiej.

Ze wszystkich boskich praw, które Ben Dosa im wytłumaczył, najdziwniejsze zdawało się Leśnikom to, co dotyczyło obrzezania. Po co kaleczyć ciało chłopca, który ma dopiero osiem dni? Po co skracać jego członek, który, jak wszyscy wiedzą, z upływem lat urośnie? Kiedy Ben Dosa wymienił to przykazanie, ludzie rechotali i nawet dzieci parskały śmiechem.

2

W długim czasie od siewu po żniwa Kora czyniła przygotowania do uroczystych godów Cybuli ze swoją córką Jagodą. Dni były słoneczne i ciepłe. Knieja rojna była od zwierząt, które w poszukiwaniu żeru podchodziły tak blisko obozu, że kobiety i starcy mogli je ustrzelić z łuku. Inne zwierzęta łapały się w sidła. Cybula ustrzelił kiedyś wcześniej z rana trzy sarny. Chłopcy w obozie na wypródki łowili ptaki, polne myszy, wiewióry, króliki, zające. Chodzili z sieciami nad potok i łapali ryby.

Kobiety często pokpiwały sobie z łagodnej i nieporadnej Jagody. Miały ją za głupią. Gdy były w gromadzie, na niej skrupiały się ich plotki. Co Cybula w niej widzi? Czemu jej pożąda? Jest mała i koścista, nie ma ni piersi, ni pośladków, ręce i nogi ma chude, a łono płaskie. Na pewno jest niepłodna, bo inaczej już dawno porodziłaby mu dziecko. Niektóre z kobiet podejrzewały, że Jagoda jest głucha. Gdy ją o coś pytały, często nie dawała odpowiedzi. Jeżeli Jagoda zostanie królową, będzie to dla obozu hańba. A jednak kobiety sposobiły się do nadchodzących zaślubin. Zbierały się na łące, gdzie pasły się krowy, kozy i owce, by tańczyć takie tańce, jak za dawnych dni – taniec wody, taniec zaczepki, taniec babuka, kozi taniec, taniec umierającego ptaka i taniec Baby Jagi, który dawnymi laty tańczono przy składaniu bogini ofiary.

Tańcowanie bez mężczyzn nie sprawiało wszakże kobietom radości. Niektóre zaciągały w krąg starych Leśników, którzy ledwo co trzymali się na nogach. Jedna podochocona dziewczyna

tańczyła z kozłem, którego zawlokła za rogi w krąg. Na jeden z tańców przyszedł Cybula, lecz tańczył tylko z Korą. Na chwilę zbudził się w Cybuli dawny uciesznik – począł znów dowcipkować, udawał głupców i niezgułów, którzy dawno już zstąpili w czeluście ziemi. Wywinał nawet parę fi-kołków, na co ludzie ryknęli śmiechem. Niektóre z kobiet aż się popłakały od śmiechu.

Król Rudy nie wychodził już za dnia ze swej chaty, lecz Łaska przyłączyła się do igrców i zatańczyła ze swą macochą i z ojcem. Natomiast Jagoda, której gotowano zaślubiny, skryła się w chacie i nie chciała wyjść. Ktoś przyrównał ją do polnej myszy. Gdy szła do lasu na grzyby, nie zatrzymywała się koło tańczących, choć na nią wołali. W lesie szukała ustroni, gdzie nie było innych kobiet. Przy tym wszystkim pokazało się, że zręczna z niej łowczyni. Kobiety nareszcie się dogadały, że u Jagody mogą pociągać jej kształtne usta. Twarz miała małą, lice zapadłe, szyję cienką jak u ptaka, lecz w jej pełnych wargach i podbródku kryła się żądza.

Ben Dosa miał przed zaślubinami Cybuli pełne ręce roboty. Wszystkie kobiety w obozie pozamawiały sobie buty. Wiele długich godzin schodziło mu na braniu miary ze stóp. Mruczał przy tym pacierze, by Bóg pomógł mu odeprzeć pokusę. Niektóre kobiety zadzierały spódnice nad gołe kolana i widać było uda, a nawet brzuchy. Często mawiały do niego:

– Nie bądź głupi, Ben Dosa. Pójdź w moje ramiona.

Na co Ben Dosa odpowiadał:

– Przebacz mi, lecz Bóg na to nie zezwala.

– Jaki Bóg? Bogowie też hulają i swawolą.

– Tylko bałwany i czarty. Bóg Izraela jest święty.

Ben Dosa nie pracował już w chacie, w której mieszkał i uczył ludzi czytania i pisania. Postawił sobie opodal mały warsztat, zamierzał też zbudować sklep, gdzie by sprzedawał towary z Miasta, a kupował skóry, miód, świńskie włosie i wełnę. Gdy Ben Dosa krajał skóry i obrabiał drewniane obcasy, zgłębiał jednocześnie Torę, kiwał się w przód i w tył i modlił do swego niewidzialnego Boga. Jak wytłumaczyć tym poganom, że jest Bóg, który troszczy się o każdego człowieka, każdą muszkę, każdy liść na drzewie? Ich losem było wieść swój żywot w mroku. Ben Dosa czuł, że najlepiej ze wszystkich potrafi go zrozumieć Cybula. Ale Cybula całkiem się pograżał w codziennych sprawach, zawsze też ulegał kobietom, które go całowały, pieściły, łechtały. A taki Nosek to nie myślał o niczym innym jak o jedzeniu, narzędziach, koniach. Chodziły słuchy, że Nosek woli mężczyzn od kobiet. No, ale skąd ma wiedzieć, że jego postęпки są grzeszne?

Co dziwne, iskierka pobożności zabłysła w Kosooce, tatarskim pomioście. W kółko wypytywała Ben Dosę o Boga, anioły, Torę, duszę. Chciała wiedzieć, co to jest przykazanie i czemu coś jest występne. Była prosta i nieuczona, lecz jej myśli często wpędzały go w zdumienie. Choć nie była Żydówką, nie chciała jeść mięsa od świni ani pracować w szabat. Ben Dosa próbował ją odwieść od przyjmowania wiary żydowskiej, lecz ona czyniła wszystko, by stać się jak córka Izraela. Kiedy wyjawiała, że pragnie zostać jego żoną, zrodziło się w nim podejrzenie, że chce zostać Żydówką tylko po to, by go sobie zdobyć na męża. Ale mawiają przecież, że czasem nawet z grzechu wyniknie coś dobrego.

3

To Nosek wymyślił, że ludzie powinni postawić Cybuli dom. W lesie leżą sęgi drzew ściętych przez kobiety. Nie trzeba ich przycinać ani ciosać w czwórgraniaste kłocę, powiedział Nosek. Można je położyć jedno na drugim i powiązać skórzanymi pasami. W obozie są teraz siekiery, piły, strugi, młotki, gwoździe. Zabici wojacy zostawili po sobie konie, które Cybula i Nosek kupili w Mieście, i można ich teraz użyć do zwózki drewna. Kiedy Nosek skończył mówić, wszyscy ludzie, a zwłaszcza dużo liczniejsze kobiety chciały pokazać, jak dobrze i szybko umieją pracować. Kiedy rozpoczęto budowę, Ben Dosa, Nosek, Kora, Czapek i Kułak pracowali ramię w ramię z in-

nymi. Wykopywali glinę i cięli drewno. Łaska zostawiła dziecko u staruszki Milej i przyszła pomóc. Kosooka też chciała się przyłączyć, lecz kobiety odtrąciły ją. Ben Dosa zaraz stanął w jej obronie i powiedział:

– Co macie przeciwko niej? Co złego wam uczyniła? Tora uczy nas, byśmy kochali obcego w swym łonie. Kiedy Król Salomon budował świątynię w Jerozolimie, Król Giram przysyłał mu drzewa jodłowe i rzemieślników z miasta Tyr. Byli to niewierni, którzy pomagali budować świątynię Wszchemogącemu, a Wszchemogący patrzył na ich pracę łaskawym okiem.

– To nie człowiek! – krzyknęła jedna z kobiet. – Ma skośne oczy!

– Skośne oczy są tak samo dobre jak wasze. Wszyscy wywodzimy się od Adama i Ewy.

– Gadaj do nas po ludzku, żebyśmy cię pojęli! – zawołał pewien stary Leśnik.

– A po jakimu do was mówię, po krowiemu?

Przy budowie pomagali nie tylko dorośli, ale i dzieci. Jagoda miała zbyt małe i kruche ręce, żeby coś więcej zrobić, więc Kora przyniosła jej wiadro wody i kazała krążyć między budowanymi i dawać pić spragnionym. Cybula sporządził drabinę i wraz z Noskiem i Czapkiem położył dach. Później mieli zbudować piec, lecz na razie zostawili otwór na komin. Robotnicy sami wpadli w podziwienie nad swym dziełem. Pokazało się, że Ben Dosa i Nosek mają dużą smykałkę do budowy. Dokładnie wiedzieli, gdzie dać drzwi i gdzie wyciąć okno. Położyli mocny zrąb, aby dom nie zapadł się w błoto i nie chwiało na wietrze. Kobiety śpiewały przy pracy, a niektóre bezwstydnie obnażały piersi. Śmiały się gromko i gadały sprośności. Może jeszcze nie zakosztowały owocu z drzewa wiadomości, pomyślał Ben Dosa. Po dziesięciu dniach dom Cybuli był gotów. W obozie jeszcze takiego nie widzieli.

Choć ludzie sądzili, że obóz jest zapomniany od bogów i na wieki zatracony, wraz z wiosną powróciła nadzieja. Pola porosły zbożem. Na drzewach dojrzewały owoce. Kury niosły jaja, a krowy się cielili. Gody Cybuli z Jagodą były wielkim, radosnym świętem, ze śpiewem i tańcami. Do picia był miód, a kobiety napięły obwarzanków i ciast z zeszłorocznej mąki. Świeże ryby z potoka gotowano w glinianych garnkach i pieczono na rozżarzonych węglach. Na weselu Cybula tańczył ze wszystkimi kobietami w obozie, a Kora ze wszystkimi mężczyznami, nawet z głupim Głuptasem. Nowe buty Ben Dosa przydały stopom tych, które je nosiły, smukłości i urody. Wszyscy tańczyli tak raźnie i skocznie, że nawet starcom i kalekom zrobiło się wesoło. Staruszki, które zszywały skóry, naszykowały pannie młodej suknię. Gdy Cybula tańczył z Jagodą, suknia wydymała się i wirowała wokół niej. Niektóre kobiety klaskały, niektóre śmiały się, inne uśmiechały. Weselący się Leśnicy nie zapomnieli wszakże o swych braciach i siostrach, którzy padli z rąk tych zbójców wojaków. Czterech Leśników – lub też Górali, bo tak teraz zwano tych, co przyszli z gór – pochwyciło Cybulę, po czym unieśli go w górę i tańczyli dalej. Kilka kobiet zrobiło to samo z Jagodą. Śpiewano pieśni pochwalne ku czci bogów, bogiń, a także Cybuli, Jagody, Noska. Gromadka dzieci próbowała podnieść Ben Dosę, ale choć mały, był dla nich za ciężki. Obcałowywały go i krzyczały jednym głosem:

– Rebe! Rebe! Rebe!

Ben Dosa położył dłonie na ich głowach i błogosławił im, jakby były dziećmi żydowskimi:

– Oby Bóg sprawił, byście byli jak Efraim i Menasses! A wy jak Sara, Rebeka, Rachela

i Lea.

Obiecał też, że nim nadejdzie zima, poszyje im wszystkim buty.

Kilka kobiet upiło się, a jedna zdjęła suknię i potrząsając piersiami, zapraszała ku sobie mężczyzn. Jeden z Górali zaraz spuścił portki. Cybula kazał przegnać tych, którzy rozniecają w weselnikach zdrożne chęci, lecz było już za późno. Uczucia wzburzyły się ponad wszelką miarę. Mężczyźni, którzy chwilę temu zdawali się starzy i zgrzybiali, teraz gromko krzyczeli, machali rękami i robili miny. Nie wiedzieć było, czy to wszystko z wesela, czy ze smętku. Pijane kobiety padały na siebie, roztrzęsłe od śmiechu albo łkania. Ben Dosa lękał się, że radosna uroczystość przejdzie w burdę. Jedna kobieta pociągnęła go już za brodę i odezwała się do niego obelżywie. Inna zarzuciła mu ramiona na szyję i próbowała obalić na ziemię. Nagle usłyszał, że woła go Kosooka, i ujrzał, że ktoś bije ją po twarzy i szarpie za włosy. Ben Dosa pobiegł i wyrwał ją z rąk napastnika. Wyrzekł po polsku słowa, które wyszły z ust Mojżesza, gdy ten ujrzał, że jeden Żyd napadł na drugie-

go: – Czemuś uderzył brata swego?

4

Cybula nadal królował nieśmiało i wiedział, że bardziej od niego rządzi Kora. Tyle dla niego zrobiła, iż czuł, że musi spełniać wszystkie jej życzenia. Po prawdzie jednak to, o co prosiła, zbiegło się z jego pragnieniami. Bo czegoż ona chce, jak nie tego, by jemu było dobrze, by ludzie bardziej go miłowali? To tak, jakby jej dusza zlała się z jego duszą. Czego on chciał jako mężczyzna, chciała i ona jako kobieta. Czasem mówiła, jakby była na poły mężczyzną, na poły kobietą, jak duchy, babuki, krwiopoję, o których staruszki snuły opowieści przy świetle księżyca.

W dawnych czasach, gdy w obozie było wielu mężczyzn, Cybula każdej wiosny urządzał łowy na grubego zwierza. Ludzie szli do lasu z łukami, strzałami i włóczniami, a wracali, dźwigając niedźwiedzia, dzika, sarnę. Rozpalało się ognisko, odzierało zwierzęta ze skóry i piekło w ogniu. Potem wszyscy wyprawiali huczną biesiadę: jedli mięswo, pili miód, tańczyli do północy albo i dłużej. Choć życiem rodzinnym Leśników rządziły ściśle prawa, w noc wielkich łowów ludzie mieszały się ze sobą jak popadnie, razem śpiewali i tańczyli, a czasem chodzili po dwoje do lasu, aby uczynić zadość pragnieniom swych serc. Mówiło się, że w noc wielkich łowów bogowie są do brodusznymi i wybaczą Leśnikom szaleństwa popełniane w mroku, w świetle gwiazd. Co więcej, wszyscy Leśnicy byli ze sobą spokrewnieni, połączeni splątaną siecią niepoliczonych małżeństw i narodzin, więc nie było szkaradnym występkiem, gdy czasem zespalała się jedna krew.

Kora mówiła Cybuli, że mała liczba mężczyzn to nie powód, by zarzucić zwyczaj wielkich łowów. Cybula ma swój łuk, ma też łuki wielu starszych mężczyzn. Zostało wiele łuków i strzał po zabitych Leśnikach i wojakach, którzy próbowali polować w czas wielkiego głodu zimą. Przemawiając jak nawiedzona, Kora przekonała kobiety, że i one powinny poprobować łowów. Nie trzeba być mocnym, żeby polować, mówiła. Wystarczą dobre oczy i trochę smykałki. Kora sama ubiła już trochę zwierza.

Z początku Cybula tłumaczył, że łowy to rzecz męska, nie niewieścia, gdyż trzeba do tego odwagi, siły, śmigłych i skocznych nóg. Kora nie dała się jednak zniechęcić. Jeżeli na obóz z nagłą napadną wojacy, kobiety będą musiały dać im odpór. Słyszała o obozach, gdzie mężczyźni zostali wyrżnięci, toteż kobiety musiały same się bronić mieczami i włóczniami. Czyż Ben Dosa nie opowiedział im o wieszczce, która rządziła ludem Izraela, a potem powiodła go na wojnę? Czy nie mówił o innej kobiecie, która zabiła wodza nieprzyjaciół i wraziła mu gwóźdź w czoło, gdy leżał u jej stóp? Koniec końców Cybula jej usłuchał.

Gdy Kora obwieściła, że mężczyźni i kobiety pójdą na wielkie łowy pod wodzą Cybuli i Noska, ludzie nie posiadali się z radości. Wszystkie kobiety chciały umieć strzelać z łuku. Nawet dzieci sposobiły się do tego wielkiego dnia. Sklecono dużego luda z patyków i każdy mierzył w niego strzałami i włóczniami. Gdy o wielkich łowach powiedziano Ben Dosie, zaraz orzekł, że to występki. Biblia podaje opowieść o potężnym łowcy Nimrodzie, którego imię wskazuje, że pochodził z tych, co się zbuntowali przeciw Bogu. Ben Dosa ostrzegł dzieci, by nie strzelały z łuku do luda, gdyż rozbudzi to drzemiącą w każdym człowieku okrutność. Lecz Cybula ostrym słowem przywiódł Ben Dosę do porządku, przypomniał mu, że to on jest królem i tylko jego rozkazy znajdują posłuch w obozie. Ludzie nie będą się słuchać jakiegoś boga, który mieszka w Jerozolimie.

Kilka dni później, w czas wielkich łowów, Cybula zdumiał się, jaką smykałkę mają do tego kobiety. W jeden dzień ubito zwierza na więcej niż miesiąc. Nawet strzały wypuszczone przez dzieci z łatwością dobijały celu. Kobiety z dumą niosły na plecach ubite zwierzęta. Dzieci ciągnęły za sobą nieżywe króliki, zajace, a nawet lisa, który nie był dość przebiegły, by uciec z nory. Pod kierunkiem Cybuli kobiety zadzgały nożami i włóczniami wielkiego niedźwiedzia i dzika. Obóz miał taką obfitość mięswo, że niektóre kobiety chciały podarować trochę ułowu Kosooce, ale odmówiła.

Powiedziała, że jest teraz Żydówką i nie może jeść mięsa niedźwiedzia czy świni.

Powiedziała też kobietom, że nadchodzi Szawuot, święto objawienia Tory na górze Synaj.

Kobiety wruszyły ramionami.

– Kiedy on cię tego wszystkiego uczy – w nocy, w łóżu?

– Nie. On mnie nawet nie dotknie.

– A czemu? Bo masz skośne oczy?

– Bo nie jestem jeszcze całkiem Żydówką.

– Kiedy będziesz Żydówką?

– Kiedy zechce Bóg.

– Ben Dosa gada z bogami? – spytały kobiety.

– Jest tylko jeden Bóg. Kobiety potrząsnęły głowami.

– Jak nie będziesz jeść, to umrzesz z głodu.

– Bóg umie wskrzeszać zmarłych – odrzekła Kosooka. Kobiety patrzyły po sobie zdziwione.

Nigdy wcześniej z nią nie rozmawiały. Nosek przywiódł tę skośnooką potworę do obozu jako podarek dla Króla Rudego, lecz Król Rudy jej nie chciał. Jedna z kobiet spytała Kosookę:

– Czemu nie wrócisz do krainy, z której pochodzisz? A Kosooka odrzekła:

– Tam żyją sami poganie. Chcę być tam, gdzie jest Ben Dosa.

5

Ben Dosa przestrzegał wszystkich świąt podług swej własnej rachuby. Początek każdego miesiąca liczył od księżyca na nowiu. Kora skarciła go, że zaniedbuje w takie dni robotę, i zezłościła się, że będzie siedział beczynnie przez dwa dni rzędem, bo po Szawuocie przychodził szabat. Ben Dosa przyrzekł, że to powetuje pracując bez ustanku i nazajutrz nie przerwał roboty nawet po to, by się posilić. Pracował od świtu do zmroku. Dopiero gdy zmówił w warsztacie wieczorne pacierze, powrócił do chaty spożyć potrawy, które przygotowała mu Kosooka. Była to dozwolona mu strawa – warzywa, owoce, pieczona na węglach ryba. Ta kobieta ma świętą duszę, pomyślał. Chce dobrze czynić i stosować się do praw jego ludu. Przyrzekł jej, że jeśli nie ugnie się w swym pragnieniu, by przyjąć wiarę żydowską, uczyni z niej Żydówkę.

Kosooka próbowała go nawet przekonać, że powinni uchodzić z obozu.

– Póki tu jesteśmy, nigdy nie będziemy wolni – mówiła.

– Jesteśmy ich niewolnikami.

Chciała wykraść się nocą z obozu i spotkać z nim na drodze do Miasta, lecz on nie chciał się zgodzić.

– Tu nigdy nie będę mogła przyjąć prawdziwej wiary – przekonywała go Kosooka.

– Będzie tak, jak jest przeznaczone – odrzekł, a ona wybuchnęła płaczem.

Ben Dosa dokończył posiłku, zwałił się utrudzony na łożo i zaraz zmorzył go głęboki sen.

Omam nie zapomniał zmówić wieczornej modlitwy. W snach często cierpiał większe katusze niż na jawie. Teraz znów był na pokładzie kananejskiego statku swych uprowadzicieli. Znów znosił ich okrucieństwo, gdy go biczowali i wydrwiwali. We śnie nawiedziły go też złe duchy. Zbudził się z tej mary złany potem i ochotny do miłości. Poczł, że w nogach coś mu ciąży, i dotknął palcami jakiejś twarzy, głowy, włosów. Ben Dosę zdjął strach. Czy to Lilit opętała go nocą? Albo Szibta? Naama?

– Ktoś jest? – zawołał.

W odpowiedzi usłyszał:

– To ja, Kosooka.

Ben Dosa skoczył na nogi, a z gardła dobył mu się chrapliwy jęk.

– Cóżżeś uczyniła?

– Jestem Rut, twoja służebnica – odrzekła.

Ben Dosa zadrżał. Przed świętem Szawuot opowiedział jej historię Booza i Rut, a teraz Kosooka poszła jeszcze dalej niż Rut, która legła przy Boozie, swym wykupicielu. Wstał, a pot lał się z niego strumieniami.

– Szkaradziejstwo! Wszeteczeństwo!

– Odkup mnie, mój Booze – powiedziała Kosooka. – Przebaczone, że odkryłam twe stopy, panie mój.

Wzniósł pięść, by ją uderzyć, lecz potem opuścił. Drżał cały i słyszał, jak mu zęby klekoczą. Ta tatarska dziewczka, którą chciał wprowadzić do żydowskiego stada, przywiodła go do występku. Przypomniawszy sobie zdanie z Gemary: „Kto weźmie sobie Aramitkę, na tego zasadzą się gorliwcy”. Z oczu pociekły mu gorące łzy i sparzyły lice. Zaprawdę zbłądził, mówiąc jej tę świętą opowieść. Zakrzyknął:

– Ladacznica! – W gardle mu się ścisnęło i jął się dławić.

– Chcę być twoją Rut.

– Czynisz jak Orpa, nie jak Rut, albo jak Kozbi, córka Zura, którą przebił święty Pinchas.

– Chcę być twoją żoną!

– Precz! – Złapał ją za szyję i wypchnął z chaty. Upadła z łomotem na ziemię. Ben Dosa potknął się na kamieniu i łupnął głową we framugę drzwi. Nie wiedział, czy większą czuje boleść na duszy, czy na ciele.

Kulejąc wrócił do chaty. Mam nadzieję, że jej nie zabiłem, dręczył go jakiś wewnętrzny głos. Nim doszedł do łoża, ugięły się pod nim kolana i upadł na podłogę.

– Ojciec na niebie, zabierz mnie... – modlił się.

Przed świtem, gdy Kora wyszła z chaty Cybuli, by wdychać chłodne poranne powietrze i skąpać piersi w rosie (skóra wtedy mniej wędnie od starości), z daleka ujrzała, że koło chaty Ben Dosa ktoś leży na ziemi. Ostrożnie podeszła ku chacie. Była to kobieta, leżała twarzą w dół, z rękami i nogami na boki jak u trupa. Kora obróciła ją i poznała, że to Kosooka. Twarz miała umorusaną błotem, a oczy zawarte. Kora podniosła ją bez trudu, bo była wiotka i lekka jak dziecko. Czy to może, że Ben Dosa wyrzucił ją z chaty? Czy ktoś z obozu ją zgwałcił? Kora nie chciała budzić Cybuli, więc sama na poły zaniósł, na poły zawlokła dziewczynę do zgorzałej chaty, gdzie dawniej żyła ze swym mężem Kostkiem i dalej miała tam legowisko. Zwilżyła dłoń w rosie i przytknęła Kosooce do ust.

Dziewczyna zadrżała i otworzyła dwoje szparkowatych oczu. Kora spytała:

– Napadł cię ktoś? Zgwałcił? – Wylała Kosooce na kark dzban wody i potarła dłońmi skroń. Dziewczyna dalej drżała. – Co się stało? – spytała Kora. – Kto ci to zrobił?

Pomogła Kosooce usiąść i złapała ją za ramiona, żeby się z powrotem nie omsknęła. Krzyknęła:

– Kto ci to zrobił? Gadaj, odpowiedz mi!

Kosooka nie odpowiedziała. Kora biła ją po twarzy i szarpała za nos, tak jak się robi z mdlejącymi. Z gardła Kosooki dobyło się westchnienie i chrobot.

– Kto cię uderzył?

– Nikt.

– Pijana byłaś, czy co?

– Nie.

– Czemuś leżała koło chaty Ben Dosa?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Chodź ze mną.

– Gdzie? Nie, nie!

– Już my znamy twoje podstępki – powiedziała Kora.

– Nasz Król Cybula i knez Nosek przywieźli cię z Miasta do roboty, a nie na figle z Ben Dosą. Nasz król poślubił moją córkę i potrzeba im kogoś do posługi. Będziesz mieszkała u nich w chacie i robiła, co ci każą. Wojaków już nie ma i myśmy tu teraz władcy. Jeśli nie będziesz służyć, to cię porąbiemy i damy psom na pożarcie.

– Puść mnie.

– Chodź ze mną, bo zginiesz – powiedziała Kora. Złapała Kosookę za włosy i przycisnęła twarzą do podłogi.

– Jestem matką królowej i mogę z tobą zrobić, co mi się podoba. Kto cię rzucił w błoto?

– Nikt.

– Pytam się: kto?

Kora jedną ręką trzymała ją za włosy, a drugą biła po twarzy. Dziewczyna dalej milczała. Korze przyszło do głowy, że z Kosooki byłaby godna ofiara dla bogów.

Kosooka wczepiała się stopami w ziemię, a Kora wlokła ją za sobą. Kiedy tak nią poniewierała, z Kosooki spadła sukienka. W nocy był deszcz i zrobiło się błoto. Kosookę zmogły zduszone łkania i jęki. Drzwi pobliskich chat zaczęły się otwierać, powyłaziły na pół nagie kobiety i gapiły się zaspanymi oczyma. Jedna zakrzyknęła:

– Ladacznica z Miasta!

– Nie chcemy już tej cudzej szumowiny – powiedziała Kora. Wzbudziła w sobie gniew. Zwyczajem obozowym było, by ludziom składanym w ofierze dawać najlepsze jedło, otaczać czułością, miłością, lecz milczenie Kosooki wznieciło w Korze chęć, by skończyć z tą dziewczyną, która nie miała w obozie nikogo i nikt nie chciał wziąć jej do siebie. Ktoś pobiegł zbudzić Cybulę, który wyłonił się bosy z chaty.

– Co się dzieje?

– Zabiję ją! – wrzasnęła Kora. – Nie trzeba nam w obozie Tatarów. Jesteśmy Leśnikami, a nie Polakami albo Żydami.

– Kora, puść ją!

– Jak ją chcesz, to ją sobie weź! – Kora uniosła nogę i kopnęła Kosookę w twarz. Otworzyło się jeszcze więcej drzwi. Wyszedł z chaty Ben Dosa, też bosy. Chwiał się na nogach i trząsł.

– Co się stało?

Kiedy ujrzał Kosookę, rozpostarł ramiona i z ust dobył mu się straszliwy krzyk:

– Sodoma i Gomora!

Przybysz o płowych włosach

1

Miesiąc, który zwali teraz czerwcem, był gorący, lecz wieczorami wiał chłodny wiaterek. Śnieg na szczytach gór już stopniał. Po zboczach toczyły się zmieszane ze śniegiem i lodem kamienie, które wywracały drzewa i zasypywały ścieżki w dolinie. Dawno, dawno temu Leśnicy wierzyli, że za górami mieszka plemię bogów olbrzymów, którzy mają dwie albo trzy głowy, jedno oko na czole i czworo rąk. Teraz Leśnicy wiedzieli, że za górami mieszkają Czesi – tacy sami ludzie jak oni, nawet mowę mają podobną. Czesi czcili innych bogów, a ich władcy też zwali się królami. Czesi uprawiali ziemię i jedli chleb na długo przed Leśnikami. Zdarzyło się czasem, że któryś się zaplątał do obozu. Jeśli obcego zaraz nie zabito, zapadał w chorobę i marł.

W samym środku lata w górach padał śnieg, czasem grad, a nocą było tak zimno, że palce u rąk i nóg zaraz grabiły. Ze szczytów wiał wicher. Boginie wyciągały się na łożach z obłoków i splatały sobie nawzajem włosy w warkocze, uwodziły mężczyzn w swe ramiona, po czym strącały ich w dół. Lecz w dolinie nastały ciepłe dni. Widać bogowie zesłali swe dobrodziejstwa na pola i ogrody, a także na lasy, gdzie rojno było od borówek, porzeczek i wszelkich grzybów. Wokół każdego kwiatu huczały pszczoły i spijały z kielicha sok i wonność, z których miał być później miód. W polach pieniały się różne chwasty, a kobiety obowiązane były pielnić je codziennie. Wszyscy wiedzieli, że tak samo jak trujące grzyby i jagody, chwasty rosną z rozkazu złych bab i dziadów. Przy pracy w polu kobiety żartowały, plotkowały, pokazywały sobie wzajem brzuchy, piersi. Wojacy zostawili wiele z nich brzemieniami, a stare jędze przepowiadały, że z ich łona wyjdą szponiaste potwory z kłami i ogonami.

Ubiegłego roku Kora dopóty nagabywała Cybulę, dopóki nie przyrzekł, że do wiosny Jagoda będzie brzemienna. Kiedy dziewczynie ustało miesięczne krwawienie, Kora zaczęła wieszać jej na szyi czarodziejskie przedmioty, aby urodził się chłopiec. Postanowiła nazwać dziecko po swoim mężu Kostku, choć zdradzała go zarówno swymi lekkimi obyczajami, jak i pożądaniem Cybuli. Chciała tym sposobem obłaskawić ducha Kostka, aby chłopcu nie stała się jakaś krzywda. Jeszcze mocniej postanowiła, że złoży się Babie Jadze ofiarę z Kosooki, aby obłaskawić bogów przed narodzinami wnuka Kory.

2

Na krótko przed żniwami w obozie powstało wielkie poruszenie. Wśród nich pojawił się bowiem obcy. Nie był to przekupień z miasta, który nosi towar w sakwie na plecach, lecz człowiek ubrany jak kneź, pan, albo i król. Był wysoki, młody, postawny, brodę miał płową, nosił długi płaszcz, czapkę z piórami i buty z ostrogami.

Przyjechał na białym koniu, a siodło miał zdobne chwaś–cikami. Twarz miał chudą i bladą, oczy modre. Cały obóz wyszedł mu na powitanie.

Kiedy obcy przybył do obozu, Ben Dosa pogrążony był we śnie, lecz zbudziły go głośne krzyki. Gdy ujrzał uroczyście podejmowanego gościa, przeszło go drzenie. Może to Mesjasz? Ale Mesjasz przyjechałby na osiołku, nie na koniu, i byłby biedny, w łachmanach, a nie bogato wystrojony. Wszyscy wyszli powitać obcego, który czekał, aż się wokół niego zgromadzą. Siedział na koniu, wysoki i niemy, cierpliwy jak król, który wie, że ludzie czekają jego słów.

Cybula był boso. U boku konia i jeźdźca bardziej był podobny niewolnikowi niż królowi. Poprosił obcego, by zsiadł z konia, lecz ten odrzekł:

– Nie zejde, póki nie usłyszycie, z czym do was przyjechałem.

Po polsku mówił jeszcze inaczej niż ludzie z Miasta. Głos miał głęboki, a zarazem dźwięczny. Gdy Cybula przedstawił się jako król, obcy powiedział:

– Pokój z tobą, królu, lecz ja przybyłem do was w imieniu Króla wszystkich królów, Króla całego świata.

Przychodzi od Boga, pomyślał Ben Dosa, wysłaniec Boży. Poczł chęć, by paść na kolana i pokłonić się temu wielkiemu człowiekowi, lecz pohamował się. Tylko Stwórcy należy oddawać cześć, nie jego wysłańcom. Po chwili gość przemówił:

– Bracia Polacy, słyżałem o was, o waszych niedolach i cierpieniach. Przybywam do was z nowiną od Boga i syna jego jednorodzonego Jezusa Chrystusa, który umarł na krzyżu za nasze grzechy, abyśmy weszli do królestwa niebieskiego.

Ben Dosa zatrzęsł się cały. Chciał krzyknąć: „Kłamca, zdrajca, wysłaniec Szatana!”, ale w gardle zrobiła mu się gruda i nie mógł ani mówić, ani przełknąć śliny. Panie Wszechświata, duszę się, pomyślał. Niech moja śmierć obmyje mnie z grzechu. Kolana mu drżały i z ledwością stał na nogach. Złapał kogoś za ramię, by nie upaść. Cybula odczekał chwilę, po czym przemówił:

– Gość w dom, Bóg w dom. Zejdz z konia, panie, czym chata bogata, tym rada.

– Dzięki ci, królu. Pozdrawiam cię w imieniu naszego nauczyciela, którego nowina rozeszła się po wszystkich zakątkach świata, wbrew pogańskim zaprzańcom i tym, co nienawidzą prawdy, a kochają fałsz.

Mówiąc te słowa gromko i powoli, obcy zsiadł z konia. Ponieważ obcy mówił jak człowiek uczony, bo twierdził, że jest tylko jeden bóg, i w pogardzie miał pogaństwo, Cybula pragnął go zapoznać z Ben Dosą. Lecz Ben Dosa zniknął. Ludzie widzieli go, jak biegnie w stronę pola, ku lasom. Cybula krzyczał za nim, żeby wrócił, lecz Ben Dosa nawet się nie obejrzał. Stojąc pośród nich, obcy wygłosił kazanie. Z tego, co zrozumiał Cybula, obcy – który się zwał Biskup Mieczysław – służył temu samemu bogu, co Ben Dosa. Jego bóg też się objawił w dalekim mieście Jerozolimie. Jego nauki też zapisane były w księdze. Obcy zwał tę księgę „Biblią”.

Po kazaniu Cybula zaprosił go do swej chaty. Kiedy wspomniał, że w obozie jest człowiek, co zwie się Ben Dosa, szewc, nauczyciel, co umie czytać i pisać i jest Żydem, Biskup Mieczysław spytał:

– Który to jest? Ten z czarną brodą, co uciekł?

– Tak, to on.

– Żydzi zabili Boga. Powiesili go na krzyżu – powiedział Biskup Mieczysław. – Są przekłeci tu na ziemi i nigdy nie odziedziczą królestwa niebieskiego.

– Można zabić boga? – spytał Cybula.

– Jego Ojciec na niebie zesłał go na ziemię, by przez swoją śmierć zgładził grzechy świata – odrzekł biskup.

– Ojciec chciał, żeby mu zabili syna? – spytał Cybula.

– Bóg przyrzekł przez swych proroków, że jego syn przyniesie nową Torę, lecz Żydzi, co zbuntowali się przeciw Bogu i wymieniali pieniądze w świątyni, przeinaczyli słowa proroka. Zaprzeczyli cudom, których dokonał Jezus Chrystus, a jeden z nich, kłamca i zdrajca, udawał wierne go ucznia Jezusa, po czym zdradził go za trzydzieści srebrników i oddał w ręce pogan.

– Gdzie są poganie – w Jerozolimie? – spytał Cybula.

– Nim Bóg posłał swego syna, wszystkie narody oddawały cześć bałwanom – odpowiedział

Biskup Mieczysław. – Lecz kiedy ujrzeli prawdę, wielu z nich zniszczyło ołtarze, na których składali ofiary z ludzi, wygnali ładacznice i fałszywych proroków ze świątyń, strzaskali bałwany. Tylko jeden naród zaparł się i zbuntował – Żydzi.

– Czy Ben Dosa zabił Boga? – spytał Cybula.

– Nie on sam. Jego lud to uczynił.

– Kiedy oni zabili Boga?

– Bardzo dawno temu. Kilkaset lat.

– To Ben Dosa jest taki stary?

– Nie, lecz zrodzony jest z ich nieczystego nasienia.

Im dłużej obcy mówił, tym większe ogarniało Cybulę zdziwienie. Nosek też chyba wpadł w pomieszenie. Cybula spytał:

– Panie Mieczysław, czy wasza Biblia jest napisana po polsku?

– Nie, po łacinie.

– Czy to mowa Niemców?

– Nie, Rzymian.

– To Bóg jest też w Rzymie?

– Bóg jest wszędzie.

– Czy Bóg jest wszystkim?

– Bóg wszystko stworzył – niebiosą, ziemię, słońce, gwiazdy.

– To samo mówi Ben Dosa – wtrącił się Nosek.

Kora, która słuchała w milczeniu, spytała biskupa:

– Czy Bóg ma żonę?

Obcy nie odpowiedział od razu.

– Nie. Posłał swego świętego ducha do Marii, żony Józefa i poczęła z niego, i porodziła syna, dokładnie tak, jak przepowiedział prorok Izajasz.

– W Jerozolimie? – spytał Cybula.

– Nie, w Betlejem.

– Gdzie jest Betlejem?

– W ziemi świętej, którą Bóg dał Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi.

– Mam kazać poszukać Ben Dosa, abyście mogli pomówić o bogach jerozolimskich? – spytał Cybula.

Obcy zamyślił się, nim odpowiedział.

– Żydzi to naród krnąbrny. Dlatego Bóg rozproszył ich po wszystkich krainach i przegnał od swojego oblicza. Pokazać im wieszczby ich własnych proroków, a oni przeinaczają je i wykoślawiają.

– Ben Dosa nauczył nasze dzieci pisać kredą, a co rano odmawia z nimi modlitwę. Mówi, że szabat to dzień święty – powiedział Cybula.

– Czego on uczy dzieci? Taki człowiek jak on może swymi słowami wsączyć w ich dusze truciznę. Może ich nauczyć bluźnierstwa przeciw Bogu. Ja bym mu nie zawierzał duszyczek dzieci.

– On im opowiada ciekawe historie – powiedziała Kora.

– Wydają się ciekawe, lecz może być w nich wiele kłamstw. Żydzi zabijali swoich własnych proroków. Zabili proroka Zachariasza, a proroka Jeremiasza wrzucili do dołu – powiedział Biskup Mieczysław.

– My jesteśmy prosty lud – powiedział Cybula. – Nie umiemy czytać ani pisać. Kiedy napaśli nas wojacy, bogowie nie byli z nami i większa część naszych ludzi poległa. Później wojacy zaczęli się wzajem zabijać, aż się zdarzyło, że ja zostałem królem. Teraz jest nas mała gromadka kobiet, dzieci i starców. Każdego dnia mogą przyjść nowi nieprzyjaciele i zetrzeć nas wszystkich w proch. Dlatego żyjemy tylko nadzieją. Po co przyszedłeś do nas, Biskupie Mieczysławie?

– Przyszedłem nauczyć was służby prawdziwemu Bogu, pokazać wam drogę miłości.

– Miłości?

– Nauczycie się wzajemnie miłować, a nawet miłować waszych nieprzyjaciół.

– Próbowaliśmy zawrzeć ugodę z naszymi nieprzyjaciółmi, bo dali nam nasiona i nauczyli nas orki i siewu – powiedział Cybula. – Lecz oni zabrali nasze plony na wyrób odbierających ro-

zum trunków. Wtargnęli do naszych chat i namiotów i napadli nasze kobiety i dzieci. Ich dawny król, Król Rudy, nadal mieszka z nami. Wziął sobie za żonę moją córkę, lecz już się z nią nie pokłada. Bardziej z niego zwierż niż człowiek. Kora, matka mojej żony – kobieta, którą widzicie przed sobą – chce złożyć ofiarę Babie Jadze, lecz ja nie wierzę, że to nam pomoże.

Biskup nastawił uszu.

– Jaką ofiarę?

– Dziewczynę z dalekich stepów na krańcu świata.

– Cybula, to jest tajemnica – powiedziała Kora.

– To już nie jest tajemnica.

– Baba Jaga to nie bogini, lecz diablica, żona Lucyfera – powiedział Biskup Mieczysław. –

A ofiara z ludzi to występki. Tak robią poganie, a nie ci, co wierzą w Boga i jego syna Jezusa. Takie były nikczemne obyczaje Asyrii i Babilonu, co służyły Baalowi i Astarte. Żydzi także dopuszczali się tego występku. Wrzucali swoje własne dzieci w ogień Molocha na ofiarę czartom, czcili bałwany, uprawiali czary i łajdaczyli się pod drzewami. A kiedy Bóg zesłał im syna swego jednorodzonego, dali fałszywe świadectwo przeciw jego naukom i umęczyli go. Lecz on wstał z martwych – jego grób był pusty, bo żyje i żyć będzie na wieki wieków. Amen.

– Gdzie on mieszka, w Jerozolimie? – spytał Cybula.

– Ze swym ojcem w niebie.

3

Wieczorem biskup poszedł wcześniej spać. Cybula dał mu pustą chatę po wojakach. Cybula obawiał się, że biskup nie zechce spożywać z nimi wieczornego posiłku – tak jak wcześniej uczynił to Ben Dosa. Biskup wyjaśnił jednak, że w nowym przymierzu, które Bóg zawarł z wiernymi, zniósł on ustami Jezusa i jego uczniów stare zakazy. Chrześcijanin nie musi być obrzezany, może jeść mięso świni i może rozniecać ogień w szabat. Cybuli spodobało się to.

– Czemu człowiekowi miałyby ciążyć tyle trudnych przykazań? – spytał tej nocy w łóżu Korę. – Bóg biskupa jest dużo mędrszy od boga Ben Dosy.

Ale Korę ubodły gwałtowne słowa Biskupa Mieczysława przeciw ofiarom z ludzi.

– Może to szpieg? – powiedziała.

– Czyj szpieg?

– No, tych panów, co grabią całą ziemię dla siebie, a innych ludzi biorą w niewolę.

– Jeśli panowie chcą naszej zguby, nie trzeba im szpiegów. Wystarczy, że przyjdą ze swym wojskiem i zetrą nas w proch. Sama o tym dobrze wiesz.

– Może przychodzi od nich, byśmy się poddali bez walki – odrzekła Kora.

Gadali przez godzinę. Pierwsza jak zawsze usnęła Jagoda. Na uczcie, którą Cybula wydał dla gościa, suto jedli i pili miód, toteż Cybula i Kora wkrótce zapadli w głęboki sen. Północ była, kiedy Cybula się zbudził. Cichcem wstał i wyszedł na dwór, na nocny chłód. Niebo zawisło nad obozem zdobne gwiazdami. Kiedy patrzył, jakaś gwiazda ruszyła ze swego miejsca i popędziła przez niebo, a za nią ciągnął się ognisty ogon. Każdego razu, gdy Cybula wznosił oczy ku gwiazdzystemu niebu, był od nowa zdziwiony. Co tam się dzieje wysoko w niebiosach? Pamiętał z dawnych lat, że więcej gwiazd lata po niebie latem niż o każdej innej porze. Ale dlaczego tak się dzieje? Cybula słyszał o uczonych w gwiazdach, którzy umieli przepowiedzieć z gwiazd, czy jakiś król wygra bitwę czy przegra, czy chory człowiek ozdrowieje czy zemrze, czy jakaś żona będzie wierna czy pójdzie w cudze łóżo. Ale skąd gwiazdy wiedzą to wszystko zawczasu? Ech, tyle na świecie dziwów, tyle zagadek.

Zaczął iść. Cykały świerszcze, a na ziemi kropiła się rosa. Od bagniska opodal szło kumkanie żab. Kiedy Cybula przechodził obok chaty Ben Dosy, ujrzał słabe światło w środku i zatrzymał

się. Usłyszał jakiś głos. Czy Ben Dosa gada do siebie? Nie, odmawia modlitwę do swego boga. Ale jakże może się modlić do boga, którego zabił? Cybula otwarł drzwi i ujrzał, że Ben Dosa zawinął się w długą szmatę, a głowę posypał popiołem, jak żałobnik. Kiedy Ben Dosa ujrzał Cybulę, zamilkł. Cybula zapytał:

– Do kogo mówiłeś, do siebie czy do swego boga?

Ben Dosa zawahał się. Przytknął palec do ust na znak, że nie wolno mu mówić, póki nie dokończy modlitwy. Ale Cybula nie znał tego obyczaju. Zawołał:

– Zapomniałeś języka w gębie?

– Nie, mój królu. Modlę się do Boga.

– W środku nocy? Może twój bóg śpi, a ty go budzisz – powiedział Cybula.

– Nie, mój królu. Powiedzione jest: Bóg nie drzemie ani nie śpi. Ma pieczę nad Izraelem.

– Kto to jest ten Izrael?

– Ojciec Żydów zwał się Jakub, lecz Bóg przezwał go Izrael i imię to noszą wszystkie dzieci i wnuki Jakuba.

– Czy Jakub jeszcze żyje?

– W niebie, nie na ziemi.

– Czy on jest synem bożym, którego Żydzi zabili?

– spytał Cybula.

Ben Dosa zdumiał się.

– Nie, nie. Ten, którego niby zabili Żydzi, zwał się Joszua, nie Jakub. Grecy skrybowie przemienili jego imię na Jezus, a Chrystus to greckie słowo na Mesjasza. Ale Joszua nie był Mesjaszem. Nie Żydzi go zabili, lecz Rzymianie, ci sami Rzymianie, którzy zburzyli naszą świątynię.

– Biskup, który zawitał dziś do nas, powiedział, że Jezusa zabili Żydzi.

– To nieprawda, mój królu. Jak można zabić Boga? A gdyby był synem Boga, jakże Bóg dozwoliłby, żeby go zabili? Prawda jest taka, że Joszua był synem cieśli Józefa i jego żony Miriam. Gdy doszedł wieku męskiego, ogłosił się synem Boga. Cuda gwoli zdobycia wyznawców nie z pomocą Bożą, lecz czarami czynił. Nie uznał Tory i jej przykazań. Nie siedzi teraz w rajku, lecz smaży się w ognach piekielnych.

– Gdzie jest piekło? W niebie?

– Piekło jest siedmioro – powiedział Ben Dosa.

– Byłeś tam i widziałeś na własne oczy?

– Nie, mój królu, ale Żyd, który nie uznaje Tory, skończy w piekle.

– Biskup mówi, że Bóg dał nową Torę.

– Tora na wieki będzie tą samą Torą, tak jak Bóg na wieki będzie tym samym Bogiem.

Cybula zmarszczył brwi.

– Skąd wiesz, że ty masz słuszość, a nie biskup? Może jest na odwrót?

– Nie, mój królu. Nie jest na odwrót. Mówią, że ich Jezus jest Mesjaszem. A jak on może być Mesjaszem, skoro Żydzi rozsiani są po całym świecie, a Jerozolima leży w gruzach? Kiedy przyjdzie Mesjasz, Bóg zawezwie rozproszone i ciemżone plemiona Izraela ze wszystkich stron świata i odbuduje świątynię, a sprawiedliwi usiądą w koronach na głowach i pławić się będą w chwale Szekiny.

– Kto to jest Szekina?

Ben Dosa namyślił się chwilę.

– Kiedy Bóg gniewa się na Żydów, przychodzi Szekina i jak dobra matka wstawia się za nimi. Prosi Boga, by był cierpliwy i łaskawy.

– Posłuchaj mnie, Ben Dosa. Nie życzę ci źle. Uczyniłeś dla obozu wiele dobrego. Nauczyłeś nasze dzieci czytania i pisania. Posyłałeś nam wszystkim buty. Lecz teraz jest lato i dzieciom nie w głowie nauka. Przyrzekłem ci, że jeśli zechcesz puścić się w drogę do dalekich miast, aby szukać świętej księgi, ja dam ci złota i srebra na podróż. Teraz gotów jestem przyrzeczenia dotrzymać.

Lecz pierwszej musisz powiedzieć mi prawdę. Co się zdarzyło między tobą a Kosooką? Kora ją znalazła na poły umarłą koło twojej chaty. Uderzyłeś ją?

Ben Dosa spuścił głowę.

- Mój królu, wolę o tym nie mówić.
- Jestem twoim królem i moje słowo jest prawem. Bądź mi posłuszny i wyznaj prawdę.
- Uczyniła coś złego. Przeciw mej woli uczyniła mnie nieczystym.
- Kiedy ją gwałciłeś?
- Nie, kiedy spałem.

Cybula zarechotał.

- Jakże to być może?

Ben Dosa wszystko Cybuli opowiedział.

- I sądzisz, że zagniewało to twój boga?

- To jest przeciw Torze.

– Skąd Tora wie, co czyni Kosooka w środku nocy? Jutro Biskup Mieczysław przemówi znów do ludzi. Jeśli chcesz, przyjdź i powiedz mu, że twój bóg lepszy od jego boga. Ale uważaj, byś go nie znieważył, to nasz gość. Kiedy pragniesz wyruszyć na poszukiwanie swej świętej księgi, teraz czy po żniwach?

- Kiedy tylko mój król zapragnie, bym poszedł.

- Gdzie można ją znaleźć?

- Nie wiem. Słyszałem, że w Rzymie są Żydzi i skrybowie, którzy piszą księgi.

- Gdzie jest Rzym?

- Daleko, daleko stąd.

- Jak długo zajmie ci podróż?

- Nie wiem. Wszystko jest w rękach Boga.

– Kiedy do nas powrócisz, może nie zastaniesz nikogo z nas przy życiu – powiedział Cybula. – Biskup Mieczysław jest może wysłańcem panów, co grabią dla siebie ziemię i biorą w niewolę tych, co ją uprawiają. Zaczekaj, aż przejdą żniwa. Nigdy nie będę niczym niewolnikiem. Lepsza śmierć niż niewola. I tak wszyscy umrzemy. Nie ma innych bogów prócz Śmierci, boga śmierci.

- Opuść mi, mój królu, lecz Bóg prawdziwy jest Bogiem życia, nie śmierci.

– Nieprawda. Człowiek żyje trochę lat, po czym umiera na wieki. Człowiek żyje w trwodze: zabijają go, zachoruje, złamie sobie nogę, żona nie dochowa mu wiary, dzieci się utopia, dom zgorzeje. Lecz rzeki, góry i drzewa o nic się nie martwią. To one są bogiem, a nie ten, co siedzi na niebiosach i mówi: „Nie jedz świni, nie śpij z Kosooką”. Dobrej nocy.

- Dobrej nocy, mój królu.

Cybula wyszedł z chaty i miał wrócić do domu, do Jagody i Kory, lecz pragnienie snu opuściło go. Coś ciągnęło go za to ku polu i poszedł w tę stronę. Wiał chłodny wiaterek, Cybula oddychał głęboko. Ogarnęła go chętka, by dać nura w pszenicę, położyć się wśród kłosów i leżeć tam po wieczne czasy. Jak by to było dobrze, pomyślał, gdyby wszystko zostało tak jak teraz – ciepło, świeci srebrzysty księżyc, szemrze wiaterek. Po drodze Cybula przestępował przez końskie i krowie kupy, odchody świń, kozie bobki. Lecz i tak zwierzęta są mniej brudne niż człowiek. Jeśli Ben Dosa ma słuszność, człowiek dostał rozum ku myśleniu, ku rozróżnianiu, co jest dobre, a co złe, co jest prawda, a co nieprawda, co jest Bóg, a co Szatan.

- To wszystko zmyślane – mruknął do siebie Cybula. – Nic, tylko łgarstwa.

4

Czy mu się zdaje, czy ktoś śpiewa? Tak, był to głos kobiety, zawodził i biadolił bez przestanku, jak przy grzebaniu czy paleniu zmarłych. Cybula stanął jak wryty.

Któż to może śpiewać pośrodku nocy? Jakaś mara czy nieboszczyk, który nie znalazł odpocznienia w mogile? Cybula nie wierzył w te gusła, lecz pomimo to zdjęła go trwoga. Zdawało mu się, że głos jest znajomy, lecz do kogo należy? Do jednej z obozowych służebnic? Księżyc jasno

oświecał obóz, lecz Cybula nie dostrzegwał nikogo. Wyteżył uszy. W głosie było błaganie, cierpienie. Nareszcie Cybula się dosłuchał, że śpiew dochodzi zza jakiejś ściany. Może z chlewa? Każdego wieczora, po zagonieniu świń do chlewa, drzwi były ryglowane od zewnątrz. Kiedy Cybula odeknął drzwi, ujrzał Kosookę. Siedziała na klepisku, naga, w gnoju, przysnurowana do krokwi dachu. Gapiła się na stojące w drzwiach Cybulę i drżała. Wreszcie krzyknęła:

– Król Cybula!

– Kosooka! Co ty tu robisz?

Wstała i zrobiła krok ku niemu, wlokąc za sobą sznur. Wszędzie były świny, stały albo leżały na klepisku. Kosooka powiedziała:

– Tak, królu, patrz, co ze mną uczynili.

– Kto to uczynił?

– Kora.

Cybula spytał:

– Kiedy cię tu Kora przywiodła?

– A bo ja wiem? Przedwczoraj? Nie pamiętam. Przyniosła mnie tutaj, dwie starszki jej pomagały. Krzyczałam, ale zatykały mi usta. Czego one ode mnie chcą? Nic nie zrobiłam!

– Dobrze, że cię naszło, żeby śpiewać w środku nocy, bobym cię tu nigdy nie znalazł.

– Pamiętam dawne czasy. Królu, ja nie chcę żyć. Proszę, bądź dla mnie dobry, zabij mnie.

– Nie, nie, nie. Czekał, rozwiązę cię. Nie wiedziałem, że Kora jest taka okrutna. Czekał!

Cybula chciał oswobodzić Kosookę, lecz sznur był cały powęźlony. Smród w chlewie był nieznośny. Cybuli zrobiło się niedobrze. Ręce i nogi miał całe w gnoju. Zatrzęsła nim wściekłość na Korę. Zabiję ją! Zachłoscę na śmierć! – poprzysiął sobie.

– A te dwie starszki, to które? Jak się zwą? – spytał.

– Nie wiem. Nie pamiętam. Biły mnie, podbiły oko. Nic nie widziałam. Gdzie jest Ben Dosa?

Po długich wysileniach Cybula rozwiązał sznur. Słońce zaczynało wschodzić. Świny chciały uciec przez otwarte drzwi, lecz Cybula odkopał je nogą. Do chlewa wleciała pąsowa ranna zorza, w której blasku Kosooka i świny wyglądały jak zbroczone krwią. Serce Cybuli napełnił strach. Jaka brzydka śmierć, pomyślał, zostać zatratowanym przez świny. Szybko wyszedł z chlewa z Kosooką i zamknął drzwi na rygiel.

– Chodź ze mną do potoka. Trzeba nam obojgu obmyć się z brudu.

Popychany gniewem Cybula biegł pędem do potoka. Poranek wstał czysty i jasny. Ptaki śpiewały, kwiliły, ćwierkały. Kwiaty rozwarły stulone na noc płatki, a ich woń pomieszała się w nozdrzach Cybuli z zapachem jego własnego ciała. Cybula przypomniał sobie, że Kora już nieraz była okrutna. Gdy zarzynała kurę, kaczkę, królika, brała ją wściekłość, jakby się mściła za jaką krzywdę. Podczas ich nocnego gadania często podburzała go, by zabił ich nieprzyjaciół, lecz Cybula myślał, że Kora chce tylko pobudzić w nich obojgu żądze. Kobieta i mężczyzna różne rzeczy opowiadają, gdy się podochocą. Lecz teraz już wiedział, że Kora to chciwy krwi zwierz.

Cybula doszedł do górskiego potoka i dał nura w wodę. Ponieważ potok zrodził się ze śniegów na szczytach, woda była zimna jak lód. Cybuli na chwilę zapało dech, ale zaraz zaczął pływać, pluskać się, nacierać ciało. To samo robiła Kosooka. Cybula zostawił w chlewie przepaskę na biodra i tak jak Kosooka był nagusieńki. Kątem oka ujrzał mokre ciało Kosooki. Było jędrne, smagłe, piersi miała małe, sutki spęczniałe. Zimna woda nieraz chłodzi zapały, lecz Cybula pożądał Kosooki. Wyszedł z wody, by ogrzać się w słońcu i dał znać Kosooce, by położyła się koło niego. Ona jednak została w wodzie i raz po razie zanurzała się, niby że chce umyć włosy. Czasem miała głowę pod wodą przez długi czas, jakby się próbowała utopić, lecz w końcu zawsze wyskakiwała na wierzch. Słońce wstawało na niebie i ogrzewało Cybulę.

Kosooka dalej pluskała się w rwącej wodzie, gdy Cybuli nagle przyszło do głowy, że nie powinien był zostawiać przepaski na biodra w chlewie. Poznają, że to jego, a tak nikt by się nie dowiedział, iż to on oswobodził Kosookę. Cybula dobrze wiedział, że kobiety w obozie – a może nawet i mężczyźni – pragnęły ofiar. Jak ktoś dozna krzywdy, zawsze sobie to odszkoduje na innych. Kosooka wylazła z wody – umyta, szczupła i zwinna jak łania. Choć wcześniej postanowił, że po-

zwoli jej uciec, Cybula dał jej znak, by podeszła ku niemu. Kosooka stała bez ruchu i patrzyła na niego. Po chwili Cybula zbliżył się ku niej i powiedział:

– Chodź ze mną za tę kępę drzew.

Kosooka zawahała się.

– Nie, królu, nie mogę pójść z tobą.

– Czemu nie?

– Bo chcę być żoną Ben Dosa.

– Ben Dosa cię nie chce. Wyrzucił cię ze swej chaty – powiedział Cybula.

– Czeka, póki nie zostanę Żydówką. Dlatego...

– Chodź ze mną. Ben Dosa rusza w świat szukać jakichś świętych tablic. Może nigdy nie wróci. Może odnajdzie żonę i dzieci i pójdzie do tego swojego miasta Jerozolimy.

– Gdziekolwiek pójdzie, z nim pójdę, gdziekolwiek mieszkać będzie, z nim mieszkać będę, jego Bóg jest moim Bogiem – odrzekła Kosooka, powtarzając słowo w słowo odpowiedź Rut do Noemi. Cybula stał na poły zagniewany, na poły zawstydzony. Żadna kobieta jeszcze się nie oparła jego naleganiom. Wybuchnął:

– Ben Dosa cię nie chce. On ma żonę.

– Weźmie mnie za nałożnicę.

– Głupiaś! Leżałem już z tobą, nie jesteś dziewicą. Ocaliłem ci też życie.

– Bóg ci to wynagrodzi. Lecz ja należę już do Ben Dosa.

– Do mnie należysz, do nikogo innego. Kupiłem cię w Mieście i jesteś moja.

– Kupiłeś moje ciało, nie moją duszę.

W całym tym kłopotcie Cybuli zachciało się śmiać. Dziewczyna jak papuga powtarzała każdą myśl i słowo Ben Dosa.

– Chcę twojego ciała, nie duszy. Nie bądź głupia – jestem królem i należy do mnie każda kobieta w obozie.

– Bóg w niebiosach jest królem ponad wszystkich królów – powiedziała Kosooka.

Zaczęła biec podług rzeki ścieżką, która wiodła w góry. Cybula stał i patrzył zdumiony na nienaturalny kształt dziewczyny. Zmykała na czworakach jak dziki zwierz. Nie chciało mu się jej gonić. I tak nigdy by jej nie złapał.

No i tak to jest okazać dobroć niewolnikowi, pomyślał Cybula. Powinienem był zostawić ją w chlewie, żeby zdechła! Wkrótce gniew Cybuli zwrócił się ku Ben Dosie. Kupić za kilka monet szewca, a zaraz zostaje nauczycielem. Taki człowiek na pewno mógł zabić boga albo jego syna, przemknęło Cybuli przez głowę. Stał i czekał, jakby sądził, że Kosooka może do niego wrócić. Lecz ona zniknęła już w lesie, tam gdzie potok wił się między drzewami i zaroślami.

5

Cybula powinien był czym prędzej wracać do obozu. Przyrzekł Biskupowi Mieczysławowi, że zje z nim poranny posiłek, po czym zwoła ludzi, aby biskup mógł mówić o swym bogu. Lecz Cybula wstydził się pokazać nagutki w obozie, szczególnie przy uczonym człowieku, który odziewał się tak wystawnie.

Czego oni ode mnie chcą, jeden i drugi, ze swą głupią wiarą? Zgraja Żydów pokłóciła się w Jerozolimie o jakiegoś boga, a biskup przychodzi tu, żeby ich wykląć. Do diabła z nimi oboma, biskupem i Ben Dosą! Trosk mamy dosyć i bez nich. Gdy Cybula zaczął wracać, usłyszał tupot końskich kopyt. Ujrzał Noska jadącego ścieżką na gniadym koniu, a za nim Łaskę na siwym. Kora często powtarzała Cybuli, że jego córka miłuje Noska, lecz on brał to za cześć babskie gadanie. Wszyscy wiedzieli, że Noskowi podobają się mężczyźni, a nie kobiety i że coś kręci z Wilkiem, tym urodnym chłopcem. Poza tym Łaska miała nieodstawione jeszcze od piersi dziecko. Cybulę

ogarnął ojcowski wstyd i obawa, że ci dwoje go ujrzą. Szybko skrył się w krzewinie. To dziwne, ale nieraz myślał, że jeśli Król Rudy umrze, on odda swą córkę Noskowi. Pomimo to postęпки Łaski rozeźliły go, zwłaszcza to, że ukrywała przed nim, co wszyscy podejrzewali. Cybula skulił się, aby dwoje jeźdźców go nie ujrzało. Serce mu łomotało, a usta miał pełne gorzkiej cieczy. Zaiste przekłety dzień, pomyślał. Zdawało mu się, że łązi już po lesie od wielu godzin, ale dalej było rano.

Nosek i Łaska dobili do potoka. Rozmawiali i chyba żartowali, bo Łaska się śmiała. Zeszli z koni i uwiązali je do drzew opodal. Nosek zrzucił przepaskę z bioder, a po chwili zaczęła się rozdziewać Łaska. Pierwszy raz od zaślubin swej córki z Królem Rudym Cybula ujrzał ją bez szat. Piersi jej urosły, nabrzmiały, sutki poczerwieniały. Cybulę przeszło drżenie. Ale dlaczego? Czy myślał, że jego córka będzie wyglądać inaczej od innych kobiet? Nosek i Łaska przez długi czas stali nad potokiem, jakby się wahali, czy wejść do wody. Cybula oczekiwał, że będą się całować, obłapiać, pieścić. Zarazem chciał tego i czuł wstyd. Wtedy Nosek rzucił się do wody, a Łaska za nim. Cybula miał sucho w ustach. Czuł się pohańbiony, jakby zobaczył coś, czego widzieć nie powinien. Zabawiał się z kobietami, kiedy tylko miał ochotę, a chwilę temu próbował uwieść kobietę Ben Dosa. Lecz dlaczego ukrywają przede mną prawdę? – zapytywał siebie Cybula. Wspomnił wywód Ben Dosa, że każdy człowiek ma dwa duchy, dobrego i złego. Kiedy Cybula odrzekł, iż nigdy tych dwóch duchów nie widział, Ben Dosa odpowiedział, że mieszkają głęboko w każdym człowieku, w czeluści serca. Tak, w każdym człowieku wrze bitwa. W obozie było wielu ludzi, których mógłby zabić, gdyby nie umiał okiełznać gniewu. Gdyby tego ranka miał miecz, na pewno zgładziłby Kosookę za to, że mu się nie oddała. Przez chwilę wyobraził sobie, że strzela z łuku w głowę Noska, a nawet Łaski.

– Cóż, trzeba wracać do domu. Na pewno wysłali za mną zastęp ludzi – pomyślał w głos Cybula. Nagle naszła go krotochwilna myśl. A jakby tak zabrać Noskowi przepaskę? Nosek i Łaska odплыnęli daleko od miejsca, gdzie stał, za ostry zakręt potoka w lewo. Nie było czasu do namysłu, musiał to zrobić szybko. Żwawo i zwinnie jak młodzieniec podbiegł do miejsca, gdzie Nosek i Łaska zostawili odzienie, porwał przepaskę Noska i pospieszył ku obozowi. Biegł przez długi czas, czuł się lekko i rześko, jakby naprawdę stał się znów młody. Wreszcie zatrzymał się, by odpocząć i włożyć Noskową przepaskę, która była troszkę przyciasna. Gdy wyobraził sobie, jak Nosek szuka swej szaty i nie chce dać wiary, że znikła, zachciało mu się śmiać. Pewnie sobie pomyśli, że skradł ją jakiś duch. Opuścił go smętek. Nawet jeśli znajdą w chlewie jego przepaskę, nie będą wiedzieli, do kogo należy.

Ujrzał Korę i przystanął. Tak, Kora wyszła na jego poszukiwanie, dokładnie tak samo, jak tej nocy, gdy napadł go wojak Lis. Pożałował, że puścił Kosookę wolno. Korę bardzo to zasmuci i zagniewa. Lecz jakże mógł postąpić inaczej?

Cybula zawołał na Korę i pomachał jej. Kora krzyknęła:

– Gdzie cię nosi po nocy? Otwieram oczy, a ciebie nie ma! Jagoda też się o ciebie martwiła. Zaczynam sobie myśleć, że z ciebie czarodziej albo i potwór!

– Tak, Kora, zgadłaś, ale niech to będzie tajemnica.

– Co to za przepaska? – spytała Kora. – Inną ci dałam.

– Tak, to prawda.

– Gdzie masz swoją przepaskę?

– Wyrzuciłem do śmieci – odrzekł Cybula.

– Czemu? To był podarek ode mnie. A ta jest kogo?

– Noska.

– Znowu sobie żartujesz?

– Nie, taka jest prawda.

– Spędziłeś noc z Noskiem?

– Tak. Wilk mu się sprzykrzył, więc mnie sobie zgodził na nałożnika.

– Błagam cię, Cybula, mów do mnie szczerze.

– Wyszedłem o świcie z chaty i ujrzałem Noska z moją córką, jak jechali razem na koniach.

Poszedłem za nimi do potoku i widziałem, jak się kąpią. Podczołgałem się tam, gdzie zostawili odzienie, i zabrałem przepaskę Noska – odrzekł Cybula.

– Widziałeś, jak w nią wchodził?

– Nie, tego nie widziałem.

– Oblapiali się, całowali?

– Nie.

– Zawsze ci mówiłam, że go miłuje. Po co zamieniłeś przepaski?

– Po nic. Wcale nie mówiłem, że zamieniłem.

– Na twojej był mój znak. Będzie wiedział, żeś go śledził.

– Nie zamieniłem przepasek. Jemu zabrałem, a swoją wyrzuciłem.

– Każdego razu, jak wyjdiesz nocą z mego łóża, coś ci się musi stać. Wilk czeka na ciebie w obozie. Miałaś śniadać z biskupem i zwołać potem zgromadzenie. Ale ty idziesz tropić swoją własną córkę! Już dawno ci powiedziałam, żebyś wykończył Króla Rudego. Po co Łaska ma cierpieć z tym wieprzkiem, skoro miłuje Noska?

– Kora, jeżeli moja córka pragnie pożycia z Noskiem, ja jej tego nie bronię, lecz to nie powód, żeby zabijać człowieka.

– Tak? A ile on ludzi pozabijał? Więcej niż ma włosów w swojej rudej brodzie.

– Póki ja jestem królem, nie będzie zabijania niewinnych ludzi.

Kora patrzyła na niego w zdziwieniu.

– Nie pojmuje cię.

– Nie chcę nikogo zabijać. Nie dozwolę także na składanie ofiar. Zapamiętaj moje słowa, Kora, i nie rób nic za moimi plecami.

Jeszcze z rana Cybula nakazał ludziom zgromadzić się, po czym przemówił do nich Biskup Mieczysław. Miał na sobie długi żupan, a płowe włosy sięgały mu ramion. Swym krzepkim i gromkim głosem powoli i wyraźnie wymawiał każde słowo. Rozwinął pergamin i odczytał zgromadzonym żywot Maryi. Jak to była zaślubiona Józefowi, jak to poczęła z Ducha Świętego, jak to anioł ostrzegł Józefa, by uciekł z żoną i synem do Egiptu. Opowiedział o Janie Chrzcicielu, co nauczał na pustyni, kazał Żydom odprawiać pokutę, bo nadchodzi królestwo niebieskie. Nauczał, że trzeba miłować nie tylko przyjaciół, ale i wrogów. Kiedy biskup opowiedział o Żydach, co ciemnieżyli Jezusa i oddali go Rzymianom, aby ci go ukrzyżowali, w obozie powstało poruszenie. Ktoś krzyknął:

– Ben Dosa jest Żyd! To on zabił boga!

Wtrącił się Cybula.

– To się wydarzyło dawno temu. Ben Dosa jeszcze się wtedy nie narodził. Słusznie mówię, Biskupie Mieczysławie?

Biskup odczekał chwilę, nim odpowiedział.

– Tak, on sam nie zabił Boga. Lecz Żydzi pozostali narodem krnąbrnym. Nie chcą znać prawdy.

– Gdzie jest Ben Dosa? Czemu go tu dzisiaj nie ma? – krzyknął ktoś.

– Chowa się w swej chacie jak tchórz w norze – odrzekł jakiś stary Leśnik.

Biskup podjął kazanie. Czytał z rozwiniętego pergaminu o Jezusie.

Od czasu do czasu patrzył na zgromadzenie i dokładał kilka słów od siebie.

– Sprowadź Jezusa do nas, do naszego obozu – zawołała jedna kobieta. – Niech będzie naszym bogiem!

– Ja wam już Jezusa sprowadziłem – odrzekł Biskup Mieczysław. – Jest z nami nie ciałem, lecz duchem. Uklęknijmy przed nim wszyscy i służmy mu!

Biskup padł na kolana, a za nim cały obóz. Nawet Kora i Cybula uklękli na ziemi. Wtedy biskup zaczął śpiewać. Słowa pochodziły z nieznannej mowy, lecz pieśń miła była uchu i wnet wszyscy przyśpiewywali biskupowi. Biskup Mieczysław uczynił dłonią znak krzyża, a wszyscy przybyli próbowali go naśladować. Biskup przemówił do nich w polskiej mowie:

– Wszyscy tu zgromadzeni – mężczyźni, kobiety, dzieci – powzięliście dziś aj postanowienie, że będziecie wielbić Boga w jego Synu i Duchu Świętym. Od dziś dnia nie jesteście już poganami, jesteście wiernymi chrześcijanami. Bóg wymaże i odpuści wam wszystkie winy. Od dziś dnia Jezus jest waszym pasterzem, a wy jego owczarnią. Ci, co służą bałwanom, spłoną jak Żydzi, w ogniach piekielnych. Lecz wasze dusze, bracia moi i siostry, ulecą do nieba i spoczną pod skrzy-

dłem bożym. Błogosławieni bądźcie dziś i na wieki wieków w imię Boga, jego syna Jezusa Chrystusa i Ducha Świętego. Amen.

– Tak, tak, tak! – rozległy się głosy.

– Przyjdźcie tu jutro o tej samej godzinie, a skropię wasze głowy święconą wodą.

– Tak, tak, tak!

Jedne kobiety głośno płakały, inne ocierały oczy. Nagle Łaska zawołała:

– Święty mężu, zabierz mnie do Jezusa Chrystusa!

– Jesteś z nim, moja córko. Jego duch unosi się nad twoją głową! – odrzekł biskup z drżeniem w głosie.

– Chcę być z n'im w niebie!

– Cicho bądź, Łaska! – zawołał do niej ojciec.

– Córko moja, droga do nieba wiedzie przez wiarę i miłość – powiedział biskup. – Powiedział nasz Pan: nie nazwiesz nikogo na ziemi ojcem twym, bo tylko Bóg na niebie jest ojcem twym.

– Ja jestem twoim ojcem, nie masz innego ani w niebie, ani tu na ziemi! – powiedział Cybula.

– Ty, królu, jesteś jej ojcem z ciała, lecz jej prawdziwym ojcem jest ojciec z ducha.

Wszyscy przybyli milczeli, lecz nagle dał się słyszeć chrapliwy skrzek jak krakanie wrony. Nie była to wszakże wrona, lecz stara wiedźma Paskuda. Była mała jak dziecko, garbata, a na nagim czerepie miała tylko kilka kępek siwej mierzwy. Jej malutka twarz była żółta jak wosk, pomarszczona jak liść kapusty. Kuśtykała i zawsze chodziła o kij. Podniosła krzywy jak haczyk palec zakończony długim, szpiczastym pazurem i wymierzyła nim w Cybulę.

– Święty mężu – Paskuda na pół świstała, na pół skrzeczała – mało który ojciec sprzeda swą córkę wrogom, a Cybula sprzedał swoją najpierw zbójcy, a teraz Noskowi i jeżdżą we dwoje na koniach po lesie. Za te winy pomarły dzieci, a głód był tak wielki, że ich własne matki jadły... – Paskudę chwycił płacz. Zatoczyła się i prawie upadła, lecz złapał ją jeden z Górali i podtrzymał.

– Biskupie Mieczysławie – powiedział Cybula – ta starucha postradała rozum. To wiedźma, pije swój własny moc.

– Ale prawdę gada! – zawołał Góral, który podpierał Paskudę. – Cybula jest zdrajca. Zawarł przymierze ze zbójcami. Został ich kneziem i skazał nas wszystkich na śmierć. Poszedł tam, gdzie mieszkają smoki i strachy, a za łup Króla Rudego kupił tego Żyda, co zabił boga, i tę sukę, co się u wilków chowała i teraz wyje jak one.

– Przycisz się, staruchu! Zażerałeś się ich chlebem, że mało ci twoje czarne zęby nie powypadały, i prosisz o więcej! – przerwała mu jakaś kobieta. – Zły jesteś, bo Cybula jest naszym królem i naszym bogiem, bo dla niego żyjemy. A od ciebie uciekamy, bo śmierdzi od ciebie trupem...

– Potwora! Szkarada! Suka!

– Owrzodzieniec! Straszdyło!

Wszyscy naraz zaczęli krzyczeć, wywijać pięściami, tupać nogami. Małe dzieci płakały, starsze biły się ze sobą, naśladując dorosłych. Lecz nagle posłyszeli straszny krzyk:

– Patrzcie! Tam!

Wszyscy zamarli. Każde oko zwróciło się w tę samą stronę i ujrzało, jak Kułak niesie na plecach Króla Rudego. Król był bosy, nagie ciało okryte miał żupanem. Kępki rudych włosów wylażyły mu z długich uszu i płaskatego nosa – napuchłego, czerwonego, z sinymi żyłkami, które wychodzą od picia. Wielu sądziło, że Król Rudy już dawno nie żyje. Inni przysięgali, że został wilkołakiem i trzeba go na noc przywiązywać do łoża, aby nie pożarł swych poddanych. Widać Król Rudy zbudził się teraz z długiego zaśnienienia. Kilku ludzi z tłumu padło na kolana, a prawie zaraz po nich cała reszta obozu. Tylko biskup, Cybula, Nosek i Kora dalej stali. Król Rudy jest nadal pośród żywych!

– Niech żyje król! – ktoś krzyknął. A cały obóz powtórzył:

– Niech żyje!

– Niech żyje Polska! – rzekł na to Król Rudy. Pośród tej całej wrzawy Cybuli zrobiło się nagle dziwnie, że ten dzikolud Król Rudy to mąż jego córki i jego własny zięć. Jego życie zdało mu się w tej chwili kpiną. Schylił czoło przed dawnym królem, jego zięciem, który przebudził się ze

szponów śmierci. Nie chciało mu się wierzyć, że ktoś może nieść króla Rudego i nie upadnie pod tym brzemieniem. Lecz Kułak stał niewzruszony, a wielkie stopy miał jak wrośnięte w ziemię.

– Pozdrawiam cię, Królu Cybulo, ojczyźnie mej umiłowanej Łaski – zawołał Król Rudy. – Pozdrawiam cię, szlachetny gościu, kimkolwiek jesteś! Przez długi czas chorzałem, więc trzeba było oddać koronę mojemu umiłowanemu zięciowi Cybuli, który młodszy jest ode mnie, mędrszy, dzielny z niego łowca i wódz, którego wszyscy miłują – zwłaszcza nasze kobiety. Lecz nie zapomniałem o naszym ludzie. W końcu to ja przyniosłem wam dobrodziejstwa pól. Tego dobrego uczynku nikt mi nie odbierze. Teraz słyszę, że ktoś z naszego narodu, ktoś, kto mówi tą samą mową, co my, przybył z nowiną o nowym bogu. My Polacy mamy swoich bogów, lecz gotowi jesteśmy służyć innemu, jeżeli nam pomoże i...

Król Rudy zamilkł. Zapomniał, co chciał powiedzieć. Potem krzyknął:

– Kułak, spuść mnie na ziemię! Chcę stanąć na własnych nogach! Nie chcę jeździć na tobie jak na koniu!

Kułak kucnął na ziemi, a dwóch ludzi przyszło pomóc Królowi Rudemu. Niektórzy z kłęczących Leśników powstali i zebrali się wokół Biskupa Mieczysława, który zaczął im opowiadać historię o dziesięciu pannach, co wyszły naprzeciwko oblubieńcowi, a niosły lampy. Pięć panien, które były mądre, pamiętało napelnić lampy oliwą. Pięć panien, które zapomniały wziąć oliwy do lamp, nie weszło na wesele, gdy o północy przyszedł spóźniony oblubieniec.

Król Rudy tak się kolebał na nogach, że Kułak musiał go podpierać, lecz kiedy usłyszał opowieść biskupa, klepnął się w kolano i zaryczał ze śmiechu.

– I oblubieńcowi zostało się tylko pięć panien, co? Ale dobre i to!

Ołtarz ofiarny

1

Gdy późno w noc przyszła do jego chaty Kosooka, Ben Dosa nic się nie odezwał. Myślał, że uszła już do Miasta, a ona stoi na progu jego chaty. Wychudła była i blada, akoy dopiero co wstała z choroby. Oczy Ben Dosa napelniły się gorącymi łzami. Przełknął grudę, która mu się zrobiła w gardle, i powiedział:

– Błogosławiony niech będzie Bóg, co zmarłych przywraca do życia.

– Nie umarłam. Jeszcze gorzej.

– Co też ty mówisz? – spytał Ben Dosa.

– Kora zawlokła mnie do Świniarki. Wsadziły mnie do chlewa, uwiązały u krokwi i zostały w tym gnoju bez jadła. Chciały mnie złożyć w ofierze Babie Jadze. Modliłam się do Boga Izraela i on mnie ocalił.

-Jak?

– Cybula otwarł drzwi i mnie rozwiązał. Wziął mnie do potoka i umyłam się. Chciał mnie wziąć, ale mu powiedziałam, że należę do ciebie.

Ben Dosie krew odpłynęła z twarzy.

– Należysz do Boga, nie do mnie.

– Ty jesteś moim bogiem.

Ben Dosie odebrało mowę. Chciał jej powiedzieć, że błądzi, lecz nie wiedział, jak to wyśłowić. Nie chciał też zadawać jej więcej bólu. Spytał:

– Gdzie byłaś cały ten czas? Modliłem się za ciebie.

– Uciekłam do lasu. Jak Kora i Świniarka mnie tu znajdą, to mnie rozerwą na sztuki. Ale oni wszyscy śpią. Tęskniłam za tobą, mój nauczycielu. Przyszłam cię błagać, byś mi odpuścił, co uczyłam. Chciałam być jak Rut.

– Dawni ludzie byli bliżej Boga niż my – powiedział Ben Dosa. – Poza tym opowieści o nich, które zostały nam przekazane, pełne są tajemnic. Od Rut wywodził się na przykład Król Dawid, a zatem musiała być czysta i sprawiedliwa, skoro spotkał ją taki zaszczyt. Rut leżała tylko u stóp Booza, lecz ty, moja córko, ciężką popełniłaś przewinę.

– Tak, wiem. Dlatego przyszłam błagać cię, byś mi odpuścił.

– Odpuszczam ci. Czemu tak stoisz w drzwiach? – Ben Dosa wahał się, czy kazać jej wejść do środka, lecz jej życiu groziło niebezpieczeństwo, a ratowanie życia było nadrzędnym prawem. Kosooka wyczuła wahanie Ben Dosa i powiedziała:

– Jeśli sobie życzysz, panie, odejdę.

– Dokąd pójdziesz? Zabiją cię. Wejdz do środka i zamknij drzwi.

Gdy Kosooki nie było, Ben Dosa miał czas, aby porozmyślać o Prawie. Gdyby była Żydówką, jej przewina byłaby o wiele cięższa, lecz prawa te nie dotyczyły innych kobiet, nie-Zydówek. Jeśliby się prawdziwie i jak należy nawróciła i została nabożną żydowską dziewczyną, wolno by mu było ją poślubić. Ben Dosa zaczął nawet żałować, że ją w gniewie przepędził. Wskazał Kosooce, by usiadła na ławeczce.

– Nie jesteś, Boże broń, chora? Wyglądasz na znużoną.
 – Nie, nie jestem chora.
 – Co jadłaś, kiedy cię nie było?
 – W lesie zawsze znajdzie się jakaś strawa.
 – Często o tobie myślałem. Chciałaś dobrze. Chciałaś okazać mi dobroć, jak Rut Boozowi.
 Lecz nie miałaś Noemi, by wskazywała ci drogę. Wpadłem w gniew, a gniew jest złym doradcą.
 – Czy Cybula dał ci pieniądze, abys ruszył na poszukiwanie Żydów, co strzegą Tory? – spytała Kosooka.
 – Nie, jeszcze nie. Odłożył to na po żniwach. Lecz w obozie dzieje się zło. Znow sposobią się, by złożyć ofiarę z człowieka. Cybula jest mądry i ma serce, ale oni wciągają go w trzęsawisko występku. Przybył do obozu jeden z tych, co wierzą w człowieka zwanego Jezusem Chrystusem, i całkiem zawrócił im we łbach. Pokusił ich do nieprawdziwej wiary.
 – Uchodźmy razem – szepnęła Kosooka.
 – Dałem Cybuli me słowo, że zostanie do żniw. Lecz ty, moja córko, uciekaj, kryj się. Gdyby cię tu, Boże broń, zdybali, mogą...
 – Nie zdybią mnie. Kiedy wyruszysz, aby szukać w obcych krainach twego ludu?
 – Cybula przyrzekł, że mnie puści zaraz po żniwach.
 – Pójdę z tobą.
 Ben Dosa przez jakiś czas rozważał jej słowa.
 – Niech tak będzie. Lecz musisz mi przyrzec, że nie uczynisz nic zdrożnego, póki nie będziesz nawrócona jak należy.
 – Przyrzekam.
 – Ponieważ twe życie jest tu zagrożone, musisz bez wahania uchodź – powiedział Ben Dosa.
 – Chcę pójść z tobą.
 – Jeśli zobaczą, że razem odchodzimy, mogą cię, Boże broń, zawlec z powrotem – powiedział Ben Dosa.
 – Zaczekam na ciebie koło drogi, co wiedzie do Miasta.
 – Skąd będziesz wiedzieć, kiedy ja tam przyjdę? Jestem w ich rękach.
 – Będę do ciebie przychodzić każdej nocy.
 Świtało już, kiedy Kosooka wyszła z chaty. Choć jej tego wprost nie przyrzekł, z jego słów wynikało, że zamierza ją poślubić, kiedy znajdą jakąś żydowską osadę, gdzie ona pobierze konieczne nauki, aby wejść na drogę sprawiedliwych. Za późno było Ben Dosie wracać do żony i dzieci. Postradał nadzieję, że Wszchemogący powróci go do domu, choć mówi Pismo: „W okamgnieniu przyjdzie zbawienie Boże”. Jego żona zażądała, aby nie kazał jej iść z żadną inną w zawody. Co by powiedziała na taką Kosookę – poczętą, zrodzoną i wychowaną w nieczystości, dziecko pokoleń bałwochwalczych dzikoludów?
 – Ojciec na niebie, złapałem się w sieć, lecz jestem w twych świętych rękach! – zawołał Ben Dosa.

2

W ostatni dzień żniw zaczęły się wielkie uroczystości, które miały trwać trzy doby, a na koniec los miał wybrać, kto będzie złożony w ofierze. Kapłanką, która miała zarznąć ofiarę, utoczyć krwi na ołtarz i dokonać spalenia ciała, była Kora. O Kosooce nigdy z Cybulą nie mówiła – ani że ją uwięziła w chlewie, ani że ją ktoś oswobodził. Cybula postanowił, że skoro ona ma przed nim tajemnice, on jej nie powie, że wie o jej sprawkach. Jak przyjdzie czas, to jej pokaże, kto tu jest królem.

Ludzie nie pamiętali, żeby kiedyś było tak gorąco jak w pierwszy dzień dożynek. Zazwyczaj od gór ciągnął chłodny wiaterek, ale tego dnia powietrze było duszne i niewzruszone.

Cybulę zbudziły krzyki. Krzyczał nie jeden człowiek, lecz cała cizba, jak tej nocy, gdy napadli na obóz wojacy. Gdy stanął w drzwiach, przeleciało koło niego kilkoro dzieci, lecz nie zatrzymały się na jego zawołanie. Jedna dziewczynka odwróciła się i coś mu odkrzyknęła, lecz nie zrozumiał co. Napadli nas panowie, znów poleje się morze krwi, pomyślał. Zaraz jednak pojął, że zgiełk był inny niż w czas rzezi. Posłyszał śmiechy, okrzyki, klaskanie w ręce, jakby ludzie rozpoczęli już zabawę. Aż nagle ujrzał nagutkiego Ben Dose, jak się słania, głowę i stopy ma krwawe, pól brody urwane. Krzyczał do Cybuli jakieś niepojęte słowa w swej własnej mowie. Podleciał do niego, mało go nie wyrzucił i zawył przeraźliwie. Cybula z całej siły odepchnął Ben Dose i wrzasnął:

– Co się stało? Kto ci to uczynił?

– Ko-soo-ka!

Ben Dosa zaczął łapać dech. Z ust szła mu krew, wypadło mu kilka przednich zębów. Cybula pochylił się nad nim roztrzęsiony i spytał:

– Kosooka cię napadła?

– Pojmali ją! – Ben Dosa wypluł grudkę zakrzepłej krwi.

W jedno mgnienie Cybula wszystko rozumiał. Kora pojmała Kosookę i zawlokła na ołtarz ofiarny, aby ją złożyć w ofierze bogom. Kiedy Ben Dosa przyszedł jej na pomoc, napadli i jego. Kiedy Cybula pomagał Ben Dosie wstać na nogi, jego serce napełnił smutek i gniew. To sprawka Kory. Wielkimi krokami ruszył ku wrzawie i hałasom.

– Zabiję ją! – powiedział do siebie. – Jej śmierć albo mnie! – Rozważył, czy nie wrócić do chaty po miecz, lecz pomyślał, że mogą za ten czas zabić Kosookę. Ben Dose ciągnął za sobą. Gdy doszli do lasu, krzyki jeszcze bardziej się wzmogły, lecz gdy ludzie ich ujrzeli, wrzawa naraz ucichła. Cybula zaczął wywijać rękami i krzyczeć:

– Nie! Nie! Nie!

Ktoś podbiegł ku niemu. Była to Kora. Uściskała go i powiedziała:

– Cybula, nie czyn tego! Daj nam dokończyć obrządku!

Pchnął ją na bok. Kora potknęła się i upadła.

– Ty zbereźna potworo!

Pośród cizby ludzi Cybuli zamajaczyła sterta kamieni, która służyła za ołtarz. W zagłębieniu na wierzchu, jak w grobowcu, siedziała Kosooka. Była naga, ręce miała związane za plecami, twarz posiniaczoną i napuchłą. Ktoś jej obciął albo wyrwał włosy. Cybula zrazu pomyślał, że jest nieżywa. Oczy miała zawarte; wyglądały jak dwie skośne szparki. Koło niej, na kamieniu, leżał topór.

Za późno, pomyślał Cybula. W ucichły tłum na powrót wstąpiło życie. Wrzeszczeli na niego, obrzucali przekleństwami, groźbami. Kilku Leśników podeszło od tyłu i chciało go odciągnąć od ołtarza, ale dał im po potężnym kopniaku i upadli na ziemię. Usłyszał, jak ktoś zwie go zdrajcą. Dwóch Leśników trzymało Ben Dose, wszędzie podnosiły się pięści. Wielu ludzi miało w rękach kamienie i Cybula dobrze wiedział, co mu grozi. Był o włos od ukamienowania, od śmierci pospołu z Kosooką. Kosooka kiwnęła głową, a z jej ust uszedł jęk. Obrócił się do tłumu i ryknął:

– Mnie też zabijcie! Zbójcy, głupcy, obłąkańcy!

– Cybula, nie przeszkadzaj nam w obrządku – powtórzyła Kora.

– Baba Jaga chce ofiary! – krzyknęła jakaś kobieta.

– Złożmy ją w ofierze! Baba Jaga jej chce!

Cybula znalazł w sobie taką moc i śmiałość, że aż sam się zdziwił. Strącił kamienie, które więziły Kosookę, i skopał na ziemię przeznaczone na jej krew wiadro. Pochwycił topór i zamachnął się na tych, którzy go chcieli ściągnąć z ołtarza. Jakaś staruszka pospieszyła ku Kosooce i próbowała wrócić ją do życia. Cybula krzyknął do tłumu:

– Baba Jaga, co? A gdzie była Baba Jaga, jak wojacy przyszli was powyrzynać? A od Ben Dosa czego chcecie? Buty nam szły. Uczył nasze dzieci czytania i pisanie.

– Zabił boga! – ktoś krzyknął.

– Boga nie można zabić! – odkrzyknął Cybula. – A poza tym biskup sam powiedział, że to było dawno temu.

Ben Dosa kaszłał, skowyczał, pluł krwią. Cybula zobaczył, jak dwie kobiety z kwiatami na piersiach pomagają Kosooce zejść z ołtarza. Wokół kłębiło się też od nagich mężczyzn. Znów przemówił do tłumu:

– Krwi wam się chce, ot czego. Jak was nie zarzynają, to chcecie zarzynać innych.

– Cybula, sam mi przyrzekłeś, że jej utniesz głowę – zawołała Kora.

– Przyrzekłem, co? Leżysz ze mną na skórach i gadasz byle co, to i ja plotę różne rzeczy.

Czemu musisz zabijać, skoro śmierć i tak sama przyjdzie? Jeszcze trochę lat i nasze ciała będą gnąć w ziemi. W proch się obrócimy, chyba że nas robaki zjedzą.

– Nasze dusze żyć będą.

– Będą takie same zdechłe jak nasze ciała. Nie przyszedł do nas jeszcze żaden duch, żeby nam powiedzieć, co się dzieje w czeluściach ziemi. Jest tylko jeden bóg, a imię jego Śmierć. Każdego do siebie zabierze i nie trzeba mu waszych ofiar.

– Prawda, prawda, prawda! – krzyczały głosy.

– Śmierć jest bogiem nad wszystkimi bogami. Kiedy przychodzi, mijają wszelkie troski, wszelkie smutki, wszelki ból. Możemy zabić siebie, lecz nie mamy prawa zabrać życia innym. Rozumiecie?

– Tak, tak, tak!

– Jeżeli chcecie, bym był waszym królem, zostawcie tych dwoje obcych w spokoju.

– Chcemy ciebie, chcemy! – krzyknął cały obóz jednym głosem.

– Tylko ciebie, nikogo innego!

– Cybula jest naszym bogiem! – krzyknęła jakaś kobieta.

– Tak, tak, tak!

– Niech żyje Cybula!

– Niech żyje nasz bóg i król!

Nagle ludzie zaczęli padać na kolana. Kilku mężczyzn zawahało się, ale i oni uklękli. Kosooka leżała na ziemi krwawiąca i na stojąco był jeden tylko Ben Dosa. Ktoś chciał go ściągnąć na kolana, lecz Ben Dosa zawołał schryple:

– Przed Bogiem tylko klękam, nie człowiekiem! – By dać świadectwo prawdzie swych słów, wznosił ku niebu skrwawione ramiona.

3

Jagoda zasnęła. Przez okno kropił do izby deszcz. Choć mieli nowy dach, przez powalę sączyła się woda i wpadała do wiadra, które Cybula postawił koło łóżka. Sam uszczelniał dach, zapychając szpary gliną, ale widać deszcz ją wypłukał. Po bardzo gorącym dniu nagle się ochłodziło. Cybula chwilę patrzył na Jagodę, po czym przykrył ją skórą, aby się nie zaziębiła. Siebie też przykrył. Zimno mu było w ręce i stopy, więc grzał je sobie o brzuch i piersi Jagody. Jagoda spała mocno i nie przebudziła się. Cybula pół drzemał, pół śnił na jawie. Nie mógł pojąć swego postępowania. Mówił, że zabije Korę, a tymczasem własne życie wystawił na szwank, by ocalić jakąś Tatarkę, która chciała przyjąć wiarę Ben Dosa. Miał chęć powybić cały obóz, a użalał się nad snopkami pszenicy, że zgniją w deszczu. I tak ich wszystkich Śmierć zabierze do swej mrocznej sadyby głębok pod ziemią. A inny bóg, bóg życia, zadba o to, by nie przeminął cały rodzaj człowieczy.

Cybula usnął i śniło mu się, że ściga wielkiego zwierza, większego niż niedźwiedź, na grzbiecie mającego inne zwierzę. Gdy Cybula wypuszczał ku swej ofierze strzały, drugie zwierzę gryzło i szarpało jej futro i mięso. Czasami zwierz obracał się do Cybuli, śmiał się z niego, pluł pienistym jadem. Cybula usłyszał siebie, jak mówi do Ben Dosa:

– W kółko powtarzasz, jaki ten twój Bóg jest miłosierny. Co ten zwierz uczynił, by zasłużyć na taką okrutną śmierć? Nie poświęcił jak należy szabatu? – Cybula zaśmiał się przez sen i śmiech

ten go zbudził.

Deszcz wzmógł się i lał całymi strumieniami. Błysnęło i Cybula ujrzał, że wiadro na deszczówkę się przelało. W innym kącie izby zrobiła się druga dziura w dachu i też ciekło. Cybula wstał, by poszukać jeszcze jednego wiadra. Zdało mu się, że słyszy skrzypienie drzwi chaty.

– To tylko wiatr – powiedział do siebie. Otworzył drzwi do izby z przodu chaty i ujrzał w mroku ludzki kształt, chyba niewieści. Spytał od razu:

– Kto tam?

– Ojczy, to ja.

– Łaska, po coś przyszła w środku nocy?

Łaska podeszła ku niemu.

– Tato, straszna rzecz się stała.

– Co takiego?

– Król Rudy, mój mąż, nie żyje. Przez chwilę Cybula nic nie mówił.

– Kiedy to się stało?

– Dopiero co. Kułak mnie zbudził.

– Tak, tak.

– Poszłam do niego, lecz już nie dychał.

– Chory był? – spytał Cybula.

– Nie, Ojczy. Wczoraj wieczór jadł i pił z Kułakiem. Umarł we śnie.

– Dobrze tak umrzeć, najlepiej – mruknął Cybula. Błysnęło po raz wtóry i Cybula ujrzał, że Łaska jest całkiem goła, woda po niej cieknie, z włosów kapie. Ogarnął go ojcowski wstyd.

– Czemuś przyszła w najgorszy deszcz i to bez niczego na sobie?

– Do kogo miałam przyjść, jak nie do ciebie? Co mam teraz zrobić? Przyjść jutro w pole na zniwa?

– Będziemy żać bez ciebie, jeżeli w ogóle. Nie wygląda, żeby deszcz wnet przeszedł.

– Ojczy, co ze mną będzie?

– Co z tobą będzie? Pogrzebiemy go albo spalimy, a w obozie będzie o jedną wdowę więcej.

Ty i Nosek jesteście sobie przychylni, prawda?

– Ojczy, co ty mówisz!

– Wiem o wszystkim.

– Ojczy, on mnie nie chce.

– Jeździecie razem na koniach.

– Uczy mnie jeździć, ale mnie nie chce. Powiedział mi wprost, że nie trzeba mu kobiety.

– To ma szczęście.

– Mnie trzeba mężczyzny.

Cybula nie wierzył własnym uszom. Jeszcze nie słyszał, żeby córka tak się zwracała do ojca. Wyrosło nowe pokolenie, pokolenie, które nie zna wstydu. Chciał ją skarcić, odesłać do siebie, lecz pohamował się. Powiedział:

– Wiesz, jakich mamy mężczyzn w obozie – szczeka to, a jak przyjdzie do gryzienia, to zębów nie ma. Jeśli chcesz kogoś, na pewno nie będzie ci się opierał.

– Ojczy, to nie pora na żarty.

Znowu błysnęło, a potem zagrzmiało. Cybula powiedział:

– Córko, kosić jutro nie będziemy, a może i pojutrze też nie. Pochówek w tej ulewie także jest niemożliwy. Twój mąż wiedział, kiedy umrzeć, aż mi zazdrość. Czeka nas tu tylko ciągły głód, długa i ciężka niedola.

– Możemy znów zacząć łowić.

– Nie, córko, nie możemy. Wytrzebiliśmy kawał lasu, przepędziliśmy zwierza. Nie mamy już namiotów, by je zabrać na łowy. Mamy za to domy z kominami i podłogami. A najgorsze z tego wszystkiego, że nie mamy mężczyzn. Zanim dorosną nasi chłopcy, obóz może wymrzeć z głodu. Czeka, wdziewiesz coś na siebie, przyniosę ci.

– Nie jest mi zimno.

– Ale mnie jest.

Cybula otworzył drzwi do izb mieszkalnych i wszedł do środka. Jagoda spała dalej, nie wiedząc, że w sąsiedniej izbie mają gościa. Cybula wziął dwie skóry, dla siebie i dla Łaski. Położył na podłodze słomiankę, żeby Łaska miała gdzie usiąść, i sam usiadł koło niej.

– Gdzie zostawiłaś Ptaszka?

– U Miłej. Najpierw dałam mu piersi.

– Czemu jeszcze mu dajesz piersi? Czas go odstawić.

– Ptaszek lubi moje mleko. Jak mu dam co innego, to wypluje.

– Za moich czasów kobiety smarowały sobie sutki sadzą – powiedział Cybula. – Niemowlętom robiło się niedobrze i można je było odstawić. Pamiętam, jak moja matka tak zrobiła z moją siostrą Milutką.

– Ja też próbowałam, ale wszystko na nic. Zęby mu już wyrosły i tak mnie gryzie w sutek, że aż płaczę z bólu. A z mlekiem co zrobię? Piersi mam pełne.

– Kiedy Ptaszek przestanie ssać, mleko wyschnie. Ojciec i córka przez długi czas siedzieli w milczeniu.

Przestało się błyskać, lecz nadal lało jak z cebra. Nagle Łaska powiedziała:

– Tato, trzeba mi mężczyzny.

W Cybuli coś pękło. Ze łzami w oczach przytulił ją do serca.

– O, moja córko!

Nowy król

1

Pewnego rana, po zakończeniu żniw, Cybula usiadł z Noskiem, aby ustalić, jak należy rozdzielić zboże. Musieli zdecydować, ile trzeba odłożyć na siew w przyszłym roku i czy należy wyciąć więcej drzew i krzewów pod nowe uprawy. Cybula rozmówił się też z Noskiem co do swej córki. Powiedział, że Łaska jest zbyt młoda, aby pozostać wdową. Nosek szczerze przyznał, że płeć przeciwna go nie pociąga, lecz że ożeni się z Łaską, jeśli ona i jej ojciec tego sobie życzą. Ale być ojcem jej dzieci? Nie bardzo to widzi. Cybula powiedział żartobliwie, że Łaska powinna urodzić jeszcze przynajmniej jedno dziecko, aby Ptaszek miał brata lub siostrę. Nosek odpowiedział ostrożnie, że można spróbować i Cybula nabrał wątpliwości, czy będzie coś z tego ożenku.

Nagle dobiegły ich głośnie krzyki i tupot końskich kopyt. Cybula i Nosek wyszli na dwór. Stało przed nimi prawie trzydziestu jeźdźców w lnianych kapotach, skórzanych butach, futrzanych czapkach, z przypasanymi do boku mieczami i włóczniami w dłoniach. Na przedzie, na białym koniu w zdobnej uprzęży, siedział mężczyzna z długim wąsem i w czapce z powiewającym piórem. Kapotę miał bogato wyszywaną czerwoną i białą nitką, a do butów przypięte ostrogi. Dwóch jeźdźców zadęło w trąbki i krzyknęło „Na bok, na bok!”, aby ludzie odsunęli się i zrobili miejsce dla zastępu. Pan na czele jeźdźców chyba pytał przedtem przechodniów o ich króla, gdyż kiedy Cybula i Nosek stanęli w drzwiach, usłyszeli okrzyk i: „To on! To nasz król!”.

Pan z długim wąsem był niski, szeroki w ramionach i dziobaty na twarzy. Zatrzymał konia i spytał gardłowym głosem:

– To jest wasz król? Boso?

Cybula szybko ochłonął i odparł:

– Nasz obóz jest mały i biedny. Mieliśmy szewca, ale odszedł od nas.

– Jak się zwiesz, królu?

– Cybula.

– Cybula, co? A czemu nie Rzodkiewka albo Czosnek?

Jeźdźcy jak jeden wybuchnęli śmiechem. Konie zdały się przestraszone hałasem i byłyby się zerwały, lecz jeźdźcy okiełznali je. Cybula odpowiedział:

– Tak nazwał mnie mój ojciec.

– Twój ojciec, co? Wiesz, Cybula, nie jesteś już ich królem, ani nawet podkrólem. Od dziś ja jestem waszym królem, waszym panem, waszym wodzem. – Jeździec na białym koniu odwrócił się do reszty ludzi. – Wiem, że nazywacie się Leśnikami, lecz od tej chwili wszyscy, co zamieszkują te ziemie i mówią polską mową, będą się zwali Polakami. Nie przybywamy do was jako wrogowie, lecz jako bracia, jesteśmy jedną rodziną. Powiedziano mi, że nie ma u was młodych mężczyzn, że w waszym obozie mieszkają tylko kobiety, dzieci i starcy. Lecz moi chłopcy są silni, dzielni i waleczni, trzeba im tego samego, co innym: wódki i kobiet. Prawda?

– Prawda! Prawda! – odkrzyknęli jeźdźcy zgodnym chórem.

– Powiedziano mi, że zaczęliście budować wokół obozu mur. Przez wasz mur przeskoczyłaby nawet żaba. Jeżeli myślicie, że możecie nam się oprzeć, to się grubo mylicie. Nasze miecze są

ostre, a nasze włócznie wymierzone prosto w wasze brzuchy. Damy wam chleba, odzienia, butów, lecz żądamy w zamian całkowitego oddania i posłuszeństwa. Gdyby kto podniósł na nas rękę, odrąbiemy mu ją. Gdyby kto podniósł na nas głos, wyrwiemy mu język. Czy to jasne?

Nikt nie odpowiedział.

– Czy to jasne, Cybula?

– Tak, jasne.

– Mur, któryście zaczęli budować, zburzycie. Polaków nie będzie dzielił żaden mur. Ja i moi chłopcy chcemy mieć dach nad głową, obfitość strawy, dość miodu, jęczmienia i owoców, aby pędzić miód i inne gorzałki. Nie pożałujecie nam tego wszystkiego. Nie chcemy gwałcić waszych kobiet, lecz kobiety stworzone są ku zaspokojeniu potrzeb mężczyzn, a my potrzeb mamy bez miary. Prawda, chłopcy?

– Prawda, prawda!

– Zwę się Król Jodła i tak będziecie się do mnie zwracać. Puszczę przed swe oblicze każdego, kto zechce szukać mych łask, lecz tylko na kolanach, z pochyloną głową. Ci dwaj za mną to moi knezie, kneź Wól i kneź Niedźwiedź. Będą wam przekazywać, jaka jest moja wola. Możecie wybrać spośród siebie starostę, który będzie wam rzecznikiem. Możecie wybrać swojego Cybulę, lecz będzie musiał wdziać buty, a nie chodzić boso jak jakiś żebrak.

– Nie chcę być starostą – powiedział Cybula. W gardle miał tak sucho, że ledwie mówił.

– Nie chcesz, co? A kto się ciebie pyta, czego chcesz? Od teraz jesteś starostą. Kto jest ten wysoki chudzielec koło ciebie? – Król Jodła wskazał palcem na Noska.

– Zwę się Nosek.

– Nosek? Czemu nie Nos?

– Tak się zwę.

– Od teraz jesteś Nos. Czy przynależysz do Leśników?

– Nie, królu Jodła. Jestem Polakiem. Przybyłem tu z Królem Rudym, który dopiero co umarł.

– O wszystkim mnie uwiadomiono. Nic się przede mną nie ukryje. Zanim ktoś sobie o mnie pomyśli co złego, moi chłopcy odrąbią mu głowę. A wroga bez głowy da się jeszcze znieść, prawda, chłopcy?

– Prawda, prawda!

– My Polacy mamy wielu wrogów. O niektórych wiemy, inni są nam wraży skrycie. Większość z nich wytraciliśmy, lecz nie wszystkich. Chcemy stać się jednym wielkim narodem, o jednej mowie, w jednym kraju. Lecz nasi wrogowie chcieliby nas widzieć zwaśnionymi, podzielonymi na małe obozy, poróżnionymi w mowie, służącymi różnym bogom, tak aby Rusini, Niemcy i Czesi pożarli nas, zniewolili, ściągali od nas daniny, gwałcili nasze kobiety. Lecz choć poleje się wiele krwi, do nas należeć będzie ostateczne zwycięstwo. Choć wielu z naszych bohaterów gryzie ziemię, ich imiona i czyny przetrwają po wsze czasy. Czy masz żonę, starosto Cybula?

– Tak, Królu Jodła.

– Jak się zwie?

– Jagoda.

– Jagoda, co? Cybula i Jagoda. Ostre i słodkie. Łatwo się zapamięta, prawda chłopcy?

– Prawda, prawda!

Cybula spodziewał się, że Król Jodła zaraz zajmie jego dom albo dom, w którym mieszkała Łaska. Tymczasem dzień miał się ku końcowi, a Króla Jodły nigdzie nie było. Kora przyszła mu powiedzieć, że król i jego jeźdźcy zadowolili się w chatkach po wojakach. Kilku nowych wojaków

zajął chatę po Ben Dosie. Inni wprowadzili się do spichlerza, jeszcze inni do stajni, kilku wreszcie do warsztatu, gdzie Czapek trzymał pługi, kosy, sierpy i inne kupione w Mieście drogocенności. Choć ciepło było i słonecznie, mało kto ośmielił się wystawić nos z chaty. Nawet dzieci nie wyszły się bawić. Nikt nie myślał już nawet, aby dać odpór najeźdźcy. Przecież ani kobietom, ani starszkom nie było się mierzyć z tymi młodymi, zbrojnymi jeźdźcami. Ponieważ król Jodła upewnił ich, że przyjeżdża jako przyjaciel, nie jako wróg, dziewczęta i co młodsze wdowy umyły się i uczesały, wystroili w suknie, które miały na sobie na godach Cybuli i Jagody, i wzuły buty, które uszył im Ben Dosa.

Gdy król Jodła pocwałował ze swymi ludźmi ku polu, Nosek wrócił z Cybulą do jego domu i długo gadali ściszonymi głosami. Przyszła do nich Łaska z niedobrą nowiną – Ptaszek jest chory. Buzia mu gorze, nie chce ssać piersi i oczu prawie nie otwiera. Cybula, który poza wszystkim był także obozowym znachorem, powiedział, że za wcześnie, by poznać, co chłopcu dolega. Ptaszek mógł złapać różyczkę, ospę, płonicę. Łaska poszła z płaczem do domu.

Ludzie łazili po obozie w tęym, głuchym milczeniu. Nie wiedzieć było, co przyniesie zmrok. Słońce zaszło w czerwonym wianku i zostawiło po sobie rozplonione chmury. Ptaki jak zwykle usiadły na gałęziach tych kilku drzew, które pozostały, albo na dachach i kominach. Cykały świerszcze i kumkały żaby. Gwiazdy latały po niebie i gasły albo traciły się za szczytami gór. Wieczorem Jagoda upiekła na węglach boczek sarny, którą Cybula ustrzelił parę dni wcześniej z łuku, po czym małżonkowie zasiedli i spożyli posiłek w milczeniu. Prócz mięsa jedli też smażone borówki, które poprzedniego wieczora przyniosła córce Kora. Jagoda miała usta i lice splamione brunatnym sokiem i jeszcze bardziej niż zwykle wyglądała jak mała dziewczynka.

Odkąd Cybula pomieszał Korze szyki i nie dał złożyć Kosooki w ofierze, dawnych kochanków dzielił duszony w sobie gniew i żal. Kora nie przychodziła kłaść się w łóżko, które dzielił z Jagodą, a gdy do niego mówiła, oczy miała spuszczone ku ziemi. Nie ona jedna miała żal do Cybuli. Kiedy przybył Król Jodła wraz ze swą drużyną, kilka staruch przepowiedziało, że najeźdźcy wywrą pomstę za Babę Jagę.

W letnie wieczory przeważnie nie było potrzeby zapalać w chatach pochodni. Do posilenia się starczało światło z ogniska, na którym warzono strawę. Cybula często wszakże przypalał knot w małej misce oliwy. Nauczył się od Ben Dosy, a później od Noska, jak robić z liter alfabetu liczby. Alef to 1, bet – 2, gimel – 3, iod – 10, kaf – 20, i tak dalej aż do taw, czyli 1000. Kiedy Cybula chciał napisać liczbę 11, stawiał pod iod alefa, a 12 to był iod i bet. Niełatwo mu przyszło wyuczyć się tych wszystkich liczb, ale na koniec sprawnie nimi obracał. Umiał złożyć z liter swój podpis, umiał też pisać niektóre słowa z polskiej mowy, a nawet całe zdania. Nie było liter na kilka miękkich dźwięków w jego mowie, lecz Ben Dosa pokazał mu, że starczy dać mały znaczek nad zajinem, cadikiem albo szinem, a zrobi się miękki dźwięk. Czasami Cybuli schodziły całe godziny na pisan'u liter na drewnianym klocu lub wycinaniu ich w korze. Dla niego, który miał pieczę nad wszystkimi obozowymi rachunkami, pisanina ta bardzo była przydatna.

Tego wieczora Cybula nie miał żadnych rachunków do spisania, lecz usiadł i wycinał różne słowa w korze. Jagoda spytała go, co teraz zamierza, kiedy już nie jest królem, a on warknął:

– Tak jakbym się urodził królem!

– Dla mnie zawsze będziesz królem i bogiem – powiedziała Jagoda.

Cybula posiedział jeszcze chwilę nad pisanem, po czym zdmuchnął kaganek i położył się obok żony. Odkąd nie było Kory, Jagody nie morzył już tak szybko sen. Była teraz nocą bardziej ochotna. Mówiła mu krotocwilnie:

– Kiedy będziemy mieli dziecko, będziesz mi co noc ssał piersi.

– Jeśli dożyję tej chwili.

– Czemu masz nie dożyć? Nie jesteś taki stary – powiedziała Jagoda.

– Nasz nowy król ze mną skończy.

– Czemu? Powiedział, że przyszedł do nas jako brat.

– Brat też czasem zabija brata – powiedział Cybula i przypomniał Jagodzie o Kainie i Ablu, o których dowiedzieli się od Ben Dosy.

Ben Dosa odszedł i pewnie już nigdy nie miał powrócić. Nie zapomniano jednak o nim.

Wszyscy powtarzali to samo: jego ciało znikło, ale dusza została. Dzieci często o nim mówiły. Odkąd pomogły dorosłym zebrać owoce i wykopać korzonki, nie miały nic do roboty i rwały się do nauki, chciały znowu czytać i pisać, słuchać opowieści. Przy zabawie zawsze jedno z dzieci udawało Ben Dose, uczyło inne alfabetu, zanosilo modły, wymyślało różne cuda.

Tej nocy Cybula i Jagoda kilka razy się miłowali. Cybula spytał Jagodę, czy już czuje, że ma w brzuchu coś żywego, a Jagoda odrzekła:

– Jeszcze nie czas. Później zacznie kopać. Jak je nazwiemy? Wiem! Nazwijmy je Cybula!

– A czemu nie Rzodkiewka? – powiedział Cybula, powtarzając żart króla Jodły.

W tej chwili ktoś odemknął drzwi, które Cybula zapomniał zaryglować. Zerwał się i zawołał:

– Kto tam?

Usłyszeli głos mężczyzny.

– Nie krzycz. Nic się nie bój. Jestem Palec. Dawniej było mi Śliwka. Byłem u was wojakiem, ale odszedłem z innymi dawno temu. Teraz wróciłem z Królem Jodłą. Pamiętasz mnie?

– Jakżeby nie, Śliwka.

– Ja też cię pamiętam – powiedziała Jagoda.

– Tak, jestem Śliwka. Było nas sześciu, ale zwaśniliśmy się i pobili. Dwóch padło, a reszta się rozeszła, diabeł jeden wie dokąd. Sam bujałem po pustkowiach, aż się przyłączyłem do jeźdźców Króla Jodły. Zawsze miałem dryg do koni, jeśli pamiętasz.

– Tak, tak. Po coś przyszedł do nas w środku nocy?

– Nie ruszaj się! Zostań, gdzieś jest, bo ci nóż w brzuch wrażeń. Zonę też ci zabiję, tę głupią Jagodę. Wszystko o was wiem. Kora, twoja luba, a Jagody matka, zabiła mojego najlepszego przyjaciela Lisa. Siedź cicho, Jagoda. Tylko piśnij, a zginiesz.

– Czego chcesz? – spytał Cybula.

– Łupu. Wiem, że skryłeś skarb Króla Rudego. Szukaliśmy go, zanim uszliśmy z obozu, ale nie mogliśmy znaleźć. Nie było cię tego dnia. Łup należy do Króla Rudego i jego ludzi. Walczyliśmy, by go zdobyć, a teraz, gdy innych już nie ma, ja jestem jego jedynym dziedzicem. Powiedz mi, gdzie jest łup, bo cię pokraję na kawałki.

Przez chwilę Cybula nic nie mówił.

– Nie groź mi. Chcesz zabić, zabij. I tak nikt dwa razy nie umiera.

– Nie chcę cię zabić. Chcę łupu.

– Cybula, powiedz mu wszystko! – krzyknęła Jagoda.

– Twoje życie jest cenniejsze nad jego skarb!

– Tak, powiem mu – odrzekł Cybula. – Nie trzeba mi jego złota. Ale co ty z nim zrobisz, Śliwka? Wór jest ciężki. Jeden człowiek nie uniesie. Jak cię inni z nim zobaczą, to po tobie.

– Już ty się o to nie martw – powiedział Śliwka.

– Załaduję na konia i odjadę dziś w nocy. Na nic mi Król Jodła i ta jego zgraja zbójców i żarłoków. Gdzie łup?

– Śliwka podniósł głos.

– Zakopany w przesiece za domem Króla Rudego – powiedział Cybula. – Masz tam trzy drzewa: dwa kasztany i lipę. Łup jest zakopany pod lipą.

– Głęboko?

– Niegłęboko.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Potem Śliwka powiedział:

– Wiem, że w tym domu mieszka twoja córka z dzieckiem. Jeśli mnie oszukałeś, oboje zginą. Zważ me słowa.

– Nie oszukałem cię. Kop pod lipą, a znajdziesz skarb. Ale jak będziesz kopał po ciemku?

– To nie twoja sprawa. Wszystko gotowe, dwie łopaty, dwa konie. Już dawno to sobie umyśliłem. Ty tu zostań i siedź cicho. Nie jestem sam. Mam przyjaciela, współnika. Rusz się tylko, a wszyscy zginiecie – ty, Jagoda, twoja córka, twój wnuk. Także twoja teściowa, ta kurwa Kora.

– Nic nie zrobię – powiedział Cybula.

– Powiem ci coś, nim pójdę. Nie spodoba ci się, ale to prawda. Powiem ci jak mężczyzna

mężczyźnie. My wojacy zawsześmy cię lubili i nie byłeś nam obcym człowiekiem. Twoja córka była żoną naszego króla. Chciałeś żyć z nami w pokoju. To Kora cię namówiła, byście się zbuntowali.

– Co ty gadasz?

– Wojacy wiedzą, że Kora cały czas cię zdradzała. Nocą leżała z tobą, ale za dnia przychodziła do mnie i innych wojaków i pokładała się z nami. Narzekała, żeś stary i że jeden chłop to jej za mało.

– Moja matka? – Jagodę zaczęło dusić.

– Cicho bądź, Jagoda! – Cybuli napłynęła do ust gorzka ciecz. – Łzesz, Śliwka! – zdołał z siebie wykrztusić.

– To szczerą prawdą. Przysięgam na kości mojej matki i na wszystkich bogów. Pokazała mi znamię, które jej wyciąłeś na piersi. Powiedziała mi, że mówisz na nią „kurczaczek” i że masz na brzuchu przyrodzone znamię.

Cybula jęknął.

– Mówię ci to, bo cię lubię. A ona mnie mierzi. Jeszcze ci coś powiem. Nie weźmiemy całego skarbu, zostawimy trochę dla ciebie. Król Jodła nie będzie zawsze taki grzeczny. Nie dziś, to jutro urządzi wam chłosty i kaźnie, on i jego rzezimieszki. Ojca własnego zabił, taki z niego ludzki pan. Uchodź z żoną i córką do Miasta, zaczynaj wszystko od nowa. Mnie trzeba iść daleko stąd. Może do Bugu, może i dalej. Pamiętaj, com ci powiedział. Niech szczenę za życia, jeśli kłamię.

– Wierzę ci, Śliwka, i dziękuję.

– Dlaczego mi dziękujesz? – spytał Śliwka.

– Bo nie ma nic tak gorzkiego albo tak słodkiego jak prawda – odrzekł Cybula, zdziwiony swymi własnymi słowami.

3

Jak tylko Śliwka wyszedł z domu, Jagoda zaczęła skuczeć.

– Matka jest kurwą! Nie jestem dzieckiem mego ojca!

Padła na Cybulę z płaczem i zaraz był na twarzy cały mokry od łez. Cybula powiedział:

– Twoja matka jest kurwą, ale ty jesteś dzieckiem swego ojca.

– Chcę umrzeć! Chcę umrzeć!

– Umrzesz. Prędzej, niż myślisz.

– Chcę umrzeć z tobą!

– Tak, jestem twoim bogiem, a ty jesteś córka boża – próbował żartować Cybula.

– Nie chcę żyć! – Jagoda ścisnęła Cybulę za szyję. Zdaje się taka mała i wiotka, pomyślał, a jaką ma siłę w ramionach.

– Dusisz mnie – powiedział.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do środka wemkła jak cień Kora. Jagoda pierwsza poznała ją po kształcie i zaczęła się drzeć:

– Matka, jesteś kurwa! Nie jestem twoją córką!

– Co cię ugryzło? To czyją jesteś córką?

Cybula zepchnął z siebie Jagodę. Miał chęć złapać Korę za głowę i strzaskać o kamienie pa-leniska. Spytał wszakże tylko:

– Co ty tu robisz w środku nocy?

– Czemu Jagoda drze się jak obłąkana?

– Kora, wszystko się wydało – powiedział Cybula, zdziwiony, że to mówi. Nie miał zamiaru się do niej odzywać. Kora nie poruszyła się. Stała w mroku jak wryta. Przez czwórrożną dziurę w ścianie strużyło do środka tylko światło gwiazd. Kora spytała:

– Co się wydało? Jakie wszystko? Obojeście postradali zmysły?

– Kora, jesteś nickszemną, plugawą, kłamliwą zdrajczynią. Wynos się i żeby ci tu więcej nie widział. Jeszcze chwila...

– Com wam uczyniła? Czemuście tacy źli na mnie?

– Matko, spałaś ze Śliwką i ze wszystkimi naszymi wrogami – krzyknęła Jagoda głosem, jakiego Cybula nigdy wcześniej nie słyszał. – Mojego ojca zdradzałaś i Cybulę też zdradzałaś. Nie jestem twoją córką. Wynos się stąd! Jesteś kurwa, zdzira, łajno.

Kora zadrzała.

– Co się stało? Czemu nagle Śliwka? Śliwka dawno umarł.

– Jagoda, nic nie mów! – nakazał Cybula.

– Będę mówić! Śliwka tu był i wszystko nam powiedział. Pokazałaś mu znamię na piersi.

Łajdaczyłaś się z nim i z innymi, ty stara suko!

– Śliwka żyje? Był tu?

– Jagoda, zamknij gębę! – powiedział Cybula z groźbą w głosie. – Nikogo nie było, ale o wszystkim wiemy, o wszystkich twoich sprawkach, o wszystkich knowaniach. Jesteś niewierna suka, podstępna lisica, obmierzła świnią. Rozdeptałbym cię jak robaka, ale nie chcę skazić stopy twoją krwią.

– Zabij ją! Rozdepcz! – darła się Jagoda.

– Czy to moja córka, którą nosiłam w sobie i wydałam na świat, czy znalazłeś sobie kogoś nowego do łoża?

– Kora, to wszystko prawda.

– Czemu się wydziera o Śliwce? – spytała Kora. – Przysięgam na bogów, to chyba jakiś zły sen.

– To nie sen, Kora. Kurwiłaś się z naszymi wrogami i zbrojcami, nawet tymi, co zgwałcili i zadźgali twoje własne córki. Twe bezecne czyny wyszły teraz na wierzch jak oliwa. Przypochlebiałaś mi się, gadałaś, żeś najwięcej – niejszy z mężów na tym świecie, a potem szłaś do nich z narzekaniami, jaki to ze mnie stary dziad, bez siły i ochoty. Wynos się stąd i nie każ nam więcej patrzeć na swoją obmierzłą gębę. Bogów nie ma, ale jeśli są, to cię na koniec osązą. Jagoda i ja opuścimy ten obóz jeszcze dziś. Nigdy się nie dowiesz, gdzie spoczywają nasze szczątki!

– Matka, wynos się stąd! – wrzasnęła Jagoda.

Kora zdała się chwiać na nogach.

– Zostaniecie tu, póki nie wysłuchacie, co mam do powiedzenia.

– Po co mamy słuchać, jak wąż syczy?

– Może jestem wężem, Cybula, ale twoim wężem, oddanym ci ciałem, duszą, każdą kroplą krwi. Kiedy byłeś nam sędzią w obozie, mawiałeś, że zawsze trzeba wysłuchać obu stron. Teraz nagle przychodzi do ciebie jakiś bajduła, nagada ci kłamstw, a ty zaraz mnie potępiasz, zanim wysłuchasz, co ja mam do powiedzenia. Dobrze mówię?

– No to co masz do powiedzenia? Byle szybko.

– Najpierw chcę powiedzieć, jak nędznie się czuje matka, co nosiła, powiła, wykarmiła i wychowała dziecko, by ono tak prędkie było matce złorzeczyć. Nie wiedziałam, że umie tak kąsać i że zna takie przekleństwa. Jedyna pociecha, że wlaź jej w gardziel jakiś smok albo inna potwora z czeluści. Nie zapomnę tej nocy, póki mnie nie położą w mogiłę i nie zasypią oczu ziemią. Po wtóre chciałabym spytać, czy Śliwka naprawdę żyje. Przyszedł mnie oczernić, rozsiewać o mnie łgarstwa i kłamliwe oskarżenia, pospieszyć me skonanie. Zawsze mówił, Cybula, że bogiem wszystkich bogów jest Śmierć, bóg śmierci. Wnet weźmie mnie do siebie, jak wszystkich bierze. Pokój mogiły jest nie tylko dla kneziów i królów, na wszystkich przychodzi. A ty, moja córko, też się spóź, bo i na ciebie przyjdzie czas. Czy Śliwka jest jednym z jeźdźców?

– Przyszedł spytać, gdzie jest schowany łup Króla Rudego – powiedziała Jagoda.

– Błagałem cię, Jagoda, byś była cicho. Tak, żyje i był tu. Czemu pytasz? Tęskno ci do niego?

– Przyszedł odgrzebać łup Króla Rudego, a mnie pogrzebać w pohańbieniu? – spytała Kora.

– Prawdę mówił – odrzekł Cybula. – Wiedział, co winniśmy wiedzieć tylko ty i ja.

- Co wiedział?
- Dosyć wiedział. Co z ciebie za kobieta? Krwiopój? Czart, co lata po nocy jak nietoperz? Ile ci trzeba na twe chucie – tysiąc chłopca?
- Może jestem jeszcze gorsza, niż mówisz. Ale to jedno wiesz, Cybula: moja miłość do ciebie jest mocniejsza niż bogowie, mocniejsza niż góry, gorętsza niż ogień, głębsza niż najgłębsza czeluść. Mów o mnie, co chcesz, może to wszystko prawda, ale powiedz, że cię nie miłuję, a skłamięsz.
- Ty wszystkich miłujesz.
- Tylko ciebie jednego.
- Nie mogę tu dłużej zostać. Nie chciałem być królem, teraz nie chcę być starostą. Zrobię, co już dawno chciałem zrobić: ucieknę od ludzi. Jagoda pójdzie ze mną. Przy trzydziestu jeźdźcach nie zbraknie ci tu zajęcia, a będzie ich więcej. Kora, odejdz od nas. Nie chcę widzieć twego oblicza, nie chcę słyszeć twego głosu.
- Matka, zostaw nas w spokoju – powiedziała Jagoda.
- Cybuli należy się mnie wychłostać, a nawet zabić. Jeśli zechce, położę głowę na tym kamieniu, niech odrąbie. Ale ty, plugawy, zgniły pomocie mego łona, siedź cicho, bo...
- Kto był moim ojcem? – wtrąciła Jagoda.
- Twoim ojcem był Kostek, ale tyś niegodna miana jego córki, ty zgnilizno. Tylko się odezwij, a wszystkie włosy ci powyrywam i będziesz łysa jak Kosooka.
- Idź już, Kora! – powiedział Cybula.
- Idę, idę. Jeśli chcesz ujść z obozu, to zaraz. O świcie będzie już za późno. Dokąd pójdziesz, w góry? Niech ci szczęście sprzyja.
- Nie trzeba mi szczęścia.
- Moje życie dopełnione. – Po tych słowach Kora wyszła.

4

Kiedy Kora wyszła z chaty, usłyszeli na dworze jakieś głosy, po czym weszła do środka Łaska, wzburzona i zdyszana.

- Ojczy!
- Łaska!
- Ojczy, dwóch rabusiów uwiozło nasz łup! – Łaska mówiła gromkim głosem, jak ktoś, kogo spotkało nieszczęście. – Posłyszałam na dworze hałas i ujrzałam, jak dwóch ludzi uwozi nasz skarb. Krzyczałam za nimi, ale puścili się w cwał. Skąd znali naszą tajemnicę? Kto oni są? Wszystkie stracone!
- Sza, córko. Nie krzycz. Nie potrzebujemy skarbu Króla Rudego. Mieszkamy tu, nie w Mieście – powiedział Cybula. – Jak się ma Ptaszek?
- Główkę ma rozpaloną. Nie chce mojego mleka. Świszczy i charkocze, jakby mu szło na skonanie. Paskuda kazała mi wykopać mogiłkę i go do niej położyć, żeby złe duchy sobie pomyślały, że już nie żyje. Teraz prawdziwy grób już wykopany... – Łaska zaczęła płakać.
- Tak jest lepiej, córko. Daj mu umrzeć.
- Ojczy, co ty mówisz?
- Wszystkim nam to przeznaczone, Łaska. Nie jesteśmy wolni, jesteśmy niewolnikami. Śmierć to nasza jedyna ucieczka. Lepiej, żeby duch Ptaszka zstąpił w czeluści ziemi, niżby chłopiec miał urósć w niewoli.
- Ojczy, co z tobą? Nie mogę dać umrzeć własnemu dziecku.
- I tak umrze, córko. A jeśli przeżyje, to mu nie zazdroszczę.
- Gdzie Kora tak leciała po nocy? – spytała Łaska.

– Moja matka jest kurwa – odrzekła Jagoda.
– Co takiego?
– Cicho, Jagoda! Nic, córko, nic. Kora zawsze była kurwa. Wiedziałem o tym, ale udawałem, że nic nie widzę. Łaska, idziemy w góry. – Cybula zmienił głos. – Nie mogę tu zostać ani dnia więcej.

– Gdzie w góry? Kiedy?
– Zaraz. Gdzie nas nogi poniosą. Nim wszędzie słońce, chcemy być daleko od obozu.
– A co się ze mną stanie? – zawołała Łaska.
– Nie skucz, Łaska – powiedział Cybula. – Wszyscy jesteśmy zgubieni i musimy postanowić, czy uchronić, czy zostać u nowych panów. Nie będą lepsi niż starzy. Tamci zaczęli rządy od kaźni, tym może przyjść na to chętką trochę później. A może też wytracą nas nie naraz, tylko po trochu. Jeśli chcesz, chodź z nami, ale musisz się od razu namyślić.

– Co będzie z moim dzieckiem? Nie zostawię go tak przecież.
– Weź go ze sobą.
– Umrze po drodze.
– Jak umrze, to go pogrzebiemy.
– Ojczy, co się z tobą stało? – Łaska zaczęła zawodzić. Cybula powiedział:
– Ścisz głos, Łaska, bo wszystkich pobudzisz. Nie musisz iść z nami dzisiaj. Będziemy w górach, w tej samej jaskini, co wtedy, gdy przyszedłeś z nami ugodzić. Pamiętasz? Może nowi zbójcy wstrzymają się chwilę z zabijaniem. Kiedy tylko będziesz gotowa, przyjdź do nas. Jeśli chcesz zostać, zostań. Jesteś urodna, może ktoś cię weźmie. Taki jest los kobiet od pokoleń.

– Ojczy...
– Łaska, nie będę się z tobą więcej spierał. Zajrzyj do dołu pod lipą, może coś zostało ze skarbu. Jeśli coś znajdziesz, idź do Miasta. Za klejnoty dostaniesz tam wszystko, czego ci będzie trzeba. Jagoda, zabieramy się stąd!

– Co mam wziąć ze sobą? – spytała Jagoda.
– Weź tyle, ile uniesiesz. Nóż, łuk, kilka skór. Butów nie zapomnij. Patrz, dnieje. Łaska, odejdz, proszę. Jeśli ujrzą, że wychodzisz z chaty, pomyślą, żeś nam pomogła w ucieczce.

Cybula wziął Łaskę w ramiona i ucałował ją – w oczy, w usta, w czoło, oboje lice. Była ciepła i mokra na twarzy. Przycisnął ją do piersi i chwilę stali bez ruchu, po czym Cybula powiedział:

– Idź, Łaska.
– Tato, tato! – powiedziała Łaska i wyszła.

Jagoda wytarła łzy i spytała:

– Mam wziąć portki?
– Weź, co chcesz, byle szybko!
– A koszyk?
– Tak, jeśli dasz radę.
– Co mam zrobić z mięsem?
– Ubijemy coś po drodze.
– Mam wziąć suknię od ślubu?
– Nie. Tak.

Gdy Cybula i Jagoda wychodzili, przez dziurę w ścianie chaty zaglądała już zorza. Jagoda dźwigała wszelkiego rodzaju garnki, misy, sztucce. Choć ciężko mu było na sercu, Cybula uśmiechnął się mimo woli. On też był obładowany rzeczami, które przywiózł z Miasta. Szli tak prędko, jak im tylko pozwalało ich brzemię. Szczęście im sprzyjało: i obóz, i nowi wojacy mocno spali. Tylko ptaki już wstały i każdy witał jutrzeńkę swym własnym przyrodzonym śpiewaniem. Rosa opadała, a nad świeżo zżętym polem ulatała i wiła się w kłęby mleczna mgła. Cybula wdział żupan, a u boku miał miecz. Na nogi wzuł buty, które mu uszył Ben Dosa. Miały skórzane rzemień, które owiązał sobie wkoło łydek. Na głowie miał futrzaną czapę. Choć Jagoda dopiero co płakała, gdy spojrzała na Cybulę, zaczęła się śmiać.

– Z czego się śmiejesz, Jagoda?
– Bo dziś prawdziwie wyglądasz jak król.

Od gór wiał chłodny wiatr. Zanieślugo minęli pole. W jedną stronę dróżka szła zakrętami do góry ku szczytom, a w drugą wiodła w dół do Miasta. Dawne pokolenia stąpały tymi zawiłymi ścieżkami w czasach, kiedy Leśnicy mieli inne obozy za sąsiadów i kiedy przekraczanie granic było zakazane i rodziło zwadę. Cybula ostatni raz spojrział na pole, stajnie, stodołę. Miał kiedyś nadzieję, że pole, zboże i chleb z niego powstały uszlachetnią człowieka, odejmą mu pragnienie krwi, łaknienie władzy i nienawiść do drugich. Lecz była to tylko płonna nadzieja. Cybula i Jagoda dobili do lasu, przeszli potok. W przeszłym pokoleniu ktoś przerzucił przez potok pień dębu, który, choć zarosły mchem i nadpróchniały, ostał się do dziś. Cybula wiedział, że Król Jodła i jego ludzie mogą z łatwością dogonić uchodźców na koniach, więc postanowił zejść z głównego szlaku na kręte ścieżynki uboczne.

W rękach bogów

1

W czas podróży z Kosooką daleko za Miasto do obcych krain Ben Dosa przypomniał sobie imiona gwiazd wyliczone w Księdze Hioba i powiedzenie o uczonym Samuelu: człowiek ten ulice nieba znał tak dobrze, jak ulice swego miasta Nahardas. Ben Dosa wiedział także, że w krainie, której szukali z Kosooką – w Rzymie albo Italii – mówi się po łacinie, i przypomniał sobie nawet z Miszny i Gemary, jak się zważył italskie monety. Nie zawsze było im to wszakże pomocą, gdy trzeba było znaleźć drogę w płątwie dróg i miast. Jedno, co Ben Dosa wiedział na pewno, to że Izrael leży na wschodzie, bo Żydzi na wychodźstwie zawsze modlili się twarzą ku wschodowi.

Gdy tak wędrowali, Ben Dosa rychło poczynił odkrycie, że Biskup Mieczysław i inni przywódcy nowej wiary mają za sobą wielkie rzesze wyznawców. Wiarę Jezusa z Nazaretu przyjęli rzymscy i greccy goje, jak również Żydzi. Wielu wychrzczonych Żydów zesłano do Rzymu, gdzie, mimo że dochowali wiary Jezusowi, więzieni byli za to, że źle odczytują Nowy Zakon, lub za to, że przeczą, jakoby bałwany czczone przez Greków i Rzymian w dawnych czasach naprawdę istniały.

Nie minął dzień, żeby Ben Dosa i Kosooka nie napotkali na drodze jakiegoś Żyda uchodźcy. Kiedy się tylko Ben Dosa dowiedział, że któryś z nich został wyznawcą Jezusa, rozgoryczał zażarty spór o święte sprawy, który często kończył się na wywiskach albo i bitce. Ci Żydzi odstępcy będą się smażyć w ogniu piekielnym. Słuchając ich dziwnych opowieści, Ben Dosa wrzeszczał, darł włosy z głowy i brody, przytaczał różne rzeczy z ksiąg po hebrajsku, klepał się w czoło w gniewie i obrzydzeniu. Ciągłe wynajdywał obelżywe słowa na opisanie fałszywego Mesjasza z Nazaretu. A Kosooka, choć nie mogła pojąć, co ten człowiek złego uczynił, by zasłużyć na tak szpetne pomstowania, też przeklinała odstępcę w swej własnej tatarskiej mowie.

Jakie to dziwne, że niektórzy z tych przeniewierców Izraela słyszeli o Misznie, Gemarze i innych księgach, które Ben Dosa przytaczał w tych świętospornych rozmowach. Jedni przyszedli z Babilonu, drudzy uszli z ziemi Izraela, nieraz w okolicznościach, od których włosy stają na głowie. Kosooce wszyscy zdali się członkami jednej chorej i pomyłonej rodziny, której nie da się uleczyć ze skłócenia, goryczy i nienawiści. Choć Kosooka nic się nie rozumiała na uczonych sprawach wiary, zawsze brała stronę Ben Dosa, bo miała przekonanie, że tylko jego prawda jest prawdziwa. Po latach tułactwa uprzytomnił sobie, jak szczerze i głęboko Kosooka przyjęła Boga i Torę. Przypomniały mu się słowa mędrców: „Służąc swym samolubnym pragnieniom, można przyjść do służby Wszchemogącemu”.

Co jakiś czas Ben Dosa napotykał ludzi, którzy wierzyli tak samo jak on, i wielka to była dla niego radość.

Rozmawiali o Świętym Mieście Jerozolimie, rojnym od uczonych i kaznodziejów, lecz także od nieprzyjaciół, co sprowadzili wszystkie nieszczęścia, o których przestrzegali mędracy.

Podróż była długa i mozolna. Ben Dosa i Kosooka poznawali nowe rodzaje upraw, dziwaczne obyczaje, stroje, buty, oręż i pojazdy, jakich nigdy wcześniej nie widzieli. Zwiedzili się o nieznanym im wcześniej chorobach, jak też o nowych leczniczych ziołach, czarach, mazidłach. Szli przez place targowe, na których sądzono i wieszano na miejscu przestępców. Bez wstydu kupowa-

no i czyniono pożytek z ladacznic. Na ulicy ścinano ludzi za rabunek, uchodźstwo z niewoli, za sprzedaż ludzi w niewolę, za bunt przeciw królom i zbrojnym panom. Ludzie zwani uzdrowicielami otwierali chorym brzuchy, rwali zęby, kładli mazidla na rany, wypalali wrzody.

Ben Dosa często dodawał Kosooce otuchy, przytaczając linijkę z Talmudu: „Jeśli ktoś powie ci, że bez wysilenia znalazł, czego szukał, nie daj mu wiary”.

I stało się nareszcie, że po wielu latach wędrowania Ben Dosa i Kosooka zbliżali się ku Rzymowi. W miejscowości opodal wielkiego miasta Ben Dosa zakupił spisana przez skrybę Misznę. Napotkał także człowieka, który czytał niegdyś rękopis Gemary. Człowiek ten opuścił Rzym, kiedy wielu Żydów uwięziono za to, że modlili się o przyjście Mesjasza, Syna Dawidowego i o powrót ich ludu do ziemi Izraela. Powiedział, że wiele Żydówek – chrześcijanek chowa się w jaskiniach, które zwą się katakumbami, i żyje według Nowego Zakonu.

W Italii chowali się także ci Żydzi, którzy dalej żyli według Starego Zakonu – ale nie po jaskiniach, a po wsiach, gdzie mniej ich ciemniono dla ich wiary. Modlili się w małych chatkach, a co poniektórzy przepisywali Gemarę. Ben Dosa i Kosooka przybyli do jednej takiej wioski, gdzie Ben Dosa opowiedział swoje dzieje: został porwany i sprzedany w niewolę. Rabin tego zboru był przeciw wszelkim wysileniom, by nawrócić Kosookę na judaizm. Nad wejściem do ich małej bożnicy wypisane były słowa Bilama o Żydach w czasach Mojżesza: „Lud, który samotny bytuje”. Rabin i jego stadko krzywo patrzyli na Ben Dosę. Zdał im się jak jakiś wichrzyciel, który uczy dziwnych obyczajów religijnych, i nie byli pewni jego uczciwości i przywiązania do wiary. Rabin mówił do Ben Dosy po aramejsku. Nikt nie wierzył, że Kosooka może stać się prawdziwą Żydówką. Raz po razie Rabin nie chciał pozwolić, by Kosooka przyjęła wiarę żydowską, i zadawał jej wiele pytań, na które nie umiała odpowiedzieć. Czy zaprawdę wierzy, że jest tylko jeden Bóg, który na górze Synaj dał Mojżeszowi Torę? Czy nie ma innych powodów, by poślubić Ben Dosę, tylko ten, że go sobie upodobała? Czy gotowa jest przestrzegać wszystkich 613 przykazań, nigdy żadnego nie przekroczyć ani nie zaniedbać? Rabin besztął ją i odnosił się ku niej nieufnie, jakby była chrześcijańskim szpiegiem. Kazał jej myć podłogi i ławki w malutkiej bożnicy. Dopiero po długich rozmowach i wypytywaniach przysposobiona była, by zanurzyć się w obrzędowej kąpieli i przyjąć imię Sara, jak czyniły wszystkie nawrócone ku czci pierwszej Żydówki, Sarai z Ur-Cas–din, której imię zmienione było z Sarai na Sara. Kobiety ze zboru mówiły do niej łamaną hebrajszczyzną i aramejszczyzną albo żydowską łaciną pomieszaną z greckim. Brały ją do siebie za służebnicę, kucharkę, piastunkę do dzieci, jak też do pomocy w obrzędowej kąpieli po krwawieniu. Minęło trochę czasu, nim Sara nauczyła się, jak zrachować siedem dni czystych po krwawieniu i jak zrobić, by nie zapalać ognia w szabas. Nie przestrzegała też Eruw, granicy, za którą nie wolno nic przenieść w szabas. Ludzie wszakże coraz chętniej przyznawali, że Sara ochotna jest do pracy i że chce nauczyć się korności i właściwego Żydom postępowania.

Mężczyźni próbowali nauczyć się od Ben Dosy ustnej Tory. Potrzeba im było także nauczyciela alfabetu dla dzieci, który by im wyłożył prawa Mojżeszowe i święte słowa Pięcioksięgu. Mógł im również pomóc w poprawianiu błędów, które zrobili, przepisując Gemarę. W Kosooce pokładali teraz tyle ufności, co i rabin, a po zaślubinach gotowi byli zbudować Ben Dosie i jego oblubienicy chatynkę.

Uznano za słuszne, by jako początek na drodze dobrych uczynków Sara pościła w dzień zaślubin i obmyła stopy starym i chorym kobietom. Kiedy dali jej do ręki pióro i pokazali, jak się podpisać na ketubie, rozryczała się ze szczęścia i nie mogła utrzymać pióra w drżących dłoniach. Do ubożego posiłku, przed którym wszyscy zmówili siedem błogosławieństw, nie dano wina, bo w Niemcu być Żydem na wychodźstwie znaczyło nieustającą żalobę. Ustawili wszakże utkaną z jedwabiu chupe, czyli namiotek nad głowy oblubieńców, a dla Kosooki znaleźli znoszoną jedwabną suknię. Twarz jej schowali za spłowiałą zasłonką i dali stary srebrny pierścień.

Ben Dosę owinięto w białe prześcieradło, by nie zapomniał, że każdy kiedyś umrze i odziany będzie w całun. Wśród Żydów był zwyczaj, żeby obwieść oblubienicę siedem razy dokoła oblubieńca, albowiem powiedziane jest od proroka: „I niewiasta wkoło męża chodzić będzie”.

Cała uroczystość ślubna odbyła się na dworze, pod gwiazdami. W swej przemowie rabin wspominał na ojca Ben Dosy, Dosę, który nauczał żydowskie dzieci w mieście Sura. Spisując ketu-

bę, rabin zapytał oblubienicę, czy jest dziewicą, na co śmiech się zrobił dokoła.

Zwyczajem było, aby na koniec godów oblubieniec znakiem zburzenia świątyni stłukł gliniany talerz. Ben Dosa nastąpił na talerz prawym butem, a gdy ten się rozpękł, wzięli to wszyscy za oznakę, że Ben Dosa jest jeszcze młody i jurny. Kiedy, jak kazał obyczaj, Kosooka dostała puchar wina, który wymusnął się jej z ręki, powiedzieli, że to źle wróży, że umrze w połogu. Lecz Ben Dosa powiedział, że Żydom nie wolno wierzyć w takie gusła. Według Talmudu żywot i powodzenie Żydów nie zależy od gwiazd, bowiem napisane jest: „Ciała niebieskie nie zaciąją na losie narodu Izraela”.

2

Pierwszą noc po ucieczce Cybula i Jagoda przespali w tej samej jaskini, gdzie się schowali, kiedy Kora zabiła Lisa. Znaleźli skóry, które zostawili, węgle z ogniska, ogryzione kości po posiłkach. Rzeka na spodzie jaskini gulgotała i pluskała jak niegdyś.

Miło było być znów z Jagodą. Cybula mógł do niej gadać, co mu ślina na język przyniosła: to coś mądrego, to znowu głupoty. Mógł się przechwalać, zmyślać łgarstwa, opowiadać, co mu się śni i marzy i co on nie nawyczyniał z kobietami. Po niektórych jej pytaniach znać było, że naprawdę go rozumie. Czasem dopraszała się jak dziecko:

– Opowiedz mi coś.

I Cybula zaczynał snuć jakąś opowieść, choć sam nie wiedział, jak się ona potoczy.

Zewnątrz jaskini trwało jeszcze lato, lecz w środku był jakiś chłód, którego Cybula nigdy wcześniej nie zaznał.

Jagoda przywierała do niego, by wygrzać mu ciało swym brzuchem i piersiami, ale od czasu do czasu przechodził mu po plecach mroźny wiatr. Za dnia, ścigając zwierza, Cybula uprzytomnił sobie, że oczy ma już nie te, co dawniej. Jak to się stało? Kiedy? Zawarł prawo oko i okazało się, że na lewe widzi gorzej niż na prawe. Postanowił nic nie mówić Jagodzie. Martwiła się, że nie jest zdrow, narzekała, że mało je. Dawniej zwykł jadać surowe mięso, jeszcze krwią płynące, lecz nagle poczuł odrazę do krwi. Ben Dosa powiedział, że kiedy Kain zabił Abla, Bóg jerozolimski rzekł do niego: „Krew twego brata woła do mnie z ziemi”.

Cybuli zdało się teraz, że słyszy wołanie krwi zwierząt: „Czemu nas zabijasz? Czym żeśmy cię pokrzywdziły? A gdyby ktoś twojej krwi utoczył?”

Jagoda puściła się szukać zw erzyny i ryb, a Cybula siedział na dworze, wygrzewał na słońcu i bazgrał litery i słowa. Nie był chory, lecz i nie całkiem zdrow. Mieszkanie w jaskini już mu tak nie służyło jak dawniej. Przywykł do spania w łóżu, nie na kamieniu. Odkąd nie podchodziło mu już mięso, zatęsknił za chlebem, pieczonymi na rozgrzanych kamieniach obwarzankami, za owsianką, którą czasem przyrządzała dla niego Kora. Jedna rzecz go dręczyła i nie dawała spać po nocach – mimo woli ciągle myślał o Korze. Ciężkiem gadała, jak mocno go miłuje, ciężkiem starała się mu wygodnie, wystawiła dla niego swe życie na szwank, coraz to powtarzała, że Cybula jest jej bogiem i że gdy on zejdzie z tego świata, ona nie pożyje ni chwili dłużej. Jednocześnie zaś łajdaczyła się ze zgrają rabusiów, złodziejów i zbójców, ku pohaanbieniu swojemu i pamięci swych zabitych dzieci. Cybula uznał, że póki nie rozwikła tej zagadki, nie może umrzeć.

Cybuli brakowało też Ben Dosa. Gdzie on teraz jest? Pewnie postradał życie w wędrownie do dalekich krain. Jak dobrze by było mieć go przy sobie, słuchać jego opowieści, jego nauk, mądrości, które czerpał z ksiąg napisanych przez bogów w dalekich miastach, w dalekich czasach. Aż tu ni z tego, ni z owego Cybula sam zaczął mówić do bogów.

– Boże jerozolimski, zaprawdę jesteś tu przy mnie? Czy twe oczy są wszędzie i wszystko widzą? Czy wiesz, gdzie jest Ben Dosa? Czy jest z nim jeszcze Kosooka?

Innym razem Cybula przemówił do boga śmierci.

– Śmierci, bogu wszystkich bogów, jesteś ty zaprawdę najmocniejszy? Tobie jednemu będę służył. Jak bóg Słońce świeci na wszystko bez różnicy, tak ty przynosisz śmierć wszystkiemu bez różnicy. Kiedy położysz dłoń na czyjejś głowie, odchodzą go wszystkie troski: łaknienie, pragnienie, wszelkie choroby, wszelka boleść. Tyś jest władarz gór i dolin, wszystkich rzek i wszystkich kamieni. Kogo pochwycisz w swą dłoń, ten znajdzie prawdziwe odpocznienie. Niech twój pokój będzie ze mną, Śmierci. Sprzykrzyli mi się już bogowie życia.

W jaskini ciemno mu było pisać, więc wziął kupiony w mieście nóż i zaczął wycinać z drzewianego kloca kształt boga śmierci. Zamyślił go uczynić na podobieństwo kościotrupa, z dziurą na nos i z zębami, lecz bez warg. Nie było to łatwe, lecz wiedział, że mu się uda. Miał dosyć i czasu, i cierpliwości. Jagoda zasypiała, budziła się, znów zasypiała. I tak cały dzień aż do wieczora. Znać było, że coś ją gnębi, lecz Cybula nie wiedział co. Jak ją o to pytał, ona odpowiadała jedno i to samo:

– Nic, nic. – Aż raz wypaliła: – Chodzi o ciebie!

– Czy myślisz o matce?

– Tak. Nie.

– Ckni ci się za nią?

– Nie.

– Gniewałabyś się, gdybym ją zabił?

– Czemuś tego nie zrobił? Sama cię o to błagała.

– Już za późno. Poza tym śmierć to dla niej za dobre. Gdybym ją zabił, miałaby spokój.

Śmierć nie jest karą, Jagoda.

Choć dni były już krótsze, ten włókł się jak ślimak. Na wieczerzę Jagoda dała Cybuli kawałek ryby i dwa jabłka, lecz Cybula zjadł tylko pół jabłka, a ryby nie ruszył. Jagoda powiedziała:

– Jak będziesz tak mało jadł, ujdą z ciebie siły.

– Nie trzeba mi sił.

Gdy tylko wyrzekł te słowa, na dworze koło jaskini posłyszeli jakiś hałas. Cybula zaniepokojony skoczył na nogi. Czy przybyła po niego jazda Króla Jodły? W świetle ognia poznał, że to Kora. Jagoda zawołała:

– Matka!

– Tak, to ja – powiedziała Kora. – Przybyłam do was z czeluści ziemi.

Cybula i Jagoda stali i gapili się na nią. Kora powiedziała:

– Chodźcie mi pomóc. Mam konia.

Cybula zaraz poczuł, że wchodzi w niego nowe siły. Pospieszył ku dziurze w jaskini i wyszedł na dwór. Przez dziurę wchodziło na tyle światła, że dojrzał przysnuwanego do drzewa konia, objuczonego workami i sakwami. Kora była wyzawijana w futra. Powiedziała:

– Nie mogłam żyć bez ciebie.

– Ty nikczemna kurwo!

– Pewnie i jestem kurwa.

Po czym rzuciła się Cybuli na szyję, całowała go, łkała.

– Skąd wzięłaś konia?

– Ukradłam.

– Jak się ma Łaska? – spytał Cybula z drzeniem w głosie.

– Ptaszek ozdrowiał. Król Jodła wziął Łaskę dla siebie.

– Pojął ją za żonę?

– Już ma, trzy inne.

– Widziałaś się z nią, nim uciekłaś?

– Trzymali mnie od niej z dala. Urodna jest, nie będzie sobie krzywdować. Taka kobieta im się zawsze nada – powiedziała Kora. – Nie mogłam bez ciebie żyć. – Głos się jej zmienił. – Próbo-
wałam, ale nie mogłam.

– A co z polem?

– Zasiali pszenicę ozimą.

Cybula chciał podziękować bogom, lecz się powstrzymał.

– Teraz lżej będzie umierać – powiedział.

– Razem ze mną.

Stał w mroku i trząsał się, nie wiedząc, czy od chłodu, czy od tego, że Kora wróciła.

– Próbowалам żyć bez ciebie – zaczęła Kora od nowa – ale nie mogłam. Dzień i noc o tobie myślałam. Nie mogłam spać. W chacie palił się ogień, ale mi było zimno. Jeszcze nigdy nie było mi tak zimno. Poprzykrywałam się wszystkimi skórami, jakie miałam, ale dalej mi było zimno. To nie było takie zwykłe zimno, tylko Baba Jaga mogła mnie tak wyziębic. A kiedy puściłam się w drogę do ciebie, zaraz mi się ciepło zrobiło, choć deszcz padał i śnieg.

– Co za chłopcy z tych jeźdźców, że cię nie umieli wygrzać? – spytał Cybula.

– Nie bądź taki pyskaty, Cybula.

– Mów, co w obozie.

– Jest dużo pracy. Król Jodła chce być królem wszystkich królów. Do wszystkiego się miesza, wszędzie nos wściubia. Koń nie jest ich, lecz twój, z Miasta.

– Jak tam Nosek? – spytał Cybula.

– Przysłał do nich. Robi, co mu każe Król Jodła. Mieszka teraz z Wilkiem i jego matką. Ten Nosek jest jak z gliny urobiony. On i Piesek są teraz kneziami Króla Jodły. Mówiłam Noskowi, żeby się ze mną zabrał, a on na to: „Jestem głuchy, Kora, nic nie słyszałem”. Tak mi powiedział. On teraz nic tylko liczy i rachuje. Król Jodła zwolnił go od orki pod pszenicę ozimą, bo Nosek jest teraz tylko od rachowania, mierzenia i ważenia. Piesek też. To para wypchańców, jak wypchane ptaki, co tylko wyglądają, jakby były żywe.

Z jaskini wyszła Jagoda.

Kora spytała:

– Już mnie nie ucałujesz, co? Nie jestem już twoją matką?

Jagoda nic nie odpowiedziała. Cybula rzekł:

– Możesz ją ucałować. Cokolwiek by mówić, to twoja matka.

Jagoda dalej się nie odzywała.

Tej nocy Cybula zażądał, by Kora powiedziała mu prawdę, całą prawdę, i tak uczyniła. Nie wiadomo było, czy Jagoda śpi, czy tylko udaje. Kora wymieniła wszystkich mężczyzn, jakich znała, odkąd zaczęła dojrzewać. Cybula kazał jej nic nie pominąć i zdawało się, że Kora pamięta każdą gorącą chwilę z tymi wojakami, nawet co do niej mówili i jakie jej dawali lubieżne przezwiśka. Czasem Cybula pytał:

– Nie wstydziałaś się?

A Kora odpowiadała:

– Nie. Ani chwili.

– Charkał na ciebie, a tyś go całowała?

– Tak.

– Miałaś z tego rozkosz?

– Wielką.

Od czasu do czasu Cybula bił ją w twarz albo łapał za włosy i szarpał. Ona mówiła:

– Szarp, mój bogu, umęcz mnie.

Na powrót był młody i silny. Wszedł w nią, a ona się darła:

– Tyś najlepszy, najsilniejszy! Nie człowiek, ale bóg, młody bóg! Podrzyj me ciało, kłuj mnie, połam kości, spij krew! Zabij mnie!

– Tak uczynię.

– Tak, po to do ciebie przysłałam.

– Chcesz umrzeć?

– Bez ciebie nie chcę żyć.

– Kłamiesz!

– Nie, nie, mój bogu. Po co bym kłamała? Mogłam zostać w obozie. Wszyscy mnie chcieli. Pożerali mnie oczyma, od najmłodszego jeźdźca po samego Króla Jodłę. A ja zostawiłam ich wszystkich i przysłałam do ciebie, w deszcz i zawieruchę.

– Przysłałaś do córki.

– Do córki? Nie jest już moją córką ani ja jej matką. Nie kiwnęłabym palcem, choćby ją przy mnie wilki jadły.

– Co byś zrobiła, gdybym chciał ją zabić?

– Mógłbyś poderznąć jej gardło, a ja ucałowałabym twoje dłonie i zlizala krew z noża.

– Dla nikogo nie masz litości?

– Nie mam litości.

– Wszystko to kłamstwa. Z twej świńskiej gęby nie wyszło słowo prawdy – powiedział Cybula.

– Mój słodki, jakiś ty czuły. Nikt do mnie tak łagodnie nie mówił, nawet Ben Dosa.

– Jego też chciałaś?

– Bardzo. Ale ciągle mi się opierał. Gdy mnie uczył czytania i pisanie i pochylał się nade mną, myślałam sobie: „Ciekawam, jaki on jest z kobietą”.

Przez chwilę oboje milczeli. Potem Cybula spytał:

– Po coś tu przyszła?

– Powiedziałam ci. Aby umrzeć.

– Czy to prawda?

– Bez ciebie to wszystko było za nic. Z innymi było mi przyjemnie, póki mogłam wrócić od nich do ciebie, leżeć w twych ramionach, słuchać twego głosu, całować ci stopy. Lecz kiedy ciebie zbrakło, na nikogo nie miałam chęci. Jagoda przyssała się do ciebie jak pijawka, a ty pozwalasz, by chleptała twoją krew. Dlaczego wolisz ją ode mnie?

– Bo w niej jest prawda, a w tobie kłamstwo.

– To nie kłamstwo, że cię miłuję.

– Ciebie się brzydzę, a ją miłuję.

– Twe słowa pieką. Jak możesz nienawidzić kogoś, kto cię tak miłuje? Ty sam kłamiesz.

Wierzysz w czeluście ziemi?

– Nie.

– Co z nas zostaje, gdy umieramy?

– Proch i pył.

– Z prochu może wyrósć róża.

– Z twojego prochu wyrosną tylko ciernie.

– Dobrze i to. Znużona jestem, Cybula, bardzo znużona. Naprawdę chcesz umrzeć?

– Tak, Kora.

– Najpierw mnie zabijesz?

– Jeśli nie uciekniesz.

– Nie ucieknę, mój słodki. Wszystkiego już dosyć zaznałam, prócz ciebie. Kiedy mnie zabijesz?

– Za tyle dni, ile masz palców u ręki.

– Za pięć dni?

– Tak.

– A co zrobisz z tą pijawką, moją córką?

– Rozgniotę.

– Nosi w łonie twoje dziecko. Chciałaś z niej dać zaczątek nowemu pokoleniu.

– Nic z tego nie będzie.

Cybula i Kora położyli się i wkrótce usnęli. Nad ranem Cybula zbudził się, nie był pewien czemu. W świetle węgla ujrzał Jagodę z krwawą siekierą w dłoni.

– Jagoda, co ty robisz?

– Zabiłam matkę – odrzekła.

Cybula nic nie powiedział. Potem spytał:

– Dlaczego?

A Jagoda odrzekła:

– Ona sama tego chciała.

Tego ranka Cybula i Jagoda poszli na wielką górę. Słońce świeciło i dzień był ciepły. Mał-

żonkowie okutani byli w futra, a na nogach mieli buty. Cybula trzymał Jagodę za rękę. Powiedział jej wcześniej, dokąd ją zawiedzie. Teraz szli razem, ani prędko, ani pomału. Gdy dobili szczytu, stanęli na skraju skalistego urwiska i spojrzeli w dół. Daleko w otchłani płynęła wąska rzeka, spieniona białą. Cybula powiedział:

- Wkrótce będziemy z twoją matką.
- A gdzie ona jest? – spytała Jagoda.

Cybula odrzekł:

- W rękach bogów.

1) W oryginalnym (zarówno angielskim, jak i w jidysz) tekście powieści Autor posługuje się polskimi formami wielu słów. Oddaje je w transkrypcji, aby przedstawić ich brzmienie - stąd niekiedy ich dziwaczna postać: woyaks, knez, etc. Zarówno imiona, jak i niektóre nazwy miejscowe również występują w polskim brzmieniu: Król Rudy, Miasto, Cybula, etc. Tłumacz wszystkie te słowa pozostawia w formie niezmienionej, przywracając tylko ich polską formę ortograficzną.

←↓

Spis treści

Część pierwsza

Król Rudy1

1

2

3

4

5

6

Cybulka i Nosek

1

2

3

4

Powrót Leśników w dolinę

1

2

3

4

Wyprawa do Miasta

1

2

3

4

5

Bunt wojaków

1

2

3

Nauczyciel Ben Dosa

1

2

3

Władztwo Kory

1

2

3

Część druga

Król Cybula

1

2

3

4

5

Przybysz o pływających włosach

1

2

3

4

5

Ołtarz ofiarny

1

2

3

Nowy król

1

2

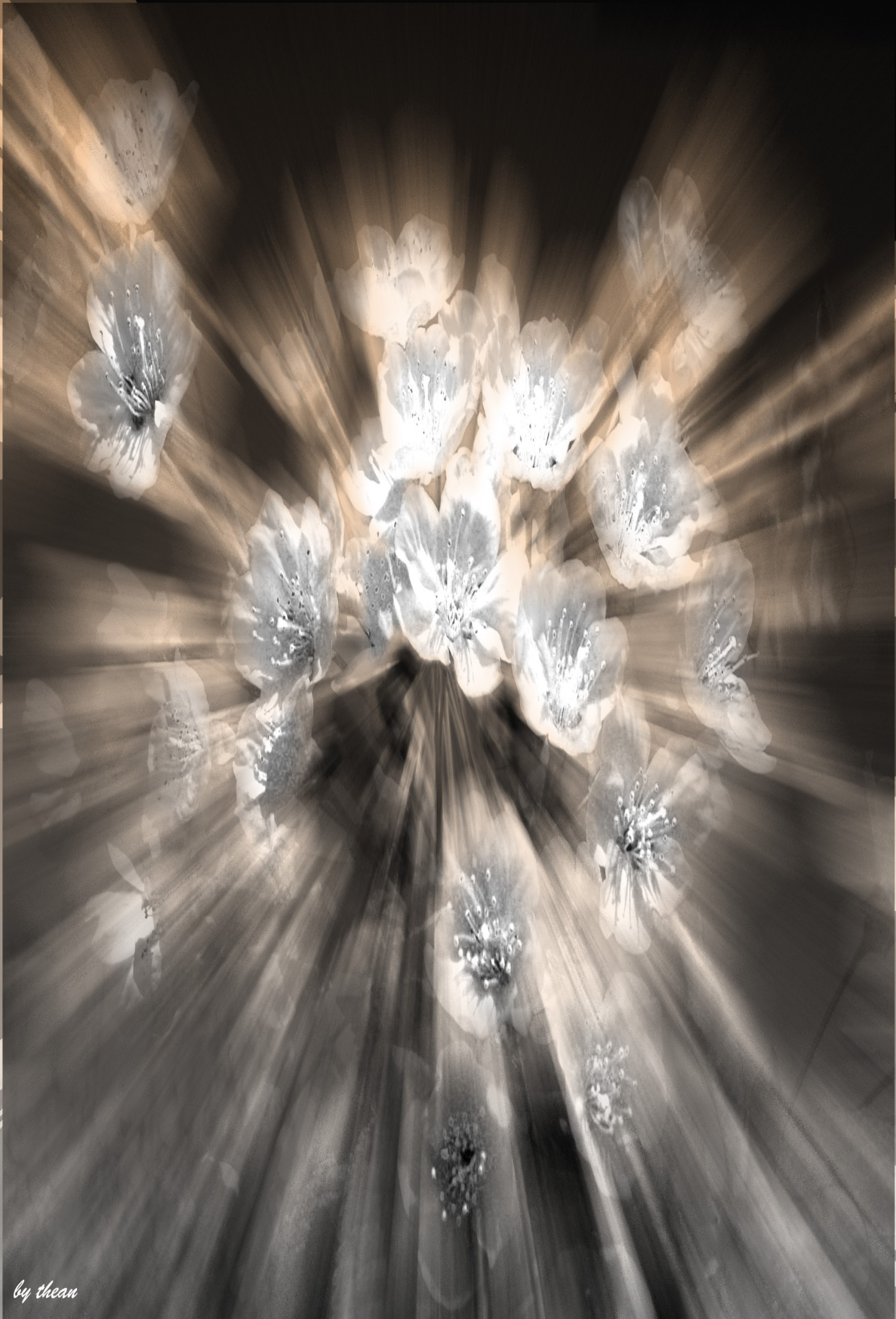
3

4

W rękach bogów

1

2



by thean

